



El. Orzeszkowa

ELIZA ORZESZKOWA.

POWIEŚCI WIEJSKIE.

DZIURDZIWIE.

POWIEŚĆ.

WARSZAWA.

WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.

Nowy-Swiat Nr. 41.

1888.



821.162.1-3M.2

Дозволено Цензурою.

Варшава, 14 Января 1888 г.

Wstęp.

W ogromnej, wysokiej sali, aparat sądowy rozłożył całą wspaniałość swą i grozę. Był to zimowy wieczór. Zwisające od sufitu żyrandole i lampy, gorejące u ścian białych i gładkich, potoki światła lały na szkarłatne opony okien i stołów, na pstroczinę twarzy i ubrań tłumnie zgromadzonej dziś publiczności. W głębi zasiadali członkowie sądu, z boku, pod jedną ze ścian, na dwa wysokich i ozdobnych ławach, miejsca swe już zajęli przysięgli. U jednego z okien oskarżyciel publiczny, schylony nad obficie oświetlonym stołem, wczytywał się pilnie w rozwartą księgę praw, przy drugim sekretarz sądu, przerzucał stosy papierów. Urzędnik przeznaczony do strzeżenia porządku, w ubraniu zdobnym w złote hafty, szybkim i cichym krokiem przebiegłszy salę, z piórem w ręku usiadł na stronie. Wśród wielkiej ciszy, niezmaconej nawet powstrzymanemi na chwilę oddechami kilkuset pier-



44 n.
D-8.215.6.45

si, przewodniczący sądowi, głośno i wyraźnie obwieścił zbrodnią, o którą podsądni oskarżonymi zostali. Nie było to przestępstwo, ale była to zbrodnia, straszna zbrodnia, jedna z tych która niekiedy, jak sny złośliwe i ponure przesuwają się przed udręczonemi oczyma ludzkości. Kim byli, do jakiej społecznej warstwy należeli, jak wyglądali ci nieszczęśliwi i okropni ludzie, którzy ją popełnili? Kilkaset oczu, jednomyślnie zwróciło się ku ławie obwinionych.

Naprzeciw wysokich i ozdobnych siedzeń sędziów przysięgłych, obrońca z urzędu, zamyślony, niespokojny, nerwowym ruchem ręki, ołówkiem kreślił na kawałku papieru jakieś luźne notatki. Tuż za nim, nad wysoką poręczą ławy, podniosły się i w pełnym świetle stały, cztery męskie postacie w więziennych długich szarych ubraniach. Przed chwilą weszli tu oni przez niskie drzwi, z-za których ukazało się całkiem prawie ciemne wnętrze, bocznej jakiegś sieni. Zdawać się mogło, że wychodzili z otehlani. Niskie drzwi zamknęły się wnet za czterema uzbrojonymi żołnierzami, którzy, stanawszy z obu stron ławy, zanurzyli sterczące nad ich głowami bagnety, w olśniewającym świetle lamp. Pomiedzy lśniącymi ostrzami bagnetów, twarzą w twarz z sędziami swoimi, w potokach światła, uwydatniających każdy rys i każdą niemal zmarszczkę ich twarzy, czterej podsądni, stojąc w nierucho-

mych i oczekujących postawach, odpowiadali na zwracane ku nim pytania przewodniczącego.

Nazwiska ich?

Cztery męskie głosy dość wyraźnie, głośno, odpowiedziały z kolei.

— Piotr Dziurdzia.

— Stefan Dziurdzia.

— Szymon Dziurdzia.

— Klemens Dziurdzia.

Stan ich?

Chłopi, rolnicy i posiadacze ziemi. Ostatni tylko ziemi własnej jeszcze nie miał, ale był synem i dziedzicem pierwszego, Piotra Dziurdzi, który nie tylko że ją posiadał, ale przed laty kilku piastował w swój wiosce ważny w społecznym życiu chłopów, urząd starosty.

Teraz, pytanie najciekawsze.

Czy przyznają się do popełnienia zbrodni, o którą obwinionymi zostali.

Znowu cztery głosy, z kolei, ciszej lub donośniej lecz zawsze wyraźnie odpowiedziały.

— Przyznają się.

Przyznają się. Niema więc już wątpliwości, że popełnili tę zbrodnią. Nie nędzarze, nie włóczęgi, nie członkowie proletaryatu, żyjącego w trującej atmosferze palących zawiści i podstępnych łupów, ale rolnicy, którym wiatry Boże niosą rzeźwość i zdrowie... posiadacze, którym ziemia własna rodzi

bujne kłosy... pracownicy, których uznojone czoła, równać się mogą w powadze i czystości czołom uwiecznionym wawrzynem... Co to znaczy? Czy urodzili się już potworami? Czy, kiedy jeszcze w kolebkach byli, geniusz zbrodni napoił ich swym oddechem? Czy nie mieli serca, ani sumienia, ani w piersiach swych żadnej z tych strun dobroci, litości, prawości, które z wiekowym mazołem ludzkość wypracowała w swém łonie? Byliż to może szaleńcy, idyoci, głupcy, którzy dobrego od złego odróżnić nie mogli?

Rzecz dziwna! Daremnie kilkaset par ludzkich oczu zatapiało się w ich twarzach, zgodności pomiędzy nimi a tém, co popełnili, dostrzedz nie było podobna. Nie wyglądali na tych, którzy już na świat ze sobą przynieśli zadatki zbrodniczych przeznaczeń, ani na szaleńców, ani na idyotów.

Pierwszy z nich, ten, który nazywał się Piotrem Dziurdzią, był wysokim, dość szczupłym i już nie młodym, ale jeszcze krzepkim i silnym człowiekiem. Włosy miał bardzo gęste, ciemnopłowe siwizną przysypane i tak długie, że spadały mu aż na kołnierzy więzienną oponczy. W oprawie tych długich, siwiejących włosów i krótko ostrzyżonego zarostu, twarz jego bladawa nieco, łagodnością i powagą wyrazu swego, pociągające sprawiała wrażenie. Policzki jego, w więzieniu może wychudłe, zakreślały prawidłowy i łagodny owal, usta pod płowym wą-

Piotr Dziurda

sem drżały trochę, na wązkim czole ciemniało kilka głębokich zmarszczek a siwe, zamysłone oczy, z pod brwi wypukłych i gęstych, wodziły dokoła powolnym, poważnym i bardzo smutnym wejrzeniem. W chwili gdy stanął w ławie obwinionych, można było dostrzedz zaledwie widzialny ruch ręki, którym na piersiach swych skreślił znak krzyża, a gdy już odpowiedział na wszystkie zadane mu pytania, splecione ręce złożył na poręczy ławy i oczy wzniosł w górę. Wówczas w twarzy jego zjawilo się coś marzycielskiego, coś, co zdradzało wewnętrzną, pokorną, w głębinach duszy szeptaną modlitwę. Wkrótce jednak powieki przykryły mu rozmodlone źrenice, grzbiet przygiął się, głowa na pierś opadła i tak już ze splecionemi rękoma, poważny, łagodny, bardzo smutny pozostał.

Zupełnie niepodobnym do Piotra, był stryjeczny brat jego Stefan. Wysoki także ale barczysty i bardzo wyprostowany, brunet z czarnemi jak noc włosami i czarnym bujnym wąsem byłby on pysznym okazem silnego, kształtnego i pięknego chłopca, gdyby nie szczególne i uderzające, przedwczesne zestawienie twarzy. Nie miał jeszcze lat czterdziestu a ściągłe i prawidłowe rysy jego były tak zorane, zmięte, pomarszczone, że niepodobna-by na nich znaleźć najmniejszego gładkiego miejsca. Przytém, mogło się zdawać, że wielki jakiś ogień opalał twarz tę tak długo, aż powlekl ją ciemną, prawie bronzową

wą cerą. Widoczném téż było, że nie nędza fizyczna uczyniła ją taką, lecz, że zmięły ją i spaliły w ten sposób gwałtowne namiętności i srogie zgryzoty. Była to twarz ponura i zrozpaczona, śmiała i roztropna. Czarne oczy Stefana, pośepnie lecz roztropnie i nawet bystro spoglądały wprost przed siebie; w postawie i ruchach jego malowała się energia, której zbytek musiał znajdować sobie ujście w nieposkromionej, gwałtownej popędlivości.

Trzecim i zupełnie różnym od tamtych typem chłopskim był Szymon Dziurdzia. Nizki, chudy, z wełnistym splątany włos, który mu czoło całkiem prawie zakrywał z otwartymi nieco ustami i nosem małym, bombiastym, u czoła wklęsłym, był to człowieczek niemłody, brzydki, gapiowaty, bardzo widoczném nadużyciem alkoholu ogłupiony i prawie zezwierzęcony. Pijackie oczy jego, z blade błękitną żrenicą, pływały w chorobliwej wilgoci; czasem grubym i ciemnym palcem ocierał sobie łzę z powiek i bezmyślnym ruchem rozmazywał ją po chudym i żółtym policzku. W ruchach, postawie i spojrzeniach jego malowało się przerażenie, z rozżaleniem połączone. Strwożony, rozżalony, ogłupiały, niewiedzący, co począć z rękoma, które spletał, to wzdłuż ciała opuszczał, ust przytém ani na chwilę zupełnie nie zamykając.

Najmłodszym ze wszystkich, bardzo jeszcze młodym bo dwadzieścia dwa lata zaledwie mającym,

był Klemens, syn byłego starosty, Piotra Dziurdzi. Urodziwy, jasnowłosy ten parobek, z okrągłą, rumianą twarzą i błękitnymi jak niebo oczyma, wydawał się makiem polnym, bujnie wśród pola wyrosłym i tu w tę ciżbę ludzką, w tę atmosferę przenikniętą światłem sztuczném i grozą wążących się przeznaczeń, gwałtownie przesadzonym. Panującym uczuciem, które malowało się na młodzieńczej i jak zorza świeżej jego twarzy—był wstyd. Kiedy po raz pierwszy zwróciły się ku niemu spójżenia tłumu, ognisty rumieniec buchnął mu do policzków i czoła. Zarumienił się znowu, wymawiając wyraz przyznając się! i rumienił się potem za każdym razem, gdy w ciągu rozpraw sądowych imię jego wymawiano. Czasem zamyślał się i daleko, daleko kędyś patrzył. Wtedy, do oczu jego nabiegały łzy. Czasem znowu, młoda ciekawość przewyciężała w nim wszelkie inne uczucia. Wtedy, z pod powiek, nieśmiało ale chciwie przypatrywał się wszystkiemu, co go otaczało, a o czém pod strzechą swoją, ani nawet śnił kiedy, Boże mój! tak tu jasno, jak gdyby niebiosy otworzyły się i wszystkie swe blaski na ziemię wylały; tak tu ludno, jak gdyby zbiegło się pół świata, takie tu piękne ubiory, jak gdyby odbyć się miał wielki jakiś i wesół festyn. A on tu co? zbrodniarz, którego sądzić mają. Jak osądzą? Bóg że to jeden wié. Za temi ścianami wiatry boże wieją, ku jego wiosce rodzinnej lecą, ku téj chacie lecą, gdzie stara

matka z załamanemi rękoma została, ku temu polu leca, które on orał już od lat paru, kiedy słonko świeciło jasno, zioła pachniały, serce biło równo, cicho, wesoło, nie tak jak teraz, gdy kołace w pierśi ze wstydu i trwogi, niby na pogrzebie bijący dzwon...

Więc to ci czterej ludzie popełnili tę zbrodnią przerażającą i ponurą, jak sen zimowej, burzliwej nocy? Była to też wtedy zimowa, burzliwa noc... Ależ dla czego? jakim sposobem? pod wpływem jakich pokus i poszeptów?

Z zeznań świadczących, z rozpraw sądowych, ze starannie wywoływanych później, a pilnie słuchanych gawęd ludzkich, ze zwierzeń, które podsądni czynili przed swym obrońcą, od początku do końca swego, odsłoniła się przed tymi, którzy ją poznać zapragnęli, historia następująca.

I.

W Suchej Dolinie zapanował ruch umysłów widoczny i stopnia wzburzenia dosiegający. O co tak bardzo szło mieszkańcom tej wioski, długim szeregiem czterdziestu może chat i ogrodów, dość malowniczo rozciągniętej, pośród pól zlekka falujących i zdobiących je osinowych i brzozowych gajów? Większość chat miała pozór dostatni; były wprowadzie pomiędzy niemi niziuchne, ubożuchne i nadpróchniałe, ale nie brakło i takich, które świeciły białemi kominami, sporemi oknami i porządnymi ganeczkami, opartemi na słupkach i zaopatrzonemi w wąskie ławeczki do siedzenia. Te pola, falujące i gajami zwieńczone, miały pozór żyzności i niezłej uprawy, za niemi zieleniło się trochę łąk i dobrych pastwisk, w ogrodach, gęste konopie stały gotowe do zdjęcia, okwitłe kartofle wyglądały obiecująco, bujne głowy kapusty dojrzały, gęsto sadzone wiśniowe drzewa dawać musiały obfite plo-

ny owoców. Nędza więc zaglądała tu chyba kiedy niekiedy i tylko do najuboższych chat. Najdostatniejsze wyglądały tak, jak gdyby w nich nie tylko chleba, ale nawet mleka i miodu a może i groszy nie brakło. Jakiż więc niepokój wstrząsał w ten piękny wieczór letni mieszkańcami téj wioski? O czém gromada bab, przed jednym z najdostatniej wyglądających domowstw zebrana, gwarzyła tak żywo, że aż dokoła niéj, zebrała się gromada dzieci starszych i młodszych. Dziewczynki od lat siedmiu do czternastu, w sinych spodniczkach i szarych koszulach, bose, z głowami ukrytymi w czerwonych chusteczkach, z pod których wymykały się kosmyki jasno-płowych włosów, staęły pod płotem długim szeregami i, spłotłszy na spodniczkach małe, ciemne jak ziemia ręce, szeroko pootwierały oczy, napętnione wyrazem ciekawości, a w których błękitnych lub piwnych źrenicach, zachodzące słońce rozżażało ruchome iskry. Przypatrywały się i przysłuchiwały babom, a baby gadały, gestykułowały, krzeczyły. Chłopcy lat różnych stali za babami, nie tak przecieź nieruchomo jak dziewczęta, które umieściły się pod płotem. Bosi także, jasno-włosi, w szare płótno odziani, weiskali się oni pomiędzy matki i ciotki, podnosili ku twarzom kobiet twarze swe opalone, śmiałe i wesołe, które wykrzywiali w sposób najrozmaitszy, swawolnie przedrzeźniając gadatliwość i zażartość babską. Starsi targali kobiety za far-

tuchy i natarczywie wtrącali się do rozmowy, jeden z młodszych pięcioletni może, w długiej do stóp koszuli, z wypukłym brzuchem i opuchłemi żółtemi policzkami, trzymał wciąż palce w oślinionych ustach i bezmyślnemi błękitnemi źrenicami patrzył nieruchomo w twarz swojej matki, a płacziwym, przeciągłym głosem od chwili do chwili wołał: Ta... ta!

Na wązkim dziedzińcu chaty, pod którą tłoczyły się baby i dzieci, panował także gwar pewien, ale znacznie mniejszy, bo podnosiła go gromadka mężczyzn mniej i ciszej od niewiast mówiących. Jeden z nich, u wrót stajenki przykleknawszy, siekierą rozszczepiał kłoc drzewa na drobne drewnienka, a tak bardzo pogrążonym był w téj robocie, jak gdyby spełniał jakąś uroczystą i arcyważną czynność. Z pochyloną głową i zgietymi plecami, chłop ten niemłody już i szczupły, ale jeszcze silny i czerstwy, był to jeden z najzamożniejszych i najroztropniejszych gospodarzy Suchéj Doliny, właściciel téj chaty, a zwał się Piotr Dziurdzia. Tuż za nim stali dwaj synowie jego, młodzi, lecz już dorośli parobcy, dalej stryjeczny brat Piotra, ale wcale do niego niepodobny, Stefan, w wymowie chłopów Stephan Dziurdzia, przypatrywał się jego robocie z ponurym wyrazem na przedwcześnie zestarzałej, zmiętej i jakby spalonej twarzy; dalej jeszcze stał także Dziurdzia imieniem Szymon, mizernie i smutnie

wyglądający, a za każdym odetchnięciem wydający z siebie mocny zapach wódki. Wódka to zapewne zaprawiła mu białka oczu krwistą barwą, wysuszyła i zażółciła policzki, ona też może była przyczyną, że miał podartą koszulę i stopy bose, gdy inni przyodziani byli w porządne samodziłowe kapoty i grube ale dostatnie aż do kolan sięgające obuwie. Oprócz tych pięciu Dziurdziów, było tam jeszcze kilkunastu chłopów starszych i młodszych, więcej i mniej ożywionych, którzy jednak wszyscy zdawali się być mocno zajętymi tem, co czynił Piotr Dziurdzia, spoglądali na siebie z uśmiechami na ustach, i wyrazem żywej ciekawości w oczach, wzruszali czasem ramionami i rzucali pojedyncze słowa lub wykrzyki. A przed wrotami dziedzińca baby gadały wciąż, krzyczały, gestykulowały; ta i owa z ferworu wielkiego aż przysiadła czasem ku ziemi, albo rękoma uderzała o policzki i plecy sąsiadek, które, odwracając się, śpiesznie ją odpychały i dalej swoje prawić zaczynały, aż do utraty tchu, aż do podniesienia głosów ku najwyższym i najprzeróżliwszym dźwiękom ludzkiej krtani. Takim to właśnie głosem jedna z nich, ku dziedzińcowi chaty zwracając się, zawołała:

— Pietruk! hej Pietruk! skończysz ty kiedy czy nie? A to słońce zajdzie i psy nie ludzie po polach chodzić będą!

Stepanowej żonki, ale dlatego, że już robotę swoją ukończył. Pod ścianą stajenki leżał duży stos cienkich, suchych, do zapalenia wybornych drewniek. Pochylił się, ujął ten stos w ramiona i wyszedł z nim za bramę chaty. Tu powitał go chóralny okrzyk bab i otoczył rój dzieci. Dziewczynki podrywały się od płota i podchodziły do niego zwołana, chłopcy, jak żrebięta skakali dokoła niego, wierzgając i wrzeszcząc.

— Won! poszli — krzyknął Dziurdzia na dzieci, które też rozbiegały się na wsze strony, ale w pobliżu stanawszy, przypatrywały się wciąż niesionemu przezeń drzewu, jakby to był przedmiot po raz pierwszy w życiu przez nie widziany. Jedna z bab, ta, która właśnie rej pomiędzy wszystkimi innemi wiodła, wysoka, chuda, śniada, z czarném palącym okiem, Rozalka, Stefanowa żona, wyskakując naprzód i rękoma za biodra swe chwytając, z niezmierzonym zapalem do Piotra zawołała:

— A osinowe drzewo!

— Nu, a jakież? — pogardliwie odrzucił poważny chłop.

— Czy pewno osinowe?

I zaczęła dalej prędko i z zawziętością trzepać językiem.

— Bo jeżeli nie osinowe, to nic z tego nie będzie... wiedźma nie przyjdzie na inne drzewo, tylko na osinowe..! *Pryślałnij* Pietruk, że osinowego

drzewa rąbał, *prysiahnij*, tutże zaraz palce na krzyż złoż i *prysiahnij*, że osinowe...

Tracąc dech od szybkiego mówienia, targała rękaw i poły samodziałowej kapoty Piotra, a obu łokciami odtrącała od siebie towarzyszki, które chwytając ją za ramiona i koszulę, zapalczywość jej powściągać próbowały. Spróbował uczynić to i Stepan. Ciemne oczy jego zaiskrzyły się; ściśniętą pięścią uderzył żonę w plecy tak silnie, że zatoczyła się o kroków kilka i była-by upadła, gdyby nie płot, o który oparła się ręką. Wnet przecież, szybka jak błyskawica, zwinna jak wiewiórka przyskoczyła do męża, wycięła mu głośny policzek i w najmniejszym stopniu nie zajmując się nim dalej, biegła znowu za Piotrem, drogę mu zabiegając i wciąż na różne tony powtarzając.

— A osinowe drzewo? Pewno osinow?... *Pry-siahnij* Pietruk, że osinowe...

W gromadzie, postępującej za Piotrem, wybuchnęły grube i piskliwe śmiechy. Stepan szedł ze zwieszoną głową, milcząc jak grób. Do policzka, który od otrzymanego uderzenia nabiegł krwistą czerwonością, ani się dotknął, ale ciemna i gruba skóra jego twarzy zfałdowała się w takie już mnóstwo zmarszczek, że niepodobna-by wynaleźć na niej najmniejszego gładkiego miejsca. Roziskrzzone oczy wlepił w ziemię i przez zaciśnięte zęby wyrzucił

krótkie, niewyraźne przekleństwo. Wstydzil się może i wrzał cały.

— *Wstydnno!* — rzekła głośno niemłoda i widocznie schorowana, ale jeszcze urodziwa żona Piotra Dziurdzi, najdostatniej ze wszystkich kobiet ubrana i najmniej krzycząca.—Ja z moim wiek przeżyłam, synów pochodowałam, że wyrosli jak te dęby, a nigdy pomiędzy nami swarów i bitwy nie było, dalibóg nie było.

— *Wstydnno!* — powtórzyło kilka głosów, a jeden z chłopów, na Stepana wskazując, z uśmiechem dodał:

— *Takij* z niego muzyk? Babie przywozić pozwalał ja by ją...

Nad tym gwarem słów i śmiechów, wzbił się znowu głos Rozalki, ale tak już tym razem ostry i rozpaczliwy, jakby jej nóż do gardła przykładano.

— A osinowe drzewo? pewno osinowe? *prysiahnij* Pietruk, że osinowe...

Stary, niski chudy chłop, ktorego zwano Jakóbem Szyszką, wystąpił z gromady, zbliżył się do kobiety, którą wątpliwość co do gatunku narąbanego drzewa w rodzaj wściekłości wprawiała i z powagą przemówił:

— Nie *durys*, Rozalka! Jaż tam był i widział, że drzewo jest osinowe... Toż i u mnie nieszczęście... i ja chcę tój wiedźmie przeklętej w oczy zaj-

rzec... czy ja by zgodził się, żeby drzewo insze było jak osinowe?...

Rozalkę słowa te jakby zimną wodą oblały, umilkła i, cofnąwszy się nieco od Piotra, śpiesznym i nierównym krokiem, zwykłym istotom gwałtownym i niespokojnym, na czele innych niewiast postępowała. Zresztą, w miarę trwania pochodu, gromada malała. Na dziedzińcach chat, które mijano, porykiwały krowy, tylko co z pastwiska przygłane, drżącym, jękliwym głosem odzywały się owce, niewyprężone pługi i brony stały tak, jak je właściciele ich, pośpiechem i ciekawością snadź pobudzani, opuścili. Tu i owdzie, ktoś pozostały w chacie rozniecił ognisko, a wijące się za małemi oknami złote jego blaski, na wieczercę zapraszając, głód przypominały. Mężczyźni tedy i kobiety, odłączali się od gromady i za opłotkami dziedzińców, albo we wnętrzach domowstw znikali. Przedtém jednak, zbijając się na krótką chwilę w małe gromadki, zamieniali się urywanemi, a całą myśl ich mającemi streścić wyrażeniami.

— *Komedy!* — Wzruszając ramionami mówili jedni.

— Niech *tuju komedy* licha porwie! — sierdziejście odpowiadały kobiety. — *Heto* bieda jest, *zhryzota*, utrata wielka a nie *komedy*...

— Ciekawość! nu ciekawość, kto *heta* wiedźma!

— Przyjdzie ona na ogień, czy nie przyjdzie?

Ostatnie to pytanie zawisło na ustach wszystkich; głosy różne męskie, kobiece i dziecięce, stare i młode, powtarzały je w chatach, oborach, stajenkach, na dziedzińcach i u studzien, u których dziewczęta przy skrzypie żórawi, wodę czerpały.

— Przyjdzie ona na ogień, czy nie przyjdzie? — Najstarsi odpowiadali.

— Czemu przyjsć nie ma! Za *dzidów*, *pra dzidów* naszych przychodziła, to i teraz przyjsć musi...

Tymczasem, Piotr Dziurdzia, szedł wciąż naprzód krokiem powolnym i miarowym. Wychodząc z dziedzińca swojej chaty, włożył był na swe gęste, siwiejące, długie włosy, starą czapkę, zniszczoném futrem baraniém oszytą. W długiej kapocie z płótna na czerwony kolor zafarbowanego, w wysokich butach, w téj czapce, której strzępy zwisały mu nad gęstemi brwiami, z grubą więzią drzewa w ramionach, miał pozór kapłana niby, gotującego się do spełnienia uroczystego i publiczne sprawy na celu mającego obrzędu. Wyraz twarzy jego ściągłej, krótkim zarostem otoczonej, nie był weale ponurym, ani rozgniewanym, tylko głęboko zamyślonym, prawie uroczystym. Mileżał jak grób, patrzył wprost przed siebie siwemi oczyma, w których malowała się pokora, jakby prośba wewnętrznie do kogoś zanoszona. Można by przypuścić, że w głębi duszy swój odmawiał on w téj chwili żarliwe pacierze. Tuż za nim, szli dwaj jego synowie, rośli, jasnowło-

si, z otwartemi i wesołemi twarzami parobcy; dalej, nisko chyląc głowę, ciężkim krokiem postępował Stepan, obok którego włókł się w obdartém odzieniu swém i z pijacką twarzą Szymon Dziurdzia i bardzo poważnie stapał stary, niski, siwy Jakób Szyzsko. Z kobiet, pozostały tylko żony trzech Dziurdziów i jakaś hoża dziewczyna, z wesołą miną, wciąż na młodego Klemensa Dziurdzię zerkająca i na nią kończył się już ten pochód. Dzieci wszystkie, tak dziewczynki jak chłopcy, chciały bardzo przyłączyć się do orszaku, ale je odpędzono i jeden ów tylko czteroletni chłopczyną w koszuli, z wyдутym brzuchem i nabrzmiałemi policzkami odpędzić się nie dał. W kilka kroków za idącymi, prędko, prędko, swemi małemi, bosemi stopkami dreptał on po czarnych nierównościach i brzdach wiejskiej ulicy i od czasu do czasu płaczliwie, przeciągle wołał: — Ta, to! Ludzie jednak składający pochód, na to dziecięce wołanie żadnej nie zwracali uwagi. Tu i owdzie gołębie zrywały się z dachów i ze słodkiem gruchaniem ulatywały w powietrze na srebrzystych, albo różowych skrzydłach; pyszne, jaskrawo opierzone koguty, spłoszone tententem licznych kroków, ciężko podlatywały z ziemi i siałady na płotach; przez wrota pootwierane, wybiegały żółte, czarne i pstre kundły, a poznawszy swoich ciekawie tylko lub obojętnie na przechodzących spoglądały. Tam, het, za wioską, polami i gajami,

słońce już wnet zająć miało, bo ostatnie jego światła rzucały na ściany chat i twarze ludzkie, nie trwałe, różowe luny. Rubinowo zaognione przed chwilą szyby okien bladły i gasły, natomiast coraz gęściej złościł je blask roznieconych ognisk. Dymy nad kominami wprzód rumiane i srebrne, szarzały; ryk bydła, beczenie owiec, stuki otwieranych i zamykanych wrót, cichły i milkły.

Za wioską, polami i gajami, ciemne gęste chmury półkolem objęły zachodni skraj nieba; słońce przejmowało jeszcze ich głębie fioletem i purpurą, ale było już niewidzialnem. W pobliżu ostatnich lecz jaskrawych blasków jego blade i prawie lilowe, ciemniejsze potem i w środku swym aż prawie szafirowe sklepienie, wznosiło się nad ziemią, bardzo powoli okrywaną mrokiem tak przezroczystym, że odbijały się w nim wyraźnie żółte barwy ścierisk i więdnących łąk, szara zieloność gajów i piaszczysta białość dróg przerzynających pola. Mniej niż o wiorstę od ostatnich domowstw wioski, cztery drogi rozbiegały się z jednego punktu, w kierunki różne. Jedna z nich prowadziła do wioski, druga, falując, wraz z falującym gruntem przepadała kędyś z niedoścignionej dla oka oddali, trzecia prosta i gładka, końcem dłuższej swęj taśmy znikiała w głębiach najbliższego gaju; czwarta, najkrótsza, tu i owdzie wierzbami i dzikimi bzami osadzona, kończyła się u płotu otaczającego chatę, w pewnej od-

ległości od wioski zbudowaną, samotną ocienioną kilku starymi drzewami. W pobliżu téj chaty widać było budowę niewielką, niską, bez okien, w której od razu każdy świadomy spraw wiejskich rozpoznałby kuźnię. Były to więc drogi rozstajne. W miejscu, z którego rozchodziły się one, w różne strony świata, z gęstego szlaku zieloności otaczającego pole, wystrzeliwał stary, wysoki krzyż. Naprzeciw krzyża, rozdzielony z nim wązkim szlakiem drogi, leżał ogromny, siwym mchem obrosły kamień. O parę kroków od kamienia, Piotr Dziurdzia stanął i, ciężar swój z ramion na ziemię zrzucił, poczem wyprostował się, głośno odetchnął, w niebo spojrzął i z kieszeni kapoty hupkę wydobywszy, w milczeniu ogień krzesać zaczął. Głębokie milczenie zapanało téż pomiędzy towarzyszącymi mu ludźmi. Zbili się oni wszyscy w ściśniętą gromadkę, wzrok w ręce jego wlepili i zdawali się oddech w piersi wstrzymywać. Widocznie zapominali o wszystkiém, co nie było tą szczególną czynnością, dla której tu przybyli. Stefanowa silnie zacisnęła swe wązkie usta, żona Piotra i jeden z jego synów, przeciwnie, rozwarli je tak szeroko, że małe jakie ptaszę wygodnie wlecieć by w nie mogło; Jakób Szyszko wyprostował się i tak uroczystą przybrał postawę, że wydawał się daleko wyższym niż zazwyczaj; wnuczka jego, hoża ta dziewczyna; która w czasie pochodu wciąż na Klemensa Dziurdzię zerkala, teraz

ze zmieszaniem ciekawości i przerażenia na twarzy. ukryła się za plecy ładnego parobka, przygarnęła się cała do niego i brodę swą na ramieniu mu położyła. Ładny parobek najmniej z pomiędzy wszystkich obecnych zajęty odbywającym się aktem, wybornie spostrzegł to zbliżenie się doń dziewczyny, uśmiechnął się nieznacznie, wpół z przyjemnością, wpół z urąganiem. Zdawało się, że i hożej France i temu, co się przed oczyma jego działo i dziać miało, trochę urągał. W tém, Piotr Dziurdzia pochylił się ku ziemi i część przyniesionych przezeń suchych drewnienek, buchnęła ogniem. Cztery kobiety, jednogłośnie i na całe gardło wrzasnęły.—O Jezu!

Dla czego ogień tak bardzo przeląkł je, czy wzruszył? Wszak z blaskiem i gorącem jego oswajały się one od pierwszego dnia istnień swoich i od rana do wieczora każdego dnia! Tym razem przecież, wyglądały tak, jak gdyby były nigdy w życiu swém ognia nie widziały. Wszystkie cztery wrzasnęły zrazu.—O Jezu! A potem Stefanowa zawiodła dalej jeszcze.—O Jezu mój, Jezu najmiłosierniejszy! Poiotrwa wdychała głośno i raz po raz, Szymonowa głowę w obie strony kołysała i także wdychała, Franka zaś, w obie garście pochwycawszy ramię Klemensa, tak mocno je ścisnęła, że parobek łokciem rzucił i wzgardliwie ją oburknął — *Otczepiś!* Czego do mnie przykleiła się... jak ten kleszcz! Kleszczem nazwana dziewczyna nie odczepiała się je-

dnak i, przyklejając się do pleców parobka jeszcze mocniej, w same ucho półgłosem mu jęczała. — Oj Klemens, Klemens! oj, oj, Klemens! — Mężczyźni milezeli, wkrótce też umilkły i kobiety, znowu usta pozaciskały, lub szeroko pootwierały i, oddechy w piersi powstrzymując, czekały. Czekali wszyscy. Na co? Na skutek ognia, który żółtą strugą obejmując osinowe drzewo, palił się zrazu nisko przy ziemi, potem płomienistemi języki strzelać zaczął coraz wyżej.

Na polach pusto było i cicho. Stojąca na zachodzie chmura zagasła całkiem i tylko jeszcze wypływająca z za niej blada złota luna rozświecała widnokrąg. Kędyś za wzgórzem zaturkotały koła wozu i w dali umilkły; od wioski dochodziły poszecekiwania psów i głuchy szmer ludzkiego mrowia; na żadnej z dróg w cztery strony rozechodzących się od krzyża, żywego ducha widać nie było, tylko u końca jednej z nich drzwi kuźni, rozpałiły się czerwono i ozwało się kilka uderzeń młota, które w najbliższym gaju echo powtórzyło głośno i przeciągle. Ale potem, przez długie kilka minut, nie odezwał się już i młot kowalski; w niskich wierzbach za to, rosnących przy drodze, która do kuźni wiodła, parę razy płaczliwie zaskomlił lelak. W gromadce ludzkiej, tłoczącej się u ognia, przy omszałym kamieniu i naprzeciw krzyża rozniecone-go, męzki, świeży głos, głośno i wyraźnie wymówił:

— Albo to prawda?

Wszyscy, nawet poważny i skupiony w sobie Piotr Dziurdzia, obejrżeli się na mówiącego. Był nim wysoki, ładny Klemens.

— Co takiego? co takiego? co ty gadasz? — zaterkotała Stefanowa.

— Albo to prawda, że wiedźma na ogień przyjdzie? — z nogi na nogę przestępując, powtórzył parobek.

Tym razem wszystkie kobiety pootwierały szeroko usta, a Franka półgłosem znowu zajęczała — Oj, Klemens, Klemens! — Ale siwy, chudy, niski Jakób Szyszko uroczystym głosem rzekł:

— Za *dzidów pradzidów* naszych przychodziła, to czemuż-by i teraz nie miała przyjść?

— Ale! — powtórzył chór głosów.

Klemens znowu z nogi na nogę przestąpił i mniéj trochę śmiało niż przedtem zauważył:

— Może jęj ze wszystkiém na świecie niéma?

— Kogo? — wrzasnęła Stefanowa.

— A wiedźmy... — wahającym się już głosem odpowiedział parobek.

O! tym razem, przeciw tak zupełnie już krańcowym wątpliwościom, wybuchnęła burza. Stefanowa porwała się obu rękoma za biodra i do Klemensa przyskoczyła.

— Wiedźmy niéma? — krzyknęła — a dla czego mleko u krów przepadło? ha? dla czego przepa-

dło? Czy to ja łgę, że przepadło? Jeżeli ja łgę, o pytajcie się rodzonej matki, czy nie przepadło?... I u Szymona pytajcie się i u Jakóba i u wszystkich... Oj! biednaż główeczka moja! Mleka u krów kropieleczki nie ma... dziecku w gębę wlać czego nie ma... a on mówi, że więdźmy niema... Oj dolo moja nieszczęśliwa! oj, paskudniku ty, niedowiarku, *haratyku* taki, że niech Pan Bóg broni...

W ten potok słów i krzyków niewieścich, Klemens wlać zdołał jeszcze słów kilka, więcój, zda się dla drwiny i na przekór babie niż z przekonania wymówionych.

— Wiadomo! susza taka, że niech pan Bóg broni, pasza kiepska, to i mleko przepadło...

Ale tym razem zwrócił się ku synowi, sam celebруюcy w tym uroczystym akcie Piotr Dziurdzia i łagodnie, ale z wielką powagą mówić zaczął.

— *Hodzi*, Klemens, kiedy nasze *dzidy*, *pradzidy* w *heto* wierzyli, musić *heto prauda*. Nie *breszy* (szczękaj) darmo i czekaj. Może cud Bozki okaże się okaże się nam niegodnym, a *taja*, co nam *takuju krydu* zrobiła, przyjdzie na ogień zapalony z tego osinowego-drzewa, na którym powiesił się Judasz, psia jego dusza, co w żydowskie ręce wydał Pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

Przemówieniu temu odpowiedziało kilka głośnych westchnień, nad którymi wzbił się jęklivy, donośny, zapaleczywy głos Stefanowój:

— A osinowe drzewo? pewno osinowe?

Ale Jakób Szyszko uciszył niespokojną kobietę porywczym giestem, i znowu w gromadce i dokoła niej zapanowała cisza. W niskich wierzbach przy drodze załkał lelak, o kilka kroków za stojącymi nad ogniem ludźmi, dziecięcy, słaby, zmęczony głos, zapłakał: — Ta-to! Nikt na ten biedny, mały głos nie zwrócił uwagi, oprócz ponurego Stefana, który obejrzał się, kilka kroków postąpił i z głuchym, swarliwym sarkaniem podniósł z ziemi malca w koszuli, z wyдутym brzuchem, nabrzmiałemi policzkami, palcem pograżonym w ustach i błękitnymi oczyma, pełnemi łez. Był to syn jego i Rozalki, jedyny. Ze swarliwym sarkaniem Stefan podniósł go z ziemi, ale wnet ściśle ramionami otoczył, do piersi przycisnął i bose stopy jego mokre od wieczornej rosy, połą kapoty swojej osłonił. Dziecko blade i obrzękłe, głowę na ramiona ojca pochyliło i wnet oczy przymknęło. O! widocznie potrzebowało ono, niezmiernie potrzebowało tego, dobrego, słodkiego mleka, które krowom jego rodziców odebrała złośliwa wiedźma!

Cicho i cicho! Na polu i drogach wciąż ani ducha żywego. W kuźni znowu odzywa się stuk młota; echo powtarza je w najbliższym gaju; w ciszy powietrza ogień pali się zwolna, lecz coraz wyżej. Piotr rzucił węń jeszcze sporą więź drzewa (Stefanowa ma okropną ochotę zawołać znowu: czy osi-

nowe drzewo? czy pewno osinowe? lecz lęka się trochę Piotra i starego Szyski, więc mileczy i tylko niecierpliwie obu rękoma fartuch swój targa), płomień buchnął wysoko, a blaski jego padły na stojący naprzeciw krzyż i mnóstwem złotych węży wiły się po nim coraz wyżej, aż ku rozpiętym jego ramionom... Ujrawszy krzyż nagle w złocie stojący, wszyscy obecni bez wyjątku pochyłili głowy i przeżegnali się powoli, nabożnie...

W tej chwili, za paru wzgórzami, na drodze, która, falując po wzgórzach, przepadała w dalekich przestworzach, dało się słyszeć dalekie jeszcze, ale rozgłosne śpiewanie. Po uciszonych przestrzeniach, po pustych polach, po drzemiącym świetle, śpiewanie to płynęło melodyjnie i szeroko, na nutę łagodną i tęskną. Śpiewający głos kobiecy był, silnym, czystym, rozległym, wyraźnie rzucającym w przestrzeń miłosne słowa pieśni.

— Czerez reczeńku, czerez bystruju,
Podaj ruczeńku, podaj miłuju;
Czerez bałoto, czerez źródęńko,
Chadzi do mienie, moje serdeńko.

Na twarzach gromadki, stojącej przed ogniem i naprzeciw złoczonego krzyża, odmalowały się zmieszane uczucia zadowolenia, przerażenia, nade wszystko zaś ciekawości. Sam nawet niedowiarek, Klemens, szeroko oczy roztworzył i rękę podnosił

aby przeżegnać się po raz wtóry, ale ze wzruszenia zawisła mu ona w powietrzu.

— Idzie! *uże* idzie! — Szepnęły kobiety.

Franka, ze strachu przed wiedźmą, na ziemi przysiadła, z całej siły przytém trzymając się obu rękoma kapoty Klemensa.

Niewidzialna śpiewaczka, zbliżając się coraz, śpiewała dalej:

— Hdzie ty dzieuczyno myślami bładzisz?
Skaży ty praudu, kaho ty lubisz?
Oj, znaju, znaju, kago kachaju,
Tylko nie znaju z kim się zwieńczaju!

Tym razem trzy Dziurdziowe jednomyślnie na siebie spojrzwały.

— Kowalieha, (kowalowa) czy co? — szepnęła żona Potra.

— Ale! — odszepnęła żona Szymona, — nikt *hetak* nie *spiewaje*, tylko ona!

Stefanową od głowy do stóp wstrząsnęło namiętne drgnienie; przeciw zwyczajowi swemu nie rzeźbiła nic, tylko prędko, z uragliwym wyrazem w oczach, które jak zuzle zapłonęły, obejrzała się na męża. Dziwna rzecz! Stefan tak szyję wyprężył i tak całkiem podał się naprzód, jakby chciał po przez wzgórze przejrzeć i zobaczyć tę, której głos tylko uszu jego dolatywał. Przyczém, od wyprężenia mięśni, wygładziła się całkiem ciemna skóra

jego twarzy i tylko czoło zmarszczone, zmięte, rzucało na nią wyraz cierpienia.

Na szczycie małego wzgórza, ukazała się i szybko zstępować zeń zaczęła, postać kobieca, której rysów jeszcze rozpoznać nie było można. Szybko idąc, dalej pieśń swą śpiewała:

— Oj, pojdu, pojdu w las i lasoczki,
Hdzie rozświetajuc drobne listoczki,
Tam ja chadziła i hawaryła,
Sudzi mnie Boże...

Nagle głos śpiewającej urwał się i zamilkł. Znalazła się ona o kilka kroków od roznieconego ognia i, jak w ziemię wryta, stanęła. Teraz przy ostatnich światłach dnia i miesających się z niemi blaskach płomienia, postać i twarz jęj uwypukliły się z wyrazistością rzeźby. Młodą jeszcze była, wysoką, silną i kształtną. Z pod wysoko podniesionej sinęj spódnicy, widać było silne i nagie jęj nogi, bosemi stopami tonące w gęstej trawie. Oprócz sinęj spódnicy, miała na sobie tylko grubą koszulę, wielki pasiasty fartuch, dwoma rogami mocno do pasa przytwierdzony i napelniony takim mnóstwem kwitnących ziół, że wylewały się zeń one na jęj spódnice i czepiając się wzajem, aż ku ziemi spływały. Były to liliowe czombry i brunelki, konieczyny różowe i białe, gwieździste rumianki, błękitne cykorye polne. Oprócz tego, w obu ramionach nie-

sła ona ogromny snop roślin o długich, twardych łodygach, żółtęj dziewanny i śnieżnego tysiącznika, a był to snop tak wielki, że całą pierś i część twarzy jęj okrywał, i że nad nim widać było tylko głowę jęj, wpół osłonioną czerwoną chustką, z pod której, ze stron wszystkich, na grubą koszulę, ogorzałą szyję i wąskie gładkie czoło, wymykały się gęste, krótkie pasma włosów ciemnych, splątanych i bez połysku. W pół-osłonięta kwiatami i włosami twarz jęj wydawała się grubą i pospolitą; ogorzała, rumiana, z wiśniowemi usty, wypukłemi policzkami i wesoło zadartym nosem, jaśniała ona tylko dwojgiem oczu wielkich i podłużnych, które szarą, błyszczącą, wymowną źrenicą zdawały się mówić, śmiać się, pieścić i śpiewać... Tak z nagimi nogami, zaróżowionemi odbłaskiem ognia, z mnóstwem kwiatów, wylewających się z fartucha i osłaniających piersi, z rozrzuconemi włosy i błyszczącym, śmiałym, śmiejącym się spojrzeniem, stanęła ona tuż pod krzyżem, który teraz stał cały w płomiennym blasku. Pierwszy dźwięk, który z ust jęj wyszedł, brzmiał gapiowatę trochę zadziwieniem.

— Aaaa! — rzekła — co wy tu takiego robicie, ludzie?

Ale wnet, jakby przypomniawszy sobie rzecz dobrze znaną, tonem zapytania dodała:

— Wiedźmę na ogień łapiecie? czy co?

A potem, skinęła głową i z zupełną już świadomością dokończyła.

— Aha! mleko u krów przepadło.

I, kołysząc głową w obie strony, przeciągle zadziwiła się znowu.

— Aaaa! umum! dziwy, to dziwy!

W gromadce panowało milczenie grobowe. Zdawać się mogło, że dusze wszystkich tych ludzi zlały się w tej chwili w jedną duszę, która całą siłę swego myślenia, uczucia, wzroku i słuchu, niby ostre żądło, w tę kobietę utopiła. Wszyscy powyciągali ku niej szyje i oczy w nią wlepili. W kilku parach tych oczu nie jeszcze innego nie było, tylko zdziwienie i trochę obrzydzenia. Lecz wzrok Stefanowej rozpalony i pełen zjadliwych uśmiechów szybko przenosił się z twarzy kobiety, stojącej pod rozplomionym krzyżem, na twarz męża, która szczególny przybrała wyraz; mętny uśmiech wewnętrzny niby lubowania się rozlał się po niej całej i starł z niej całkiem zwykłą ponurość, zastępując ją głupowato wyglądającym, lecz na wskroś przenikającym go zachwyceniem. Patrzył tak, jak gdyby na coś czy na kogoś dosyć napatrzeć się nie mógł. Kobieta z ziołami tymczasem zapytała znowu.

— Cóż? czy już przechodziła?

Nikt nie odpowiedział. W błyszczących i śmiejących się jej źrenicach, mignął niepokój.



WYWOLYWANIE CZAROWNICY.

— Cóż? — powtórzyła — widzieli już wiedźmę? przechodziła?

Tym razem, z gromadki ozwał się łagodnie brzącający, ale bardzo poważny głos Piotra Dziurdzi.

— *Abo nie wiedajecie*, że która pierwsza przejdzie koło ognia, ta jest wiedźmą.

— Nu, — tonem głębokiego przekonania odparła kobieta, — żeby ja tego nie wiedziała, wiem! To i któraż pierwsza przeszła?

Dwa poważne głosy męskie z których jeden należał do Piotra Dziurdzi, a drugi do Jakóba Szyszki odpowiedziały.

— Ty.

A w mgnieniu oka potem, niby raca, z trzaskiem wybuchając w powietrze, wybuchnął jeden niewieści głos, wszystkimi tonami namiętności, doprowadzonej do furi i żalu jakiegoś, graniczącego z rozpaczą, powtarzający w nieskończoność ten jeden wyraz. — Ty, ty, ty, ty!

Nie nad ten jeden wyraz Stefanowa wymówić nie mogła, bo trzęsła się od stop do głowy a z palających jej oczu, toczyły się na śniade i chude policzki strumienie łez. Śmiała się, drżała, płakała i, tupiąc nogami, wygrażając pięściami, krzyczała. — Ty! ty! ty! ty!

— Ja? — wymówiła kobieta stojąca pod rozplamienionym krzyżem i opuściła ramiona tak, że żółte dziewany i białe krwawniki rozsypały się po



trawie i okryły jój bosc stopy. — Ja! — powtórzyła i załamała na spodnicy ciemne, spracowane ręce. Wiśniowe jój wargi rozwarły się szeroko, w oczach mignęło uczucie zgrozy. Trwało to jednak króciuchną chwilę i wnet po rumianych, pulchnych jój policzkach, po czole wązkiem i ustach rozwartych, drgać poczęło mnóstwo figlarnych, wesołych uśmiechów, aż, zwyciężywszy zdumienie i przerażenie, śmiech dzwieczny i zanoszący się wybuchnął z jój piersi. Jak przedtém pieśń, tak teraz śmiech jój, rozlegał się po drodze i polu szeroko, dzwiecznie, rozgłośnie. Czuć w nim było duszę żywą i świeżą, coś nakształt naiwności dziecka i niezmaconej wesołości ptaka. — Ja! ja! — wołała wśród śmiechu, — ja pierwsza na ogień przyszła! Ja mleko krowom odebrała! ja wiedźma! oj, ludzie, ludzie! co wy wymyślili! czy wy *zdureli!* (zglupieli), czy wam pomieszało się w głowach!

I śmiała się wciąż tak, że aż dłońmi boki sobie przycisnęła i przeginała na wszystkie strony swą silną i kształtną kibić. A gdy już tak wyśmiała się, że aż obu pięściami oczy z łez ocierać musiała, z drgającą jeszcze resztą śmiechu piersią, głośno splunęła.

— Pfu! — zawołała — taką brzydką rzecz na chrześcijańską duszę powiedzieć! Czy wam nie wstyd.

Schylona, zbierała przez chwilę z ziemi upu-

szczone z rąk zioła i kwiaty. Potém wyprostowała się i tuż koło gromadki przechodząc, rzekła jeszcze.

— Stójeież tu i czekajcie wiedźmy, bo jak Bóg jest w niebie, ona nie ukazała się jeszcze. Mnie pilno do mego i do dzieci. Bywajcie zdrowi!

Skinęła głową ku obecnym tak wesoło i uprzemie, jakby o tém, co ją od nich spotkało, całkiem już zapomniiała, żwawym krokiem poszła drogą, wiodącą ku samotnej chacie i czerwono błyszczącej obok niej kuźni. Idąc, zaraz w początku drogi, na skoczną, hulaszczą nutę śpiewać zaczęła najweselszą z pieśni wiejskich.

— Hili, hili, szare husi,
Szare husi na reku,
O, jak związać białe ruczki,
Nie rozwiążuc do wieku!

Ludzie pozostali u ognia, stali z pochylonemi głowami, w milczeniu, które pierwszy przerwał Piotr Dziurdzia.

— Ot i okazał nam Pan Bóg wszechmogący krzywdzicielkę naszą...

Żony Piotra i Szymona głośno westchnęły, a Stefanowa poskoczyła i przed mężem trzymającym w objęciu dziecko, stanęła. Obu rękoma trzymając się za biodra, naprzód pochylona, z wlepionymi w niego oczyma, przez zaciśnięte zęby wymówiła:

— Wiedźma, kowalicha! wiedźma miła twoja!
Wiedźma twoje serdeńko najmilsze!

Zdawało się, że trzy te wykrzykniki, niby trzy policzki w twarz mu rzucała. On głowę swą ku głowie uspiętego dziecka pochylił i wyglądał zgryzionym, ponurym, lecz ani mniej ani więcej niż zwykle. Żony jakby nie widział i popędliwych gwizdzących słów jój jakby nie słyszał. Sam do siebie z cicha mruknął.

— To ja już dawno wiedział, że ona jest wiedźmą!

Hoża Franka opuściła plecy i ramię ładnego parobka i zwrócona w stronę, w którą poszła kowalowa, z palcem do ust przyłożonym, głęboko nad czémś rozmyślała. Ogień niepodsypany przysgaszał i blaski jego spełzły już z krzyża, który wznosił się teraz na tle zmroku wysoki, czarny, niemy. Ludzie, którzy niby motyla na świecę, złapali wiedźmę na ogień rozniecony z osinowego drzewa, mogli już i do domów swych odejść, nie odchodzili jednak, dumali i słuchali, jak przy drodze, wiodącej do kuźni, w wierzbach i dzikich bzach, coraz częściej jęczały i łkały lelaki. Para goniących się nietoperzy krętym lotem przemknęła nad drogą i na ściernisko upadła. Na drodze wiodącej do kuźni, rozległ się jeszcze rozgłośny i czysty głos kobiecy, wyśpiewujący drugą strofę skocznój pieśni.

— Hili, hili, szare husi,
Szare husi na piesok,
Paciera lata młode,
I swój tonki hałasok.

Śpiewowi temu zdawały się wtórować coraz częstsze uderzenia kowalskiego młota, a przez drzwi kuźni ulatywać zaczęły w mroczną przestrzeń coraz gęstsze roje czerwonych iskier. Śpiewająca kobieta przyśpieszała kroku, a gdy niewielka przestrzeń dzieliła ją od samotnej chaty, z napelnionego jaskrawém światłem wnętrza kuźni, ozwał się męzki, basowy głos, który przy nieustającym stukaniu młota, połączył się z głosem niewieścim i donośnie wesoło zawtórował trzeciej strofie pieśni.

— Hili, hili szare husi,
Szare husi na Dunaj,
Nie chacieła idźci za muž,
Ciepier siedzi i dumaj!

II.

Oj, dawno już, dawno, mieszkańcy Suchej Doliny, podejrzewali Pietrusię, wnuczkę ślepą Akse-ny, że posiadała ona wiadomości i moce takie, ja-kich posiadać nie można bez niejakich stosunków z nieczystą siłą. Były to wprawdzie podejrzenia i przez nikogo głośno niewyrażane, ale pocho-dziło to tylko ztąd, że wśród niezliczonych tru-dów i trosk powszedniego żywota, nie zajmowano się niemi bardzo i ztąd jeszcze, że nikt nie po-siadał jasnych dowodów, aby Pietrusia uczyniła komukolwiek, cokolwiek złego. Niemniej, podej-rzenia te, w stanie zawiązkowym wprawdzie i glu-chym, istniały. A jakże-by mogły nie istnieć, skó-ro pewne okoliczności życia Pietrusi, jako też pe-wnie jej postęпки i cechy charakteru, wyjątkowe-mi były, to jest, niezupełnie takimi, jak wszyst-kich innych mieszkank Suchej Doliny. Te wszyst-kie inne, na przykład, rodziły się w tej wiosce,

przed oczyma ludzi, tak, że ludzie pamiętali ich chrzciny i dziecięce lata; następnie po wyjściu za mąż, żyły one w chatach, nie samotnie wśród pola stojących, ale rzędem przy sobie zbudowanych, tak, że w jednej wybornie widać i słyszać było wszystkie sprawy i sprawki drugiej, a życie ich upływało różnie, swarliwie lub zgodnie, pracowicie lub leniwo, dostatnio lub ubogo, jak tam już której natura była i Pan Bóg dał, ale tak jak Pio-trusia, żonka Michała kowala, nie wychodziła za-mąż i nie żyła żadna. Żadna też nie wiedziała tyle dziwnych rzeczy, co ona. Zkąd ona je wiedzieć mogła? Chyba od ślepej babki swojej, Akseny, która przed wielu laty przywędrowała tu z kądś z malutką wnuczką, i wtedy jeszcze ślepą nie bę-dąc, prosiła u ludzi o pracę jak o łaskę, a otrzy-mawszy ją, czyli pełniąc różne służby, to u naj-dostatniejszych gospodarzy Suchej Doliny, to w po-bliżkich dworach, Pietrusię swoją na dorosłą dziew-kę wychodowała. Zdawało się, że na to tylko czekała, aby oślepnąć, a gdy to się już stało, nie krzyczała, nie lamentowała, tylko, wgramoliwszy się omackiem na piec, kądziel i wrzeczono w ręce wzięła i do wnuczki rzekła:

— Teraz ty duża i chwalić Boga, silna. Mo-żesz pracować i mnie żywić do końca życia mego, tak jak ja ciebie żywiła od małości, kiedy ci ojciec i matka jednego roku zmarli. Na przy-

odziwek sama sobie zarobię. Prząść i na pamięć potrafię.

Sucha to już wtedy i bardzo stara była babina, z twarzą, która wyglądała tak, jakby ją kto z żółtawej kości wyrzeźbił, i oczyma zaszłemi jakąś białą plewą. Nos miała długi i śpiezasty, wargi tak wyschłe i żółte, że ich prawie widać nie było, czoło w tysiąc drobnych zmarszczek sfałdowane. Przyodzievek jój był tak mały, że można było uwierzyć, że zarobi nań sobie, na pamięć przedając. Samodziałowa sina spodnica, fartuch, koszula gruba i czepek z czarnej bawełnicy tak ściśle i gładko oblepiający głowę, że trochę tylko białych jak mleko włosów, wydobywając się z pod niego, otaczało jój czoło. Jakby na dowód, że to, co mówiła prawdą było, na piecu siedząc jedną rękę do kądzieli podniosła, a drugą z wrzcionem przed siebie wyciągnęła i prząść zaczęła. Nie widziała nie a nie, ani nawet dnia od nocy rozróżnić nie mogła, jednak z pod palców jój wywijala się nitka długa, a tak równa i cienka, że i z najlepszymi oczyma wyprząść-by tak nie łatwo. Od chwili do chwili palce śliniła i nie długą, równą, cienką snuła; w żółtą i jakby z kości wyrzeźbioną jój rękę wrzeciono kręciło się, furczało; wyschłe jój wargi zarysowały zaledwie widzialny uśmiech, a białkiem powleczone oczy zdawały się patrzeć w twarz wnuczki i mówić:

— A co? widzisz? ja choć ślepa, do niczego jeszcze nie jestem. Tylko strawę mi daj a na przyodzievek sama zarobię.

Pietrusia, siedemnastoletnia podówczas dziewczka, zdrowa i rumiana, choć jeszcze jak młoda topola cienka i wysmukła, siedziała na brzeżku pieca i oczy mając pełne łez, już, już wybuchnąć miała wielkim nad kalectwem babki płaczem i lamentem; jednak, widząc, że babka nie płacze, lecz owszem uśmiecha się trochę i wrzcionem furka a furka, pochyliła się, kolana i stopy jój ucałowała i rzekła tylko:

— *Dobre*, babulo, żywić ja ciebie będę i pilnować jak oka w głowie, tak jak ty mnie żywiła i pilnowała od małości, kiedy mi ojciec i matka jednego roku pomarli. Tak mnie Boże dopomóż, że będę.

Przy ostatnich wyrazach uderzyła się pięścią w piersi i zapłakała trochę, ale niedługo, bo i sama płaksiwą nie była i babka, po głowie ją pogłaskawszy zaraz, rzekła:

— Nu, *ciepier* (teraz) do roboty idź. Niema czasu bzdurzyć. Piotrowa dziś *nieduża* (słaba), krów sama nie podoi i świń nie nakarmi. Idź krowy doić i świnię karmić.

Poszła i niby żwawy duch skrzętności uwijała się po zagrodzie. Była to zagroda Piotra Dziurdzi, którego żonka chorowała wtedy, albo niedo-

magala przez lat kilka, a że córki w domu nie było i synowie pacholećmi zaledwie będący, żenić się jeszcze nie mogli, więc gospodarstwem kobiecym, za strawę i przyodziewek trudniła się Aksena wprzód, teraz trudnić się zaczęła Pietrusia. Piotr był gospodarzem dostatnym i mogącym pozwolić sobie na ten zbytek, aby chorą żonę jego, sługa zastępowała. Było to zresztą koniecznością, na której wychodził nie najgorzej. Jak wprzód Aksena, tak teraz Pietrusia robiły wszystko, co należało, z gorliwością kobiet, które nie a nie na całej ziemi Bożej nie posiadając, ludziom, którzy coś posiadają, z całych sił zasługiwać się muszą, zasługiwały się też one, jak tylko mogły. Chata Piotra pełną była nietylko pracy niewieściej, oszczędzającej i przysparzającej dobra wszelkiego, ale i czegoś innego jeszcze, co, nie będąc do życia niezbędnym, uprzyjemnia je przecie i rozwesela. Dwie te kobiety, z których jedna bardzo stara i ślepa, druga młodzianka żwawa i wysmukła była, napelniały mu chatę bajkami i pieśniami. Aksena umiała mnóstwo bajek, a Pietrusia mnóstwo pieśni. Były tam bajki i pieśni tutejszej okolicy właściwe i te, które Aksena przyniosła z sobą z tych stron dość dalekich, z których przed kilkunastu laty tu przywędrowała. Wędrowała, wędrowała przytułku i pracy szukając, aż tu przywędrowała, przytułiła się wraz z dzieckiem i wszystko co miała mieszkańcom Suchej Doliny oddała. Baj-

ki z różnych stron pozbierane w wieczory zimowe opowiadała, a pieśni choć już sama nie śpiewała nigdy, to nauczyła ich wnuczkę swoją, której żywiołami rodzinnymi zdawały się być ruch, śmiech i śpiewanie. Zkąd u tej sieroty i tułaczki ubogiej wzięła się żywość i wesołość taka, że porównać-by ją można do ustawicznie tryskającej przejrzystej wody źródlanej? Trudno powiedzieć. Zapewne w sposób taki utworzyła ją sama natura, a wiele także znaczyło i to, że choć biedy i głodu zaznała czasem, złego obejścia się nie zaznała nigdy. Oślaniała ją przed niem babka, ludziom zasługując się na to, aby jej nie krzywdzili, a sama za dzieckiem przepadając jak podróżujący w noc ciemną przepadał-by za jedyną gwiazdą, która-by przyświecała jego samotnej i kamienistej drodze. Wszystkich swoich na kamienistej swój drodze, Aksena potraciła: córkę, która, urodziwszy Pietrusię, wkrótce potem umarła; zięcia, którego z tej ziemi zdmuchnęło technienie zrazu; męża, który z ręką zdruzgotaną w kole młocarni umarł w szpitalu; syna który poszedł do wojska, kędyś na skraj świata i nigdy już nie powrócił: rozłajdaczył się może i w turmie zgnił, albo go na wojnie zabili... Oprócz tych wszystkich swoich ludzi, straciła ona jeszcze jedną rzecz swoją: mianowicie, wioskę rodzinną, która, piaszczyste grunta mając, a łąk i pastwisk nie mając, tak ubogą była, że kawałka chleba, gdy go zapo-

trzebowała, dać jej nie mogła. Nie z własnej woli, ale z konieczności poszła w świat cudzy. I któż o tém wszystkiém wiedząc, zaprzeczyć-by mógł, albo chociaż dziwić się temu, że wnuczka była dla niej tą jedyną gwiazdą, która przyświeca ciemnej i kamienistej drodze podróżnika. To też nie biła jej ona i nie lajała nigdy. Wprawdzie, pocałunkami i pieścizotami obdarzała ją bardzo rzadko; poprostu, nie miała na nie czasu i zawsze zmęczona fizycznie, z twardemi mięskami i silnemi nerwami swemi, potrzeby ich nie czuła. Ale nie zjadła nigdy łyżki strawy, zanim wprzód wnuczki nie nakarmiła, nie kupiła sobie przyodziewku żadnego, zanim ją czysto i cało nie przyodziła; na noc brała ją z sobą na piec i sukienną derką starannie okrywała, w niedzielę i święta śpiewać ją uczyła i opowiadała jej różne dzieje o dawnych czasach i ludziach, o dalekiej stronie rodzinnej, o czartach i upiorach, zbójcach i—aniolach, które sieroty strzegą i nad niemi srebrzyste skrzydła swe roztaczają. Pietrusia czuła się otoczona skrzydłem anielskiem i czasem do rówieśnic swych mówić zaczynała: — „Ona, jak ten anioł nade mną...” Lecz nigdy rozpoczętej mowy nie kończyła. Wyrazów jej brakło, czy też wstyd ją ogarniał, że tak śmiało tajemne myśli swe wypowiadać zamierza. Milka, powieki z długimi rzęsami na szare źrenice spuszczała i róg fartucha w palcach

kręciła. Ale zmieszanie to, jak wszelkie uczucie smutne albo przykre, przemijało w niej bardzo prędko. Ani w smutku, ani w milczeniu, ani w nieruchomości długo wytrzymać nie mogła. Idąc podskakiwała zwykle, jakby ją do tańca brała ochota, pracując przyśpiewywała sobie; jedząc nawet, gadała i gadanie śmiechem przeplatała. Taką już była jej natura. Po zupełnem oślepieniu babki, na dni kilka spowolniała trochę i umilkła, ale i to jej prędko przeszło. Aksena nie skarżyła się wcale, owszem po całych dniach i wieczorach, na piecu siedząc, spokojnie sobie przędła i gdy potrzeba jej wypadła, z ludźmi rozmawiała, doradzała im i rozповідаła rzeczy różne, jak gdyby nie wydarzyło się jej nie osobliwego. Pietrusia, nosiła jej na piec strawę, dmuchając na nią, gdy była gorącą, kartofle w krupniku łyżką drobiąc, skwarki z zacierki lub kaszy wylawiając. W ręce ślepiej, które wyciągały się po żywność i w powietrzu błądziły, łyżkę i chleb wkładała, tonem namowy mówiąc: — *Jesz* (jedz), babula, *jesz* sobie, ja miskę potrzynam. Każdej niedzieli, z rana, gdy wszystko zrobiła, co tylko w chacie do zrobienia było, z kubłem wody i grzebieniem w ręku na piec wchodziła i przez całe półgodziny, trudniła się myciem i czesaniem babki. Szmatą umoczoną w wodzie, myła i szorowała twarz jej tak gorliwie, że przez parę dni potem błyszczała ona zu-

pełnie tak, jakby wyrzeźbioną była z żółtawej i wypolerowanej kości. Potem na białe jej włosy wkładała czepec z bawełnicy czerwonej lub czarnej, a jeśli kiedy, w sobotę więcej niż zwykle czasu mając, suto go bawełnianą taśmą wygarniowała lub wąziutkim i błyszczącym galonikiem oszyła, to już bardzo zadowolona, z lubością przed ustrojoną tak babulą kołysała głowę, językiem o podniebienie uderzając i powtarzając: — Ot jak ślicznie! oj! jak ślicznie! — Czerwonem garniowaniem, albo błyszczącym galonikiem otoczona, kościana twarz stariej, ślepemi, oczyma swemi, zdawała się surowo wpatrywać w okrągłą, rumianą, roześmianą twarz wnuczki. Żółtym palcem dotykając czepeca swego, stara pytała:

— A zkad wzięłaś galonik?

— Piotr jeździł do miasta, to go prosiłam żeby kupił.

— A zkad hrosze miałaś?

— Z lata jeszcze schowałam, kiedy to zacząć chodziłam do dworu.

— Stara milkła. W głosie wnuczki słyszała szmer. Ale po chwili zapytywała znowu.

— A nie udaje się kto do ciebie?

Oczy spuszczaając, dziewczyna odpowiadała.

— A udają się. To już ja tobie, babulo, przesyłję niedzieli mówiła.

— Stepan Dziurdzia? — Tonem zapytania szepiała stara.

— Ale!

— A więcej kto?

— Toż ja mówiła! Michałko Kowalczyk.

— Aha! to nie... Na to ty dziewczka, żeby do ciebie *kawalerzy* udawali się. Ale galonu od nich nie brałaś, ani paciórka, ani hroszy, ani nie? Nie brałaś?

— Nie brałam.

— Pewno?

— Dalibóg.

— Pamiętaj. Sierota jesteś i tylko na Bożkiej opiece, nie daj się skrzywdzić, bo zginiesz, tak jak ta kropla wody w wielkiej rzece... Ja już teraz na ciebie nie patrzę, ale Pan Bóg patrzy i ludzie także patrzą. Pamiętaj, żeby na tobie grzechu przed Bogiem, a wstydu przed ludźmi nie było. Kiedy który lubi, niech żeni się, a kiedy żenić się nie chce, to ty jego przy zbliżeniu się wszelakiem, raz, dwa, trzy, w pysk! *taj hodzi!* Dzieweczyna powinna być jak ta szklanka, kiedy ją w wodzie krynicznej wymyją, ot co!

I długo jeszcze staruszka w sposób taki do wnuczki przemawiała, a powtarzało się to każdej niedzieli. Jednej zaś niedzieli tak do niej rzekła: — Jeżeli kogo polubisz i zechcesz koniecznie, żeby on z tobą ożenił się, to powiedz mnie. Ja na to sposób znaj-

dę... Na to już ja twoją babką i jedyną na tym świecie opiekunką jestem, żeby ciebie w każdej godzinie ratować...

Bardzo zawstydzona, ale zarazem i zaciekawiona Pietrusia szepnęła:

— A jakiż to sposób, babulo?

Stara po cichutku prawie poczęła.

— Wszelakie są na to sposoby. Można nietoperza w mrowisku zakopać i, jak go mrówki ze wszystkiemi zjedzą, z kosteczek jego jedną taką wybrać; można i ziela takiego poszukać, co nazywa się *zaharduszką*, a korzonki ma takie, jak niby to dwie rączki połączone... Można i innego ziela...

Wszystko to stara prawila z powagą wielką i tajemniczością niejaką, a prawila-by była daleko dłużej, gdyby ją była Pietrusia mocno za fartuch nie pociągnęła. Przytém wstydliwie lecz razem radośnie zachichotała.

— *Hodzi*, babulo, — szepnęła, — *hodzi!* Niczego mi tego nie trzeba. Ani nietoperza, ani *zaharduszki*, ani innego ziela nie trzeba. On i tak ożeni się ze mną.

Stara widocznie z natężeniem wielkiemi uszy nastawiała:

— Który? — zapytała.

— A Michałko.

— Kowalczuk?

— Ale.

Babka przyzwalająco pokiwała głową.

— Dobrze, — rzekła, — dobrze, czemu nie? chatynkę swoją i kawałek swojej ziemi po ojcach ma. Przytém rzemieślnik... Ajaj! Jakby było dobrze! *Kab tolko* żenił się!

— Oj, oj! — tryumfująco zadzwoniła Pietrusia, — dalibog ożeni się! mówił mnie nie raz, ale sto razy...

Tak mówiąc, rozpromieniła się cała. Z młodzieńskich wesołych oczu jej trysnął snop promieni, zęby jak perły błysnęły z za czerwonych warg. I wielka, niezmacona radość tak ją całą napelniała, że nie mogąc na miejscu wysiedzieć, zeskoczyła z pieca i zaczęła, po izbie kręcąc się, na całe gardło wyśpiewywać.

— Jeść u menie mój mileńki

Wsia moja rodzina,

Jak przyjedzie on do menie

Szczaśliwa hadzina!

Izba była pustą, bo w niedzielny ranek Piotr z Piotrową pojechali do kościoła, a chłopcy na ulicy wiejskiej z rówieśnikami hulali. Piosenka, przez Piotrusię rozpoczęta, miała drugą, trzecią i czwartą strofę, i dziewczyna prześpiewała je wszystkie, jak fryga zwijając się po izbie, stół mokrą szmatą wycierając, do pieca na gotującą się strawę zaglądając, kury nakoniec, które na środek izby powylazi-

ły, do ciemnych spędzając podpiecków. Kiedy na-
koniec, śpiewanie dziewczyny i gdakanie kur
i chrząkanie wypędzonego do sieni wieprzka umil-
kły, ze szczytu pieca ozwała się Aksena.

— Pietrusia!

— A co?

— *Chadzi tu.*

Wskoczyła na tapczan u pieca stojący i za-
pytała:

— Co, babulo?

— Ot co. Michałku, teraz dwudziesty piérwszy
roczek idzie.

— Ale, — potwierdziła dziewczyna.

— To to i bieda. Jakże on z tobą ożeni się,
kiedy jemu trzeba do wojska iść?

Dziewczynę uwaga ta babki przestraszyła zra-
zu bardzo.

— Nie może być! — krzyknęła.

Stara głową pokiwała.

— Oj dziecko z ciebie gorzkie! albo ty o tém
nie wiedziała?

Co ona tam miała o jakimś wojsku wiedzieć?
Ani pomyślała nigdy, że jakie wojska są na świecie.
I *miły* nie mówił jój ani razu, że w *soldaty* pójdzie,
choć o tém dobrze wiedzieć musiał, ale zwyczajnie
młody, kiedy lubił dziewczynę, szeptał z nią u opło-
tka albo i kibić jój obejmował, wtedy o tém, co bę-
dzie kiedyś, nie myślał. Stara Aksena, wiele wia-

domości o świecie i doświadczenia posiadała. Czy
raz już, czy raz w swém życiu widziała chłopców
w *soldaty* branych, którzy wracali nieprędko, nie-
prędko, a czasem tak jak i jój syn rodzony, nie
wracali nigdy! Jeżeli która dziewczyna czekała
na nich, rutkę przez życie całe siać była zmuszoną,
bo choć powrócił który, to z inném sercem, z inne-
mi myślami. A jeżeli ślub z nim wzięła, zanim
w świat poszedł, jeszcze gorzej było, bo życie solda-
tki, to już takie życie, że niech od niego Bóg świę-
ty obroni! Wszystkie te i wiele innych rzeczy, dłu-
go Aksena do ucha dziewczynie szeptała, aż Pietru-
sia, splótszy na twarzy ręce, rozplakała się rzewne-
mi łzami.

— Nu, — tonem perswazyi zaczęła babka, — to
idź za Stepana Dziurdzię. I on do ciebie chętny,
a gospodarz z niego dostatni. Słodkie ci życie
z nim będzie.

Dziewczyna zatupała po tapczanie bosemi
stopy.

— *Za niszto!* (za nie) — krzyknęła — żeby tam
nie wiem co, Stepanową żonką nie będę.

— Czemu? gospodarz taki i młody i wyrośnięty
jak ten dąb i *bratów* ma bogatych.

Pietrusia oczu nie odsłaniała i z ruchami gwał-
townej niechęci i niecierpliwości, wciąż tylko po-
wtarzała:

— *Za niczto!* nie pójdę za niego! nie pójdę! nie pójdę!

I dopiero na gwałtowne dopytywanie się babki, niechęci swój przyczynę wyznała. Było tam raczej przyczyn dwie.

— *Hadkij* (wstrętny) mnie on i *wielmi zapalczywyj*. *Bić budzie!*

Ani słowa przeciw temu Aksena powiedzieć nie mogła. Znała Stepana Dziurdzię oddawna i wiedziała, że istotnie był on gniewliwy, porywczy, łatwy do swarów i bójek. Oczy jego miewały od młodu błyski silnych i srogich namiętności, giesty były prędkie i zapalczywe, głos szorstki i gruby. Pracowitym był, roztropnym w radzie i rozmowie, upijał się bardzo rzadko, gospodarstwo miał dostawnie, a długu grosza jednego nie miał; jednak we wsi miru i powagi nie posiadał, bo opryskliwością swą, grubym lajaniem i skora do bójki pięścią, naraził się wszystkim, a dziewczęta, to już wprost uciekały od niego, tak się go bały. Kilka razy już do chat różnych swaty posyłał i nigdzie go nie przyjęto. Dziewczęta, zanosząc się od płaczu, krzeczyły w niebogłosy: — *bić budzie!* jeszcze kiedy zabije! — rzucały się do nóg rodzicom, błagając, aby nie wydawali za tego *Heroda*. Stepan wykrzykiwać począł, że nie dba o te *durne* i pośle swatów do drugiej wioski, ale w tém, w chacie stryjecznego brata jego, Piotra, Pietrusia dorosła i odtąd Stepan,

na żadną inną dziewczkę ani spojrział. W nią oczy wlepił i do chaty braterskiej chodził a chodził. Przyjdzie bywało, i bez potrzeby żadnej zasiedzi się na ławie godzinę i dwie. Czasem orać trzeba, albo kosić, albo młócić a on siedzi i za dziewczyną oczyma wodzi, na krzątanie się jój i skoki patrzy, śpiewania jój słucha i gniewliwa twarz jego łagodnieje tak, że można-by ją, zda się, niby masło na chleb posmarować. Piotrowi już raz powiedział.

— Biedna ona, czy nie biedna, ja do niej swatów przysłę...

— Przybłęda, — zauważył Piotr.

— Przybłęda, czy nie przybłęda, swatów przysłę, żebym tylko u niej przychyłność jaką zobaczył.

Ale przychyłności dla niego w Pietrusi nie było ani śladu. Jak Stepan w nią, tak ona w Michałka Kowalczuka oczy wlepiła i tak samo jak inne dziewczęta z płaczem teraz babce mówiła.

— *Nie chaczul!* *Za niczto nie chaczul!* bić będzie! jeszcze kiedy zabije!

Po tém, co powiedziała jój babka o przyszłym a niezawodnym losie Michałka, wypłakała się i znowu krzątać się po chacie i śpiewać zaczęła:

— Ni tam szczęście, ni tam dola,
Hdzie bogaty ludzie,
Kto z miłości sia załuczyc
Tomu miłość budzie!

Przerywając sobie śpiewanie, rzekła:

— Ot, może nie pójdzie... co tam! Może Michał w żołdacki i nie pójdzie...

Potém dodała:

— Żeby tylko dziś przyszedł...

Aksena, której może żal było, że wnuczkę do płaczu gadaniem swém doprowadziła, ozwała się z pieca:

— Rzuć wiennik do ognia.

— A na co? — zadziwiła się Pietrusia.

— Rzuć wiennik do ognia, — powtórzyła stara, — jak spalisz wiennik, goście będą.

Pietrusia wrzuciła w ogień starą miotłę, a gdy dnia tego Kowalczyk przyszedł istotnie do chaty Piotra, uwierzyła święcie w cudowną skuteczność tego środka i doradzała go potém wszystkim rolnikom swoim. I czy jedną również dziwną i jeszcze dziwniejszą rzecz Pietrusia ludziom mówiła i doradzała? O tych wszystkich rzeczach dowiedziała się od babki, a ponieważ ustawicznie trzepała językiem, niczego w tajemnicy nie zachowała i nie pomyślała nawet nigdy o tajeniu się z czerkowcem, jednak pomimo wczesnej mądrości swój, nie odgadła raz wróżby, która dotyczyła się własnej jej doli. Dnia pewnego chleb z pieca łopatą dostawała. Zazwyczaj pieczenie chleba udawało się wybornie. Doświadczone nawet gospodynie, dziwowały się zawsze doskonałości jej pieczywa, szepcąc

po między sobą, że chyba jej jakaś *siła* dopomaga, kiedy tak nigdy w niczem nie chybi. Siłą tą była istotnie pilność i zręczność dziewczyny, która gdy cokolwiek robiła, to już całą duszą i dziwną zgrabnością. To też i teraz, bochny chleba jeden po drugim ukazywały się na łopacie i z łopaty zsuwały się na stół, rumiane, pulchne, w miarę wypieczone, pachnące tak, że aż izba cała zapachniała. Dobry kęs chleba—wesele chłopca. Piotr, siedząc na ławie, z łokciami o stół opartymi, uśmiechał się w zwykły sobie sposób łagodny i poważny; wciąż jeszcze nie domagająca Piotrowa, piorąc jednak u pieca grube szmaty, z uśmiechem też o czemś prawila; dwaj dorastający chłopcy, hałasując, palcami pulchności chleba probowali i jedna tylko doskonała piekarka nie śmiała się i nie uśmiechała nawet. Tak ważną czynność jak wydobywanie z pieca chleba, spełniała ona zawsze z policzkami rozognionymi od gorąca, z rękawami koszuli zawiniętymi po łokieć, z wydętymi wargami i trochę nawet zmarszczonem czołem. Nagle krzyknęła:

— Aj! aj!

I ostatni bochen chleba, na stół zsunawszy, łopatę na ziemię upuściła i ręce załamała — Oj Bożeż, mój Boże, — z płaczem prawie zawiodła. Piotr i Piotrowa jednocześnie szyje powyciągali, na chleb spojrzeli i jednogłośnie rzekli.—Pęknięty czy co?

Nie mylili się. Ostatni bochen chleba wyszedł

z pieca na wskroś prawie pęknięty, jakby nożem na dwoje rozkrojony.

— Pęknięty, — powtórzyła Pietrusia.

Kilka sekund trwało milczenie, aż z pieca ozwał się stary głos Akseny.

— Ktoś ciś odłączy się!

Piotrowa rękę do czoła i piersi poniosła.

— W imię Ojca i Syna... Niech Pan Bóg miłośnierny... nas od wszelkiego nieszczęścia broni!

— Ktoś ciś odłączy się! — powtórzyła stara.

— Z chaty czy ze wsi? — zapytał Piotr.

Aksena po chwili namysłu odpowiedziała:

— Może z chaty, a może i ze wsi, ale ktoś ciś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdzi dusznie obchodzi.

Istotnie, odłączył się od Suchej Doliny ktoś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdzi dusznie obchodził: Michał Kowalczuk los wyciągnął i ze wsi wywędrował—do wojska. Przedtém jednak, widziano o zmroku dwoje ludzi, długo siedzących na wielkim, omszałym kamieniu, za wsią, tam gdzie drogi rozchodziły się w cztery strony świata i wznosił się stary, wysoki krzyż. Dwaj parobcy przechodzili tamtędy ze dworu, w którym najmowali się do młocarni, i rozpowiedzieli w wiosce, że Pietrusia na kamieniu pod krzyżem, żegna się ze swoim Kowalczukiem. Mówili o tém, śmiejąc się na całe gardło. Zaśmiały się kobiety. — Niechaj żegna się, — mówiły, bo to już będzie na wieki wieków, amen!

Wszyscy we wsi jednogłośnie utrzymywali, że Pietrusia pożegnała się ze swoim miłym, na wieki wieków, amen. Powrócić, to powróci on tutaj pewno, bo swoją ziemię i chatę w Suchej Dolinie ma, ale aż za sześć lat, a sześć lat, to dla dziewczyny wiek. Albo za kogo innego tymczasem pójdzie, albo i zestarzeje, a Kowalczuk ją nie zechce. Gdzieby on tam za sześć lat jeszcze zechciał! Z inném sercem i z innemi myślami z dalekiego świata powróci. Nawet stara Aksena toż samo mówiła wnuczce, która jednak przecząco głową wstrząsnęła i wciąż powtarzała: — Powiedział, że jak powróci, ożeni się ze mną. Powiedział: czekaj ty na mnie, Pietrusia...

— I ty *durna* będziesz czekać?

— Będę.

Stara zaniepokoiła się bardzo; zeschłe wargi jej i kościane policzki często odtąd poruszały się w sposób taki, jakby coś z trudnością wielką w bezzębnych dziąsłach swych przeżuwała. Kilka razy jeszcze do wnuczki rzekła:

— Idź za Stepana, może nie będzie bić, a jeżeli kiedy i wybije, to co? Lepiej zawsze w mężowskiój chacie siedzieć, jak przez całe życie na cudzém chorować.

Ale na te wszystkie perswazyje i namowy Pietrusia jedną tylko miała odpowiedź:

— Nie *chaczu*, nie *pajdu*.

Piotrowa także namawiała ją, żeby za Stepana

szła. — Bogaty, — mówiła — i pracowity, gospodar-
ny, niepijący. Będziesz u niego w kupnych perka-
lach chodzić i sadło łyżką jeść.

Dziewieczyna odpowiadała:

— Niechaj Stepanowe sadło świnie jedzą.

Te namowy, które spotykała ze stron wszyst-
kich obudziły w niej gniew, pierwszy zapewne w ży-
ciu. Zaciskała potem usta i nie odpowiadała nic.
Żeby tam nie wiadomo co mówili przed nią o Mi-
chałku i o Stepanie — milczała. Baby swoje, a ona
swoje. One gadają, namawiają, użalają się nad
jój głupotą, lają nawet — ona milczy; krowy bywało
doi, czy szmaty pierze, czy świnie karmi, czy chleb
mięsi i milczy. Uparła się. Mniemała też zape-
wne, że ludzie pogadają, pogadają i w pokoju ją
zostawiają, pozwalając, aby sobie żyła wedle woli.
I było-by to najpewniej nastąpiło, gdyby tylko Ste-
pan odczepił się od niej. Ale on o tém ani myślał.
Kilka razy chciał już objąć ją i pocałować, to na
dziedzińcu, to w ogrodzie, to w oborze; zawsze je-
dnak zdołała ona uciec od niego tak, że ani do uści-
sków ani do kłótni nie przyszło. Raz przecież przy-
szedł w niedzielę, kiedy w chacie, prócz niej i sta-
rój Akseny nie było nikogo. Ujrzawszy go we
drzwiach, Pietrusia skoczyła do komory, gdzie za-
częła niby to groch z worka na wieczerzę do garnka
sypać, ale Stepan wnet znalazł się przy niej i, obej-
mując ją jedną ręką, drugą próbował zasunąć z we

wnątrz drzwi komory. Przyczém wyglądał tak
straszenie i tak przeraźliwie kłął dziewczynę, którą
już teraz na pewno, jak mówił, w pułapkę pochwy-
cił, że zrazu krzyknęła ona w niebogłosy i ciemno
zrobiło jój się przed oczyma. W mgnieniu oka prze-
cież odzyskała przytomność i może na pamięć przy-
szły jój słowa i rady babki, bo z twarzą czerwoną
jak piwonია, z iskrzącymi się oczyma, zaciśniętymi
usty, wyrwała się z objęć chłopca, i obie ręce w gó-
rę podniosła. Raz, dwa, trzy w pysk! *taj hodził*
Stepan jak oparzony z komory wyskoczył, a potem
i z chaty. Uczynił to głównie dla tego, że usłyszał
w sieniach kroki Piotra, a świadka wstydu swego
mieć nie chciał. Pietrusia w ogniu i łzach cała,
upadła do kolan babki, która nakrzyk jój zsunęła
się z pieca i na kiju wsparta, stała przed drzwiami
komory, kościanymi szczękami gwałtownie porusza-
jąc i bielmem zaciągniętymi oczyma zdając się z na-
tężeniem wpatrywać w przestrzeń. I teraz jednak
nie wybuchnęła ona ani gniewem, ani lamentem,
tylko żółte jój ręce po chwilowém błędzeniu w po-
wietrzu znalazły głowę wnuczki i ogarnęły ją tak
jak gdyby drogi jakiś przedmiot utracony, na nowo
chwytaly. Po chwili rzekła:

— Nu, Pietrusia, już nam tu niema czego popa-
sywać... Już tobie tutaj dobrej doli nie będzie.
Pokłońmy się Piotrowi, i Piotrowej żonie za chleb
i za sól i gdzieindziej *mandrujemy*.

Chleb i sól Pietrusia z łatwością znalazła, bo słyneła już w okolicy całej za pracownicę wyborną. W małym, sąsiednim dworku szlacheckim, wzięto ją za folwarczną dziewczkę i pozwolono babkę trzymać przy sobie, z warunkiem, aby za strawę stara przędła dla dworu i len i wełnę. W dwa dni po owęj ostatecznej rekuzie, którą w postaci trzech rozgłoszonych policzków Stepan Dziurdzia od ubogiej sieroty otrzymał, o samym świcie otworzyły się drzwi Piotrowej chaty i wyszła z nich Pietrusia, w krótkiej siermięzce i siniej spódnicy, w płtykach trzewikach i czerwonej chustce na głowie. Cały przyodziewek swój i babki w płóciennym worku na plecach niosła, a u piersi trzymała, owiniętą w płótno przęślicę. Za nią szła ślepa Aksena, w siermiędze także, płtykach trzewikach i czarnym czepcu. Jedną ręką kijem wciąż dotykała ziemi, drugą trzymała mocno rękaw siermięgi wnuczki. Były obie jednostajnie prawie wysokie i szczupłe; wyszły z chaty Piotra i szły przez wieś wyprostowane i mileżące. Nad niemi, pod wiosennem niebem, tułały się jeszcze białe mgły noce, z obu stron stały domowstwa pozamykane i nieruchome drzewa ogrodów. Krowy nie ryczały, kury nie gdakały i psy nawet nie szcekały jeszcze. Tu i owdzie tylko, około wrót otwartych, albo za niskim płotem ukazywała się wcześniżej od innych zbudzona jakaś postać ludzka i, ujrawszy te dwie kobiety w sinem

witanii przez wieś idące, obojętnie albo z litością w głosie je pozdrawiała.

— Z Bogiem idźcie!

One jednogłośnie odpowiadały.

— Z Bogiem zostawajcie.

I szły dalej. Rumiana dziewczyna z wesołemi oczyma prostowała się i przyspieszała kroku a do rękawa siermięgi jej przyczepiona, stara babka dreptała za nią pośpiesznie, lecz spokojnie, w świat, którego nie widziała, wlepiając swe ślepe źrenice i dotknięcie jego czując w powiewie ranego wiatru, który do koła jej czarnego czepca i żółtej kościanej twarzy, podnosił i strzępił białe jak mleko włosy

Co tam działo się z Pietrusią w folwarku szlacheckim, o trzy wiorsty od Suchej Doliny, mieszkający wsi niewiele o tém wiedzieli. Służyła i koniec. Za męż nie szła. W rok po wyjściu jej ze wsi Stepan Dziurdzia, formalnie i według zwyczajów wszelkich swaty do niej posyłał. Odprawiała swatów z niczém, a Stepan potem przez cały tydzień wódkę pil wkarczmie i bił się z kim popadło. Ludzie na dobre mówić już zaczęli, że dziewczka cościś mu zrobiła, kiedy tak zapomnieć jej nie może i desperuje po niej. Napić mu się czegoś dała, aby nigdy już od niej nie odstał. I na co jej to, kiedy go nie lubi i nie chce? Będąca wówczas przy życiu matka Stepana, za syna

na Pietrusię rozniewana srodze, raz rzekła. — Wiadomo. Babkę ma wiedźmę, co tylko to i wymyśla, żeby ludziom biedę jaką zrobić. Niebawem przecież Stepan ożenił się z dziewczką z sąsiedniej wioski i gadaniny ludzkie o Pietrusi ustały. Widywano ją rzadko; czasem tylko dziewczki z Suchej Doliny, idąc od żniwa lub grabienia, spotykały się z nią, gdy także szła do domu z sierpem lub grabiami i mijając dziewczynę, której lata za dwudziestówkę już przeszły, niby tak sobie, ale w rzeczy samej do niej śpiewać zaczynały.

— Hyli, hyli szare husi,
Szare husi na Dunaj,
Nie chacieła idźci za muż
Ciepier siedzi i dumaj.

Czasem też ktoś dawno znajomy, spostrzegłszy ją, z politowaniem głową pokiwał, albo i zażartował. — A cóż, twój Kowalczuk prędko powróci?

Nie prędko, ale powrócił i było to dla niego rzeczą konieczną, bo miał podewsią, po ojcach odziedziczoną ziemię i chatę, w której tymczasem cudzy jakiś człowiek, dzierżawca podobno, gospodarował. Dnia pewnego, w niedzielę, gruchnęła po wsi wieść o tém, że Kowalczuk powrócił już z wojska i w swojej chacie porządek z dzierżawcą robi a wieczorem, kiedy mnóstwo ludzi rozmawiało, piło i tańczyło w karczmie, on sam ukazał

się tam ale w postaci tak zmienionj, że zaledwie poznać go zdołano. Gdy wieś opuszczał suchy był jakiś, chuderlawy, na dorastające pacholę więcej niż na urodziwego mężczyznę wyglądający i tak jak wszyscy chłopci w Suchej Dolinie, ubierający się w sukienną siermięgę, albo kapotę z sinego czy czerwonego płótna. Teraz gdzie! Lata wojсковych ćwiczeń i marszów rozszerzyły mu ramiona i piersi, a twarz wprzódby błada, oblały zdrową, głęboką śniadością, zmężniał i wyprostował się; czarny wąs urosł mu nad wargami, oczy patrzyły śmiało i roztropnie a miał na sobie nie siermięgę i nie kapotę, ale surdut z ciemnego sukna, porządne buty na nogach a na szyi jaskrawą chustkę. W tém ubraniu z papierosem w ręku, zjawił się w karczmie a ze stron wszystkich witany i podziwiany, wszystkich nawzajem poznawać i witać zaczął. Od razu poznać można było po nim, że dużo świata widział, porozumniał, 'wygrzechniał, ale do wioski swojej z radością powracał. Dawnym znajomym garniec wódki zafundował i sam parę kruczków wypił, ale więcej to już za nic nie chciał. Papierosy palił, rozprawił, o szerokim świecie rozpowiadał i, pomiędzy tańczących wmieszawszy się, z dziewczętami *mielice* i *kruciela* tak zawzięcie i zgrabnie wywijał, jak gdyby był nigdy ze wsi nie wyjeżdżał. Na środku karczemnej izby wznośli się takie chmury pyłu, że mętnie tylko roz-

5 Kowalewski

różniać w nich można było ciężkie postacie tańczących parobków i pstrą odzież dziewcząt. Ale Kowalczyk każdy mógłby zaraz wyróżnić w tej gromadzie, wirującej wśród gęstej kurzawy, nie tylko po ciemnym surducie i jaskrawej chustce na szyi, ale najbardziej po zręczności i gipkości ruchów. On to z największą fantazją wykrzykiwał w tańcu: hu, ha! i po kilkudziesięciu obrotach *miecielić* z najbardziej zamaszystą gracyą, zdyszana swą tancerkę dookoła izby oprowadzał. Ze wszystkimi dziewczętami żartobliwe kłótnie porozpoczynał, ze wszystkimi choć raz przetańczył, w oczy każdej zajrzał, jedną nawet wstydliwie od niego uciekającą, pomiędzy piecem a drzwiami schwycił i wycalował—a o Pietrusi ani wspomniał, ani się o nią u kogokolwiek zapytał. Przypomniały mu ją starsze kobiety, które, go wprost z pomiędzy tańczących porwawszy ściśniętym kołem obstępowały i języki porozpuszczały. Tak i tak, z Pietrusią było, mówiły, tak i tak. To i to działo się pomiędzy nią a Stepanem, to i to doradzali jej ludzie, tam i tam poszła, tak i tak dogryzają jej czasem i śmieszne pieśni do niej śpiewają. Kowalczyk słuchał babskiego gadania i śmiał się tak, że aż mu z pod czarnego wosa białe zęby błyskały, że aż gruby śmiech jego przygłuszał babskie gadanie, ale nie mówił nic. Ani o Pietrusi, ani o swoich zamiarach nie powiedział jednego słowa.

i, poczęstowawszy baby wódką i sérem, znowu tańczyć i hulać zaczął jeszcze sierzysciiej niż wprzódy. Wtedy, jasno zrobiło się wszystkim, że on już o Pietrusi ani myśli. — Z inném sercem i z innemi myślami powrócił, powiadano. Inni dodawali. — Gdzie jemu teraz o niej myśleć. Przybłąda ona i tyle tylko, że koszulinę jaką na grzbiecie ma, a już i stara z niej dziewczka, ot chyba już jej dwudziesty czwarty roczek idzie. On by mógł teraz ożenić się i z panienką jaką...

Może ci, którzy tak utrzymywali nie mylili się wcale, może istotnie Kowalczyk nie myślał już o Pietrusi i upłynione lata, zaznane wrażenia, zatarły w nim pamięć o dziewczynie i przyrzeczeniach, które po sobie jej pozostawił. Przez dwa tygodnie ani widział jej, ani starał się zobaczyć. Powiadano, że ze swoim dzierżawcą wciąż porządek robił, co właściwie znaczyło, że wyprawiał go z chaty, nie bez głośnych kłótni i pretensyi o zrujnowanie gospodarstwa, z którymi nawet do sądów poszedł. Widać było od razu, że zamierzał porządnie rękawy zawinać do pracy, nie tylko rolną ale i kowalską, oświadczył bowiem gromadzie, że tak jak dziad i ojciec jego kowalstwem się tu trudnili, tak i on trudnić się niém będzie, czyja więc łaska niechaj do kuźni jego przybywa. W parę tygodni dopiero po swym powrocie, w gorący dzień letni, poszedł sobie drogą, hej, daleko,

pomiędzy szerokie pola. W białym, płóciennym surducie i wojskowej czapce na głowie, szedł widać bez celu, zwolna, papierosa palił i z fantazją przeginał się trochę w obie strony, zwyczajnie jak kawaler dostatni, rozumu swego świadom i którego o nic głowa nie boli... Tak zaszedł aż za brzozowy laszek, jedno z okolicznych wzgórz obrastający, a za którym leżała szmata pola, dojrzałem zbożem okryta. Dziś właśnie, zboże to żąć zaczęto; kilkanaście żniwiarek pochylało się nad złocistą falą, która w miarę poruszania się ich rąk, zdawała się do stop im się skłaniać, Kowalczyk stanął u skraju lasku i patrzył na jedną ze żniwiarek, która, wyprostowawszy się podjęła w ramionach wielki snop żyta i kilka kroków uszedłszy, rzuciła go tam, gdzie wiele już innych snopów leżało. Potem, sierpem w powietrzu błysnąwszy, pochyliła się znowu i żąć zaczęła; żnąc zbliżała się coraz ku temu miejscu, na którym stał Kowalczyk, ale głowy nie podnosiła wcale i tylko ręce jej poruszały się prędko, coraz prędzej, krzesząc sierpem tuż nad ziemią stalowe błyskawice, Kowalczyk usta trochę otworzył i w tę żniwiarękę wpatrywał się jak w tęczę, papieros niedopalony za siebie rzucił i ręce na piersi skrzyżował. U skraju lasku, pomiędzy brzozami, stał jak słup i pod czarnym wąsem uśmiechać się zaczął. Dostrzegł wyraźnie, że zbliżająca się ku niemu żni-

wiarka, jakkolwiek schyłona, doskonale wiedziała, że on tam stoi; zerkala czasem na niego z pod powiek, ale nie odezwiała się ani słówkiem i głowy nie podnosiła, owszem, coraz prędzej i zapalczywiej żęła. Kiedy nakoniec o kilka kroków tylko znalazła się od niego, Kowalczyk odezwał się sam:

— Dobry wieczór, Pietrusia!

Wtedy i ona wyprostowała się, ręce z sierpem na spodnicę opuszcila i odpowiedziała:

— Dobry wieczór.

Ale nie patrzyła na niego; powieki z długimi rzęsami okrywały jej źrenice, profilem ku niemu zwrócona, zdawała się oczekiwać czegoś, albo po prostu, wśród pracy przez chwilę odpoczywać. Kowalczyk z gracyą oparł się łokciem o wystający sęk drzewa i, mrużąc oczy, przemówił znowu.

— Czy to pięknie, taką obojętność dawnemu znajomemu okazywać?

Żniwiarza wzruszyła ramionami i, nie podnosząc powiek, gniewnym jakby tonem odburknęła.

— Jaka tam obojętność!

— A jakże! czy to tak Pietrusia przywitać się ze mną powinna?

— Kiedy kto ze mną nie wita się, to i mnie witać się potrzeby niema.

Kowalczyk opuścił drzewo, o które wspierał się i parę kroków ku niej postąpił. Oczy jej

były ciągle spuszczone, a ręce z sierpem na spodnicę opadały. Od kilku już godzin żęła, dzień był skwarny i gęste bujne krople znoju świeciły na ogorzałém jój czole i policzkach tak prawie czerwonych, jak polny mak, który z ciemnych włosów opadał jój za ucho. Kowaleczuk patrzył w nią jak w tęczę. Zdawało się, że przypatrywał się tak tym kroplom potu, któremi twarz jój gęsto skropioną była.

— Cóż ty? — zaczął znowu — pracujesz a horujesz...

— Horuję — odpowiedziała.

— Jak ten wół w jarzmie?

— Jak ten wół...

— U cudzych ludzi?

— U cudzych.

— I starą babulę przy sobie żywisz.

— Żywię.

Znowu krok bliżej ku niej postąpił.

— A czemu za Stepana Dziurdzie nie posła? — zapytał.

— Bo nie chciałam — odpowiedziała.

— A namawiali ludzie?

— Namawiali.

— I babula kazała?

— Kazała.

— To i czemuż nie szła? Było iść, we własnej-

byś chacie pracowała, w kupne perkale ubierała się i codzień *jajecznię* ze słoniną jadła...

Tym razem, dziewczyna żywo z nogi na nogę przestąpiła i odburknęła.

— Niechaj Stepanową jajecznię *swinie* jedzą...

— A teraz dziewczęta śmieszne pieśni do ciebie śpiewają, że niby już stara dziewczka z ciebie.

Wzruszyła ramionami.

— Niechaj sobie śpiewają.

Kowalikowe oczy roziskrzyły się i ręce zatrząsły trochę.

— Co ty tak do mnie, niby gadasz, niby nie gadasz... jak do psa jakiego... Rzuci słóweczko i znów milczy i w oczy nawet nie spojrzę... co ja tobie złego zrobił?

Tym razem Pietrusia z rąk sierp upuściła i dłoń do głowy podnosząc, zajęczała.

— Oj, zrobił ty mnie, zrobił niedolę dla życia całego i pośmiewisko dla ludzi... Dwie niedziele już temu powrócił, a o mnie ani wspomniął, ani nawet przyszedł dobre słowo powiedzieć, ani w tę stronę gdzie ja była spojrzął...

Wstrzymała łzy, które niemal wytryskały jój z oczu, schyliła się po sierp i, czyniąc ruch taki, jakby odejść miała, wpół z płaczem, wpół z gniewem zawołała:

— Nie chcesz ty mnie, nie chcę ciebie i ja... *Idzi* z Łabudową córką *ženisia*... najbogatsza w ca-

lom siele i oczy ma takie, że jedno na prawo patrzy a drugie na lewo... *Idzi* do Łabudowej córki z *Bohom* od *menie*.

Otóż te oczy, te oczy, które u Łabudowej córki zezowate były i przebrzydłe, stanowiły u Pietrusi czar taki, że silniejszego nadeń żadna wiedźma wymyśleć-by nie mogła. Zresztą, nie tak bardzo osobliwego w niej nie było. Równie zgrabnych i świeżych jak ona znaleźć-by można na świecie mnóstwo. Ale oczy jej przez to były osobliwemi, że wprost mówiły i wymową swą przyciągały, jak złotym sznurkiem. Opowiadały one całą jej duszę, o której usta wiele mówić ani umiały, ani śmiały. I teraz także w szarych jej źrenicach, któremi ogarniała twarz Kowalczuka, było także mnóstwo wyrazów namiętnej skargi i żałosliwej prośby, wrodzonej wesołości i długiej tęsknicy, że Kowalczuk schwycił ją za rękę i trochę ku sobie pociągnął.

— Na mnie czekając, za Stepana nie szła? — Przyspieszonym szeptem zapytał.

— A na kogóż — odszepnęła.

— A ciężko było żyć?

Palcem, na którym od sierpa czy noża pozostała czerwona kresa, łzę z policzka ocierając, odpowiedziała:

— Ciężko.

— Na mnie czekając w takim horowaniu i ludzkim pośmiewisku żyła — pytał jeszcze.

— A na kogóż?

— Pobóź się!

Palce na krzyż złożyła i oczy ku roziskrzonym błękitom nieba podniosła.

— Tak mnie Boże i Najświętsza Panno dopomóż, że za tobą własnej duszy nie czułam i tak na ciebie czekałam, jak na tego ptaka, co kiedy przyleci, to już słońce zaświeci i miła wiosna będzie...

Schwycił ją teraz w pól i do gaju pomiędzy brzozy pociągnął.

— Toż i doczekałaś się, bo jak Bóg jest na niebie, tak cię za żonę wezmę i na gospodynię do swojej chaty wprowadzę. Zapomniał ja troszkę o tobie, to jest prawda, ale jak tylko twoje horowanie i ten twój ciężki pot zobaczył, to zaraz serce cościś ścisnęło mi jak w kleszczach, a jak twoje oczy popatrzały na mnie, to cościś we mnie rozplynęło się jak ten miód...

Pośród brzoź, pośród zielonych, w powiewach wietrzyku i swiergocie ptactwa, przyciskał ją mocno do piersi, ręką jakby stworzoną do kowadła i młota, z twarzy jej ścierał pot i łzy, i usta, z których wydobywały się śmiech i łkania, pocałunkami zamykał.

Długo potem w Suchej Dolinie ludzie gadali, że Pietrusia i *temu* także *cościś* zrobić musiała. Bo któż kiedy słyszał aby chłopiec, szczególniej jeśli

w szeroki świat pójdzie, sześć lat o dziewczynie pamiętał, a jeszcze taki, któremu-by najbogatsze dziewczęta wieszały się na szyję; aby ożenił się z dziewczką nie tak to już młodą, ze wszystkiém ubogą, przyblędą... Stepanowi zrobiła i temu zrobiła, tylko tamtemu odrobiła potém, a tego już sobie zabrała. Jakieś takie ziele zna, czy co? a może i coś gorszego jeszcze...

III.

Znała Pietrusia istotnie mnóstwo sposobów zaradzania różnym przypadłościom życia, w których skuteczność ani na chwilę nie zwątpiła sama i któremi przysługiwała się innym. Doświadczyli tego na sobie jednocześnie, ale w sposób różny, Piotr Dziurdzia i Jakób Szyszko. Pierwszy był jednym z najbogatszych gospodarzy w Suchej Dolinie. Czy grunt jakiś lepszy od innych przypadł im w udziale, czy trzeźwiejsi i pracowitsi byli niż inni, dość, że dziad jego, ojciec i on sam uchodzili we wsi za bogaczów. Wkrótce po nastaniu wolności Piotr zbudował chatę, mającą pozór porządnego domku. Miała ona komin, dwa spore okna, mały ganek i ściany z zewnątrz pobielone. Wewnątrz, nie tam osobliwego na pierwszy rzut oka spostrzedz się nie dawało. Sień, duża izba i obszerna komora; w dużej izbie ogromny piec do gotowania strawy i pieczenia chleba, ławy, stoły,

krośna tkackie, gospodarskie statki drewniane, nie więcéj; wszystko tak jak u innych. Ale zajrzeć tylko do komory, obory, stajni, spichlerza! Tam już działa się zawsze niepospolicie. W największy choćby nieurodzaj, zboża nie brakło, bo z roku na rok zostawał zawsze jaki taki zapas, i zbytek lat jednych latał braki drugich. Cztery krowy, dwa konie, z których jedna kłaczką, co roku przyprowadzająca źrebię, sześć owiec, wieprze, kury, gołębie, gnieźdzące się na dachu, w ogrodzie gęsty gaik drzew wiśniowych, zmieszanych z dzikimi gruszami, których owoc dostarczał na zimę wybor-nych *gnalek*, wszystkiego tam było pełno. W komorze, na pulkach i na ziemi piętrzyły się worki i garnki z wszelkiém dobrem, jedna ściana czerniała cała od pozawieszanych na niej motków nici, stojące pod ścianą skrzynie napępniały po brzegi przyodziewki męskie i niewieście, jako téż, niepokrojone jeszcze *ściany* szarych płócien i sztywnych *samodziałów*, w sine i czerwone pasy, na domowych krośnach wytkanych. Ale nietylko niezwykły dostatek napępniał chatę Piotra; pełną była ona także i niezwykłego spokoju. Piotr był człowiekiem charakteru flegmatycznego, ruchów ociężałych, mowy rozważnéj; żona jego, kobieta wysoka, urodziwa i łagodna. W młodości swéj jeszcze zaniemo-
gła na reumatyzmy i inne jakies choroby, które uczyniły ją także powolniejszą i mniéj od innych

niewiastą do klótni skora. Stękała często, szeroko i długo użalała się na cierpienia swoje, u kogo tylko mogła rady na nie zasięgała, gdy bóle srodze dokuczać jéj zaczynały, popłakiwała sobie w kącie albo ji na całą chatę głośnie lamenty zawodziła, ale do klótni z mężem nigdy nie stawiała. Gdzieby jéj tam, z osłabłemi nogami i powykrzywianemi palcami rąk, jéj niezdarze, która jak jaka pani wyręczycielek potrzebowała, do klótni jeszcze stawać! Szczeńściem już dla niéj wielkiém było i to, że mąż z chaty jéj nie wyganiał, za niedołęztwo nie łajał, a nawet często ulitował się, żałośliwie nad nią głową pokiwał i po ludzku z nią pogadał. Dość była roztropną, aby szczeńście to ocenić i każdą wolę męża tak szanować, jakby to była wola bozka. Rozumowanie jéj pod tym względem było proste. W chwilach wylania do sąsiadek mówiła. — Dlaczego ożenił się, on ze mną? Nie dla posagu ożenił się, bo nijakiego nie miałam, ale dlatego żeby w chacie dobrą gospodynią mieć. O jakąż ze mnie gospodyni? Do pracy rwę się jak ten koń do studni, co *zdażam*, zrobię, ale mało *zdażam*. Jak *chwaroba* schwyci, to i ręce od wszystkiego odpadną. A on mnie za to nigdy nie, żeby choć jedno złe słowo powiedział! Cierpi i milczy. Jeszcze czasem i zapyta się: może tobie Agatka, trzeba czego? Może ciebie znów do znachora zawieźć? Dobry człowiek. Toż ja jemu nie sprzeciwiam się w nicém.

Niech jemu i Pan Bóg przernajświętszy nie sprzeciwi się...

Zresztą, sprzeciwić się Piotrowi nie było by rzeczą łatwą. Miewał i on przystępy gniewu, rzadkie, ale straszne. Można-by rzec, że w naturze tej cichój i poważnej, burze wybuchały tém gwałtowniej im powolniej i dłużej wzbierały. Kiedyś, za młodu, był on dla rodziców swych synem uległym i o stare lata ich dbającym, jednak, gdy matka ze starości zdziwaczała już nieco, dokuczyła mu ciągłemi kłótniami z synową i raz komorę przed nią zamknęła tak, że wróciwszy z pola strawy zgotowanej nie znalazł i głodnym być musiał, uderzył ją tak silnie, że stara zaniemogła, przeleżała na piecu czas jakiś i umarła. Może ona i nie od uderzenia synowskiego umarła, bo wprzód już nie prawie sił w niej nie było, ale Piotr zgryzł się tém tak bardzo, że długo jak nieprzytomny po świecie chodził. Żonie i kumowi, którego bardzo lubił, powiedział wtedy, że sam siebie tak bać się zaczął, jakby już dyabłu duszę był zaprzedał. Odtąd też stał się bardzo nabożnym. Do kościoła jeździł i spowiadał się częściej od innych, za pługiem idąc, pacierze czasem odmawiał, w każde uroczyste święto, wielkie bochny chleba i grube zwoje płótna, u kościelnego ołtarza na ofiarę składał. Można-by rzec, że myśl, iż krzywdą zrzadzona matce, duszę jego w posiadanie dyabel-

skie oddała, napelniała go trwogą i żądzą oczyszczenia się przed Bogiem. Z czasem wznieciło to w nim niejaka skłonność mistyczną, której ustawiczna a ciężka praca fizyczna wybujać nie pozwalała, lecz która malowała się w marzycielskim trochę wyrazie, z jakim niekiedy siwe jego oczy patrzyły na świat z pod gęstych brwi, jako też w szczególném zaciekawieniu do cudów, czarów i wszelkich nawet opowiadań o nadprzyrodzoności. Skłonność ta zwiększyła się jeszcze wypadkiem, który wydarzył się w dzieciństwie młodszemu z synów jego, Jasiukowi. Chłopak przyszedł na świat wtedy właśnie, gdy Piotrowa chorzeć zaczynała i, około pięciu lat życia swego mając, wysechł i wyżółkł tak, że podobniejszym stał się do figurki z wosku, niż do dziecka. Nogi miał na wewnątrz powykrzywiane, gębę wiecznie otwartą, gdy biedz chciał, padał. Klemens hodował się zdrowo i jak wzdłuż, tak wszcz rósł niby na drożdżach; nad Jasiukiem płakała matka, sąsiadki żałośliwie kiwały głowami, a ojciec, według zwyczaju swego, z cicha i powoli coś pomrukując, ponuro czasem głowę zwieszał. Doszło do tego, że Agata, której obrzydły i kwękania chłopca, i ciągle pilnowanie go, jakby przez tyle lat niemożliwem być nie przestał, w gniewie i żalu rzekła raz do sąsiadek:

— Ot niechaj-by go już lepiej Pan Bóg sobie zabrał...

Wtedy Piotr rozgniewał się znowu. Od śmierci matki przez długie lat kilka nie gniewał się nigdy; teraz znowu w gniew wpadł i był-by wybił żonę, gdyby mu ona z płaczem do ręki nie przypadła, prosząc o zlitowanie nad jej chorobą i niedolą. Krzyczał więc tylko okrutnie, sąsiadki, które macierzyńską żalostí Agaty gadaniną swą drażniły, z wielkim dla nich wstydem z chaty wypędził a wkrótce potem z chorým dzieckiem na wóz wsiadł i do cudownego miejsca na odpust pojechał. Jeżeli tam innym Pan Bóg cuda swe okazywał, czemużby i jemu okazać nie miał. Powiedział mu ktoś, że dla uproszenia téj łaski, trzeba kupić jedną z woskowych figurek, jakie w niektórych kruchtach kościelnych sprzedają, i złożyć ją na ołtarzu. Piotr kupił taką figurkę i jeszcze mszę na intencyą dziecka zakupił, a przesłuchał ją, klęcząc i głośnie, żarliwie, z ciężkimi westchnieniami i uderzeniem się pięścią w pierś odmawiając pacierze. Gdy a stóp ołtarza chłopcy dzwonili na podniesienie, on, w obu ramionach, okrytych rękawami baraniego kozucha, podniósł chłopca swego w górę, tak jakby go zmiłowaniu Bożemu ukazywał, a sam, twarz brunatną i gęsto zarosłą wysoko także podnosząc, marzycielskiem spojrzeniem swém ścigał błękitne dymy, które nad głowami ludzkiemi blaskiem świec i rzeźbami ołtarza, wzbijały się pod mroczne sklepienie świątyni. Dziecko wróciło z odpustu do chaty tak,

jak odjeżdżało: wyschłe, żółte, słabe, z wykrzywionemi nogami i otwartą gębą, lecz wkrótce, może w parę miesięcy potem, widocznie poprawiać się zaczęło: bielalo, tyło, prostowało się, wprost odzywało. Wprawdzie, była to wiosna ciepła i słoneczna, w której odzywało wszystko, co na świecie było: drzewa, trawy, kwiaty, a także i dzieci. Wprawdzie Aksena, która podówczas świeżo w Piotrowej chacie była osiadła, doradziła Piotrowej, aby codziennie wyprawiać Jasiuka na ten suchy piasek, który białą ławicą stał się u końca wioski. Niechaj biedulek grzebie się sobie w tym piasku—mówiła — to jak go słoneczko mocno rozgrzeje, dziecko zdrowe będzie. Taka już święta siła jest w gorącym piasku, że on dzieci uzdrawia, kończyła Aksena i Pietrusi, która wtedy jeszcze niedoroslą była dziewczynką, rozkazywała, aby Jasiuka na piasek prowadziła i tam pilnowała go i zabawiała. Jasiuk nigdy wprawdzie nie stał się silnym ani tak pięknym i roztroptym, jakim był niewiele odeń starszy Klemens. Wyzdrowiał przecież, nie kwękał już tak jak piérwój, nie padał co krok, więcćj mówić zaczął, wybielał. W chacie Piotra mówiono często o tém wyzdrowieniu i przyczyny jego rozważano. Jedne z bab, nabożnie składając ręce na brzuchach, mówiły — Taki to Piotrowa ofiara na odpusćcie.

— Piasek ten, co go Aksena doradziła — twierdziły inne.

Piotr zaś przemawiał:

— I ofiara na odpuszczenie i piasek, a wszystko Pan Bóg przenaświętszy zrządził; bo, — z powagą mówił dalej, — jeżeli piasek ma taką świętą siłę, to mu ją Pan Bóg dał. Ot co.

— Jest na świecie i *czartowska* siła — zauważyła jedna z bab.

— A jest — z przekonaniem potwierdził Piotr i po namyśle dodał: — ale w piasku, jest siła Bozka, bo ot, dobrze zrobił; a żeby w nim była siła czartowska, toby źle zrobił...

Zastanowił się jeszcze trochę, wskazujący palec w górę wznosił i dokończył.

— *Czortowska* siła zawsze źle człowiekowi robi, a Bozka dobrze. Ot co.

Bozką tedy moc zjednywał sobie Piotr Dziurdzia coniedzielnym jeżdżeniem do kościoła, odmawianiem pacierzy, ofiarami składanymi kościołowi w postaci chlebów, serów i płócien, dyabelskiej zaś lękał się okrutnie, choć nigdy jęć na sobie, w widoczny przynajmniej sposób nie doświadczył, i miał ją w obrzydzeniu i nienawiści wielkiej. Jeżeli ktośkolwiek opowiadał przed nim o ludziach, którzy, jak na przykład więdźmy i czarownicy różni, przez nią źle figle innym ludziom płatali, spluwał z obrzydzeniem i ze złością przez zęby wymawiał. — *Kab*

im ręce połamało! *Kab* im skonanie ciężkiem było! *Kab* oni królestwa niebieskiego nie oglądali!

O królestwie niebieskiem Piotr wspominał często; zdaje się, że było ono tym przedmiotem, który kiedyś, wysoko, w zarysach mętnych i nieokreślonych unosił się nad nim wtedy, gdy oczy jego, pod gęstemi, wypukłemi brwiami, przybierały wyraz zamyślony i trochę marzycielski.

Jednakże, rojąc sobie dziwne może obrazy królestwa niebieskiego, dbałym był i o ziemskie. Gospodarstwo swe pracowicie i zabiegliwie prowadził, a wielce ucieszył się, gdy go mieszkańcy Suchej Doliny na urząd *starosty* swego wynieśli. Wtedy okazało się widocznie, że od ambicyi wszelkiej wolnym nie był i że zaszczyt, który go spotkał, przyjemnie pogłaskał jego dumę. Wprzód trzymał się był trochę pochyło; zostawszy *starostą*, grzbiet wyprostował, uśmiechnął się tak szeroko i swobodnie jak nigdy przedtem, lecz za to z większą jeszcze niż przedtem powagą stąpać zaczął i z widoczną lubością, niemal uroczyście, na zewnątrz ścianie swojej chaty przybijał siną tablicę, na której wielkimi białemi literami wypisane było: *Piotr Dziurdzia, starosta*. Sprawami publicznymi, które sąsiedzi w ręce jego złożyli, zajął się gorliwie i cierpliwie. Gdy obiegły go różne, z urzędem jego związane trudy i przeciwności, ze skrucłą w głosie mawiał: — Pan Jezus więcej cierpiał!

Albo.

— Pan Jezus mnie to w królestwie niebieskiem wynagrodzi

I swoje robił, ani na dokuczanie ludzkie, ani na fatygi różne nie zważając. Często także unosiła go ludzka duma. Podnosił palce do góry, uśmiechał się szeroko i w zwykły sobie, powolny sposób mówił:

— *Ciepier, jak toj kazau, ja tut piérwszy jezdem i ze wszystkich najwyższejczy...*

Starszemu synowi także czasem perory prawił.

— Patrzaj, Klemens, bądź taki jak ja, a Pan Bóg przenajświętszy da tobie panowanie ziemskie i królestwo niebieskie. Nie pij, cudzego nie żądaj, co do ciebie należy rób, a w moc czartowską nie oddawaj się. W moc Bożką oddaj się, a w moc czartowską nie oddawaj się, bo jak *toj kazau*, gospodarstwo zginie i duszę zgubisz. Ot co.

Ważny wypadek *zostania starostą* wiejskim, zaszedł w życiu Piotra w parę lat po weselu Michałka Kowalczuka z Pietrusią, a wkrótce potem, roztrząsaniu mieszkańców wsi nastroczyła się sprawa wielkiej dla nich wagi. *Magazyn* wiejski, w którym mieściły się zapasy zboża, przeznaczone dla wspomaganiania lat nieurodzajnych, tak już był starym, że całkowitym upadkiem groził, *Stanowy* (policyjny urzędnik) kilka razy zapowiadał konieczność zbudowania innego, i mieszkańcy Suchéj Doliny konie-

czność tę czuli sami, ale z przystąpieniem do roboty z roku na rok zwlekali. Wiadomo, kosztów lekali się, a i nowego kłopotu niebardzo żądali. Teraz jednak przyszedł już kres ostateczny zwlekania. Magazyn trzeba było budować, chcąc nie chcąc, bo tak stanowczo i nieodwołalnie przykazano z góry. W chacie starosty, aż ciemno zrobiło się od ludzi, którzy zeszli się tam dla narady o tej kosztownej i dość skomplikowanej sprawie. Piotr Dziurdzia przewodniczył naradzie ze zwykłą sobie powagą i roztropnością, doradzając jak i kiedy pieniądze na ową budowę zebranymi być mają, gdzie i jakie drzewo kupić na nią należy, kogo i za jaką cenę wezwać do wymierzenia ziemi, którą budynek na inne miejsce przenoszony zająć musiał. We wszystkich tych rozważeniach i wyliczeniach, skutecznie pomagał mu stryjeczny jego brat Stepan, mający jedną z najlepszych głów we wsi, ilekroć nie był pijanym, albo nie wpadał w pasyą. Miał on nawet tę nad drugimi wyższość, że biegle liczyć umiał. Nikt go tego nigdy nie uczył, ale z natury już tę zdolność posiadał i nauczył się sam. Ze zaś tym razem trzeźwym był i nie gniewał się na nikogo, a przytém, kroił sobie koniecznie na najbliższych wyborach sędzią wiejskim zostać, siedząc tedy obok Piotra, szeroko i roztropnie prawił, biegle różne cyfry dodawał i mnożył, słowem, zapominając o tém, co gryzło go i dręczyło w życiu prywatném, spra-

wom publicznym oddał się całkiem. Przy téj czynności, rozjaśniła mu się nieco i wypogodziła twarz, przedwcześnie pomarszczona i najczęściej ponura a gniewna. Pomimo jednak roztropności i powagi dwóch Dziurdziów, w izbie wybuchała często wrzawa, taka, że ludzie jedni drugich zrozumieć nie mogli. Wszyscy tam jednocześnie mówić zaczęli, łokciami, ramionami odpychali się wzajem od stołu, za którym siedział starosta, o każdy grosz zawodzili kłótnie, na każdą propozycją odpowiadali zaprzeczeniami. Piotr cierpliwie to znosił, kilku uważniejszym słuchaczom swoje prawił, a czasem, kiedy sąsiedzi lajać go już i przeklinać zaczęli, pomrukiwał.

— Pan Jezus więcéj cierpiał!

— Bydło! *praklatoje* bydło! *Kab na was chalera*— wykrzykiwał popędliwy Stepan i, najnatarczywszych pięścią od stołu odpychając, zaczynał już w paroxyzm złości wpadać, gdy nagle, kłótliwą wrzawę męskich głosów, niby ostrzem noża przerznął piskliwy a rozpaczliwy krzyk niewieści. Była to Piotrowa, która, z komory wypadłszy, ręce łamała i z boku na bok przechylając się, w niebogłosy krzyczała i zawodziła.

— *Jazu mój Jazu!* O *Jazuż mój, Jazu* najmiłosierniejszy!

Tu i dziewczka, która w zastępstwie Pietrusi, w gospodarstwie jég dopomagała, tuż za nią także

z komory wypadła, włosy sobie z głowy wyrывая, a po chacie téż biegając; jeszcze donośniej i piskliwiej wtórzyła.

— O Matko Bozka przenajświętsza! zmiłuj *sia*, zmiłuj *sia*, zmiłuj *sia* ty nad nami nieszczęśliwemi!

Mężczyźni rozprawiać i kłócić się przestali, i z gębami pootwieranemi, jak słupy stojąc, błędnymi wzrokami wodzili za niewiastami, które jakby w konwulsjach rzucały się po izbie. Sporo czasu upłynęło zanim gospodarz chaty, zrazu perswazyą, a potem groźbą spuszczenia im pięści swych na plecy, dopytać się u niewiast zdołał, co się stało. Stała się istotnie rzecz zasmucająca: z komory zginęły dwa sadła, dwanaście par kielbas, i dziesięć *ścian* świeżo utkanego płótna. Wszystko to ukradzione zostało nie wiedzieć kiedy, przez kogoś, kto odpowiedniem narzędziem wewnętrzną okienicę przepiłował, zamykając ją zasuwę usunął, przez okno do komory wlaź i tyle dobra z niej wyciągnął. Okno komory wychodziło na ogród, w téj późnej jesiennej porze pusty i tylko błotem pokryty, nocie jesienne długie są i ciemne... Piotrowa rozpaczała; Piotr, stratę poniesioną mniej żywo do serca biorąc, zmartwił się jednak i nadewszystko oburzył się przeciw nieznanemu złoczyńcy. Ludzie, którzy tu obradowali i obrady swéj nie tylko nie skończyli, ale po razy kilka jeszcze kończyć nie mieli, rozeszli się zwolna; w izbie pozostał Piotr, w zamyśleniu

na ławie siedzący i łokciami na stole rozparty i trzy kobiety, które przed ogniem, żywo płonącym w piecu, głośno o zaszłym wypadku rozprawiały. Były to trzy Dziurdziowe, żony Piotra, Stepana i Szymona Dziurdziów. Były to także trzy zupełnie różne z sobą typy chłopek i trzy wyraźnie różne dole kobiece. Niemłoda już i schorowana, ale spokojna i jeszcze dość urodziwa Piotrowa, żona męża dobrego, gospodyni chaty dostatniej i matka dwóch dorastających synów, skrzyżowała na piersi ramiona i smutnie już tylko nad stratą swoją głową kiwała, z cicha powtarzając:

— *Jakże złe ludzie! aj, jakże niegodziwe!*

Zwinna jak żmijka, czarnooka, śniada i ognista Stepanowa, sławna na całą okolicę złośnica i plotkarka, o której zresztą wszyscy wiedzieli, że mąż jej cierpieć nie mógł i że wiecznie biła go lub przez niego biła była, na pierwszą wieść o tém, co się w chacie Piotra przytrafiło, porzuciła niedawno urodzone, a przez cztery lata małżeńskiego pożycia jedyne dziecko i, przyleciawszy tu, krzyczała, złodziejów przeklinała i miotła się tak srodze i hałaśliwie, jakby ją samę i stokroć od téj większa strata spotkała. Szymonowa przeciwnie, przywlokła się zwolna i z dzieckiem na ręku, które już było szóstém czy siódmém. Niestara była jeszcze i niebrzydka, ale strasznie wymizerowaną, z czołem zmarszczoném i wiecznie skrzywionemi usty. Pio-

trowa, choć starsza i schorowana, daleko lepiej od niej wyglądała. Wiadomo, żona pijaka, siedzącego po uszy w długach, u żyda arendarza zaciągniętych, mająca chatę kurną jeszcze i drobnych dzieci pełną, a komorę prawie pustą, tyć i wesoło sobie *bajdurzyć* nie mogła. Na Agacie wyraźnie odbijały się spokój i dobrobyt, na Rozalii Stepanowej charakter zapalczywy, a złem pożyciem małżeńskim do stopnia prawie wściekłości rozjątrzony; na Parasce, żonce pijaka Szymona—skłopotanie i nędza. Tułając i kołysząc dziecko, które w piersi matczyną mało znajdowało pokarmu i rozkrzyczało się w niebogłosy, z podziwem, pełném świętobliwego jakby poszanowania, wciąż powtarzała. — Dwa sadła i dziesięć *ścian* płótna! oj, Bożeż mój Boże! dwa sadła, dziesięć *ścian* płótna i dwanaście par kielbas... oj, Bożesz, mój Boże!...

Bogaćtwu takiemu, które aż tyle rzeczy bez ostatecznego ogłodzenia poszkodowanych z komory ukraść pozwalało, dosyć nadziwić się i nalubować nie mogła! Nie zazdrościła, owszem, żałowała krewniaków, że im się taka szkoda stała, ale oczy jój zachodziły łzami. Dawało to jój miarę i żywne uczucie biedy własnej. Zaś czarne oczy Rozalki rozpały się coraz bardziej, błyskały i latały jak u oszalałej, a język, szybciej jeszcze latał niż zreniece. Przekleństwa najstraszliwsze na nieznanego złodzieja miotła, lecz wiadomém to już było, że

zawsze coś lub kogoś przeklinać musiała; podobno sprawiało to ulgę nieustannę zgryzocie, która u innych roztopiła-by się w łzy, a ją napelniała warem i płomieniem.

Zasmucony, lecz już ułagodzony głos Piotrowej, przebił się przez wrzaskliwe zawrozenia Rozalki.

— Żeby tam nie wiem co, — rzekła, — ja taki będę wiedzieć, kto to ten złodziej.

Zwróciła się do Piotra.

— Pietruk, — rzekła głosem, który objawiał zgodny i przyjacielski stosunek jej z mężem; — *idź do Akseny. . . popytaj się, może ona zna co takiego, żeby tego złodzieja odkryć...*

Nad wszelkie spodziewanie niewiast, Piotr ani jednym słowem nie sprzeciwił się temu żądaniu, wstał, na głowę czapkę baranią włożył i z chaty wyszedł.

Wieczór to był jesienny, ciemny; wiatr szumiał w ogrodach i mijał krzewami; pod niebem szmaty chmur, lecąc jak ciężkie ptaki, przysłaniały to znowu odsłaniały gwiazdy. Błotnistą ścieżkę wijącą się pomiędzy ścianami obór i gumien, a opłotkami ogrodów, wysoki, barczysty, chłop, w kozuchu i baraniej czapce, z grzbietem nieco przygarbionym, szedł szerokim i ciężkim krokiem w kierunku zagrody kowala. Zdala już widać było kuźnię, buchającą czerwonym światłem i słysząc turkot odjeżdżających wozów. Przed tą kuźnią, zawsze jak

na odpuszcie albo jarmarku. Z całej okolicy ludzie do Michała Kowalczuka przyjeżdżają, bo takiego jak on kowala nigdzie niema. Ale teraz już wieczór i ci co tu dziś konie podkuwali, obręcze na koła i siekiery robić, a pługi i wozy naprawiać kazali, jadą do domów, drogą pomiędzy wierzbami i bzami, w których puszczyki i lelaki gnieźdzą się i skomlą. Przed otwartymi drzwiami kuźni niema już nikogo, tylko leży szeroko błoto straszne, kołami wozów i kopytami końskimi rozbite i pogłębione. Piotr Dziurdzia w błocie tém stanął i przez chwilę, we wnętrze kuźni wpatrywał się z przyjemnością niejaka. Czerwonym światłem napełnione, jaskrawo odbijało ono od ciemności, panujących na zewnątrz. W tém świetle, pięknie przedstawiała się postać młodego kowala, który pracować jeszcze nie przestał. W majtkach i koszuli z wysoko odwiniętymi rękawami, silny i zgrabny chłop, żwawo podnosił żyłaste ramię, co siły bił młotem po rozpalonem żelaztwie, skry z pod młota sypały się w dół deszczem, a słupem tryskały w górę, śniada twarz z czarnym wąsem i czarna jego czupryna, stały w czerwonym blasku. Żwawo pracował i wesoło. Nadewszystko wesoło. Co chwila zagadywał coś do pomagającego mu chłopaka, czasem i przyspiewywał sobie, albo, gdy uderzenie silniejszym czy zrzeczniejszym być musiało, podnosząc i opuszczając ramię, niby do tańca wykrzykiwał sobie — Hu, ha! —

Piotr z zadowoleniem niejakiem na tę rażną i wesołą pracę popatrzawszy, uszedł jeszcze ze dwadzieścia kroków i wszedł do chaty kowala.

Izba tam była takąż prawie jak u Piotra, obszer-
na, z drewnianą podłogą i wolna od dymu, który
przez komin uchodził, tylko spostrzegać się w nią
dawały pewne wymysły, jakich u *dzidów* i *pradzidów*
nie bywało. Oprócz stołów i ław stały tam trzy
drewniane krzesła, u sporych okien zieleniało w wa-
zonach kilka niskich roślin, na małej szafce z dwie-
ma szybkami polyskiwał blaszany samowar. Wy-
mysły te, przywiózł z sobą Kowalczuk z szerokiego
świata, a może też zapoznała się z niemi i Pietru-
sia, w tym szlacheckim dworku, w którym za dziew-
kę folwarczną służyła. Wymyślność ta jednak nie
doszła do tego stopnia, aby gdzieindziej umieścić
ogromny piec z okopconem wnętrzem, w którym,
jak o tej porze w każdej z chat chłopskich, palił się
ogień wielki. Nie dosięgła też ta wymyślność ani
świeć, ani lampy; pomiędzy cegły pieca wetknięte
łuczywo, paląc się czerwonym i dymnym płomie-
niem oświetlało postać starój Akseny w ten sposób,
że, komuś wchodzącemu do izby, musiała ona na-
przód rzucać się w oczy. Według starego swego
zwyczaju, kościana babka siedziała na piecu i w do-
statniej siermieżce, w czarnym czepcu, wyprosto-
wana, jedną ręką wyciągała z kądzieli nić lnianą,
w drugiej kręciła wrzeciono. Pietrusia nosiła po

izbie roczne dziecko, kołysaniem i półgłosnym śpie-
waniem uspić je usiłując. W drzwiach izby, powa-
żnym i uprzejmym głosem wymówione, zabrzmiało
pozdrowienie Piotra.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków... — z uradowaniem wi-
docznem odpowiedziała Pietrusia i, z dzieckiem na
ręku, z rozbłyskami od zadowolenia oczyma, ku go-
ściowi podbiegłszy, w rękę go pocałowała. Aksena,
która, od czasu oślepięcia swego słuch miała ostry,
poznała też Piotra po głosie i na chwilę prząść prze-
stając, w znak powitania głową tak kiwać zaczęła,
aż się jej do koła czarnego czepca białe, siwe włosy
rozwały. Przytém chrapowatym i z powodu
braku zębów sepleniącym głosem, dziękowała mu
za to, że sobie o nich przypomniał i chatę ich na-
wiedził. Pietrusia tymczasem, uspięne już dzie-
cko położyła w kołyskę, jedno z trzech krzeseł far-
tuchem otarła i w radośnym uśmiechu pokazując białe
zęby, zapraszała byłego gospodarza swego, aby na
niem usiadł. Piotr popatrzał na krzesło, tak jakby
przekonać się chciał, że nie złamie się ono pod jego
ciężarem i z ostrożnością niejaką na niem usiadł.

— Nu, — zaczął oglądając się po izbie, — po
pańsku tu u was, pięknie... *Kresła* sobie wymyślili
i samowar... oho!

— Po pańsku, nie po pańsku, — podchwyciła
Aksena, której zaledwie widzialne wargi z wielkiego

ukontentowania rozciągnęły się od ucha do ucha, ale chwała Bogu niczego nie braknie... wszystko jest... i chleb jest i zgoda święta jest... jak Pan Bóg przykazał...

— I syn jest... — dodał Piotr, z żartobliwą dobrotliwością na Pietrusię patrząc. Ona zawstydzila się trochę i spuściła oczy, ale wesoło wciąż uśmiechając się, odpowiedziała.

— A jest, dziadźku...

— I drugi zaraz będzie... — zażartował dalej starosta.

Tym razem młoda mężatka zaczerwieniła się jak burak, odwróciła trochę twarz i z cicha zachichotała. Aksena ze swój strony śmiała się na piecu swoim starym śmiechem, który suchy klekot drewnianej grzechotki przypominał.

— Czy jeden jeszcze... oj, oj, czy jeden jeszcze będzie—mówiła.

— Daj Boże szczęśliwie — z życzliwością zakończył Piotr, a tu i kowal wszedł do izby. Przed opuszczeniem kuźni włożył był na siebie szary spencer sukienny, zieloną taśmą oszyty, i wyglądał w nim bardzo zgrabnie. Twarz miał zaognioną i spoconą od pracy; na widok Piotra ucieszył się bardzo i w obadwa ramiona go ucałował. Ani on, ani Pietrusia nie zapominali o tém nigdy, że stara Aksena i jój wnuczka przez lat wiele w Piotrowej chacie chleb jadły. Nie darmo wprawdzie

go jadły, ale był on dobrym i omastą życzliwości obojga gospodarstwa przyprowadzonym. Że tam potem stało się inaczej i na tułaczkę znowu iść musiały, w tém już winy Piotra nie było.

— Pietrusia! — zawołał do żony kowal — zróbno dla dziadźka herbaty...

Piotr poprawił się na krześle. Lubiał bardzo herbatę, choć pijał ją tyle tylko, co czasem w miasteczku, kiedy na odpust albo na targ przyjechał, we własnej chacie samowaru mieć nie chciał, bo go *dzidy pradziły* nie miewali.

— Oho! — zauważył — wy jak pany... herbatę sobie pijecie...

— Codzień nie pijem, ale czasem pijem — odpowiedział kowal — a co robić? wódki do gęby nie bierzem, to czasem trzeba czém inném *żywot* rozgrzać... I starój babuli ziele to życie przedłuża i jak gość *trapi się*, potraktować dobrze...

— Dobrze, czemu nie dobrze? — potwierdził Piotr i zaczął kowala wypytować się o różne różności, których on mnóstwo wiedział, bo i kawał szerokiego świata zehodził i teraz ciągle z mnóstwem ludzi, zwyczajnie jako rzemieślnik do czynienia miał, Michałka nie trzeba było długo do rozmowy zachęcać, bo z natury był on wielomównym i wesołym. Więc téż szeroko i długo opowiadać zaczął gościowi o jakimś wielkiem mieście, w którym jako żołnierz lat parę przebywał, a tymcza-

sem Pietrusia z pośpiechem zagotowała wodę w samowarze i po kilku minutach z glinianego *czajnika* nalala herbatę do trzech szklanek z grubego zielonawego szkła i, do każdej z nich włożywszy cynową łyżeczkę, na białym spodku kilka kawałków cukru położyła. Naczynia i cukier z szatki wyjmowała, związała się po izbie bosemi nogami żywo i zgrabnie, szklanki i łyżeczki, jak wesołe dzwonki w rękę jej dzwoniły. Dwie szklanki z herbatą postawiła na stole przed gościem i mężem, trzecią, na ławę wskoczywszy, na piecu umieściła i gdy dwaj mężczyźni bezprzestannie gawędzili z sobą, ona gorącą herbatę na spodek wylewała i, wydymając policzki z całej siły i, głośno na nią dmuchała. Potem końcem palca dotykała płynu a przekonawszy się, że już był ostudzony, brzeg spodka do ust babki przykładała, mówiąc:

— *Piej, babulo, piej!*

Siedziała na brzegu pieca i ślepą babkę herbatą poila. Chustki na głowie w domu nie nosiła. Ciemne włosy rozrzuciły się trochę dokoła jej twarzy a czoło miała takie gładkie i pogodne a oczy tak od wesołości błyszczące, że choć tam w kołysce usypiał roczny już chłopak, na dziewczynę wyglądała. Michałek z Piotrem rozmawiając, spojrział na żonę raz, drugi, a potem, opowiadanie jakiegoś przerwał i zapytał.

— Pietrusia! a ty *znou harbaty* nie pijesz?

Wydeła trochę wargi i bosemi stopami po ścianie pieca bębniąc, odpowiedziała.

— *Nie chaczu! nie lublu! paskudnoje ziele.* Mnie lepsza zacierka z sadłem.

To wspomnienie o sadle przypominało Piotrowi cel dzisiejszych jego odwiedzin. Wsparł tedy łokcie na stole, twarz na rękę i wypadek, który chatę jego nawiedził, opowiadać zaczął. Obecni dziwili się i bardzo ubolewali. Zajął ich nade wszystko pytanie: kto to taki — ten złodziej? Kował przypomniał sobie, że wczorajszej nocy wracał właśnie z sąsiedniej wsi, do której za interesem był chodził, i widział jakiegoś człowieka, który z workiem na plecach prędko szedł pod płotami — A jakże on wyglądał, ten człowiek? — ciekawie zapytał Piotr. Kował odpowiedział, że był to człowiek chudy, małego wzrostu i zdaje się, że siwy zarost miał dokoła twarzy. Tego ostatniego na pewno nie utrzymywał, bo noc była, ale że widział go dość zbliżka i gwiazdy świeciły, więc zdaje mu się, iż miał siwy zarost dokoła twarzy. Piotr zadumał się a potem rzekł.

— To zupełnie tak jakby Jakób Szyszko...

W podejrzeniu wyrażonem względem Jakóba Szyszki nie nieprawdopodobnego nie było. Nie raz już on w życiu swoim na złodziejstwie był złapanym, a ot, dwa lata temu, za wdarcie się przez dach do stodoły dworskiej pół roku w tur-

mie przesiedział. Jednak było to tylko podejrzenie. Piotr wlepił oczy w ślepą twarz Akseny.

— Ja do wasz prośbą, ciotko — rzekł. — Może wy znacie jaki sposób, żeby tego złodzieja odkryć...

Baba milczała chwilę, potem chropowatym swym i bezzębnym głosem, ale powoli i z namysłem, mówić zaczęła:

— Czemu mam nie znać? znam. Weźcie sito, wbijcie w nie nożyce i niech dwoje ludzi podłóż palce pod ucha nożyce, a *drugie ludzie* niech mówią różne nazwiska, różne jakie sobie tylko *wspomną*... Na czyje nazwisko sito zakręci się, ten złodziej... I to jest taka pewna prawda, że ja nie raz ale sto razy na własne oczy widziałam...

Umilkła, wyciągnęła ramię i parę razy w złotych palcach wrzeciono pokręciła. Kował zaśmiał się głośno.

— Głupstwo! — rzekł.

— Michalek! — z przerażeniem prawie zawołała Pietrusia; — ty zawsze taki! tobie wszystko głupstwo! ej, niedowiarek paskudny!

Aż zaczerwieniła się cała, tak ją niedowiarstwo męża oburzyło. On pobłażliwie wymówkę jej przyjął i tylko z cicha jeszcze zamruczał.

— Oj, baby, baby *durnyje!*

Ale Piotr z nadzwyczajną uwagą i powagą słuchał słów Akseny, która, rękę z wrzecionem opuściwszy, dodała jeszcze.

— Można na sito złodzieja wywróżyć, można i na *Ewanielę*. To już jak gdzie... w jednych stronach na sito wróży się, a w drugich na *Ewanielę* wróży się... To już wszystko jedno... jak kto woli...

Piotr rękę do włosów podniósł.

— To już ja na *Ewanielę* wolę — rzekł a po chwili dodał. — Zawsze to Bozka rzecz jest i Bozka siła...

— No, to tak samo w *Ewanielę* nożyce wbić... — nauczala baba.

— Głupstwo! — zaśmiał się znowu kował, a Pietrusia skoczyła i ręką mu usta zamknęła. On ją wpół pochwycił, dwa razy się z nią w kółko okręcił, a potem tak załaskotał, że, zachodząc się głośnym śmiechem, na ławę upadła. Piotr na tę swawolę młodych żadnej uwagi nie zwracał. Jemu ważniejsza sprawa na sercu leżała i przytém wszelkie rozmowy o wróżbach, cudach i czarach przemowy go na wskroś tajemnicą i trwożliwą uroczystością. Wstał z krzesła i z niejakiem zakłopotaniem zaczął.

— *Dziakuj* wam Aksena, za waszę radę... Tylko, jak to zrobić... trzeba, żeby to kto *znający* robił...

— Ja wam to, dziadźku, zrobię... Zrywając się z ławy, zawołała Pietrusia; — czemu nie! Tyle lat chleb wasz jadłam a teraz-bym téj przysługi wam nie zrobiła?... Ot już idę...

I już na nogi trzewiki wkładała. Nigdy do

*Piotrowa ponia
ochłód dano ponia
papa.*

wioski bez trzewików nie chodziła. Mąż, który miał w tém przyjemność i ambicją swoją, wszelakie stroje dla niej kupował, a i jęj podobało się to bardzo, że szczęściem swém popisać się mogła przed ludźmi, pośród których kiedyś najuboższą i najpośledniejszą była. W trzewikach tedy, w kupnej perkalowej spodnicy, w zgrabnej, nowiutkiej siermięzce i kwiecistej chustce na głowie, w kilka minut potem, weszła do chaty starosty, i przed dawną gospodynią swą pokłoniwszy się nisko, w rękę ją pocałowała. Dwom innym kobietom za to, ledwie głową kiwnęła. Wiedziała dobrze, że dla obydwóch jest tém samym, co sól w oku. Jedna jęj swą małżeńską niedolę przypisywała, druga zazdrościła dostatku. Teraz przecie na chwilę o urazach swych zapomniay, ciekawość prze mogła nad nienawiścią. Skupiły się dokoła przybyłęj i zarzuciły ją pytaniami, ale ona, z dwoma niedorosłymi jeszcze chłopcami gospodarstwa zaraz gwarzyć i chichotać zaczęła. Znała ich niemal od niemowlęctwa; Klemensa w czerwony policzek uszczypnęła a Jasiukowi palec włożyła w usta, które najczęściej gapiowato otwierał. Oni ją zato za nogi tak pochwycili, że jak długa na środku izby upadła. Baby i dzieci aż za boki brały się od śmiechu i wiadomém to już było, że gdzie Pietrusia wpadła, tam pełno być musiało gadania, śpiewania i śmiechu. Jedna tylko Ro-

zalka ani myślała śmiać się. Na kloku drzewa przed piecem usiadła, ręką brodę podparła i zadumała się ponuro. W tém jakby makiem posiał, zrobiło się w izbie cicho. Piotr wyszedł z komory, niosąc w rękę niewielką książeczkę w podartęj oprawie i ze żółkłemi kartami. Była to Ewangelia, którą z poszanowaniem chował on na dnie skrzyni od lat wielu, odkąd mu ją po sobie w sukcesyi zostawił dziad bardzo stary, który z nią od dworu do dworu i od wsi do wsi chodził, aż nakoniec w Suchej Dolinie, w Piotrowej chacie umarł. Piotr dziadowi trumnę własnymi rękoma z czterech desek zbił, uczciwie go pogrzebał a książkę staro go żebraka, jako rzecz świętą uważając, w chacie swęj pozostawił. Nie otwierał jęj nigdy, bo czytać nie umiał, ale obecność jęj na dnie skrzyni za niejake ubezpieczenie chaty od nieczystej siły uważał, a ot teraz, z poszanowaniem, z komory ją wyniółszy, w milezeniu Pietrusi podał. Ona, z kieszeni siermięzki wyjęła nożyce, które z sobą przyniosła i w tém mgnieniu oka tak spoważniała, że ani by w niej poznać wesołą młodą, która tylko co po izbie z niedorosłymi chłopcami uganiała się i koziołki wywracała. Spoważniała, czoło trochę zmarszczyła, a wzniesione w górę jęj oczy, wyraz modlitewny przybrały. Westchnęła głośno, westchnęły za nią i inne kobiety, nawet Rozalka. Piotr przeżegnał się na-

śladowali go synowie obaj, rosły i czerstwy Kle-
mens z rozbłysłymi od ciekawości oczyma i blady,
chuderlawy Jasiuk z gębą szerszą niż kiedykol-
wiek otwartą. Nagle jednym zamachem, Pietrusia
rozwarł nożyce w grzbiet książki wbiła i pod
jedno ucho nożyc palec wskazujący podkładając,
drugie Piotrowej wskazała.

— Trzymajcież, ciotko!

Piotrowa uczyniła, co jej rozkazano. Książka
na ostrzu nożyce wisząca, szeroko ku dołowi roz-
wierała swe stare pożółkłe karty.

— Gadajcież teraz — zadysponowała Pietru-
sia — różne a różne nazwiska, gadajcie. Na czyje
nazwisko Ewanelia pokręci się, ten złodziej... Ro-
zalka pierwsza wyskoczyła z pytaniem

— Anton Budrak? — pytającym tonem wymó-
wiła a pragnęła, aby książka uczyniła owe zapo-
wiedziane poruszenie, bo wczoraj właśnie, nad
stawem, przy płókaniu bielizny pobiła się z Bu-
drakową. Ale książka ani drgnęła.

— Lewon Kuziauka? — cieniem dyszkantem
zapytała Szymonowa, był to albowiem jeden z naj-
dokuczliwszych wierzycieli jej męża. Ale książka
pozostała nieruchomą. Nazwiska za nazwiskami
wypadały z ust kobiet i chłopców, uszczęśliwionych
tém, że w tak ważnym akcie niejaka rolę grać mo-
gą. Książka jednak wciąż nie odpowiadała nic.
Nakoniec, Piotr który dotąd żadnego jeszcze na-

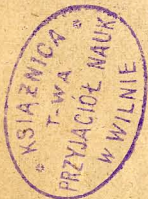


WRÓŻBA KOWALICHY U PIOTRA DZIURDZI.

zwiska nie wymienił, basowym i przytłumionym swym głosem rzekł.

— Jakób Szyszko. — Nie darmo przed półgodziną u kowala wyrażono podejrzenie na człowieka, który się tak nazywał. Palec Pietrusi drgnął tak lekko, że drgnięcia tego nietylko nikt nie spostrzegł, ale ona sama nie uczuła, a książka powolnym i zaledwie téż dostrzegalnym poruszeniem, dokonała mały półobrot.

— Aha! — zawołało chórem głosów siedm. Pietrusia ostrożnie i z uszanowaniem z grzbietu książki ostrza nożyce wyciągnęła i, pochyliwszy się, nabożnie starą okładkę ucałowała. Za przykładem jęj poszli inni. Całowały książkę wszystkie z kolei kobiety, całowali tak, że aż prawie smoktać ją zdawali się dwaj chłopcy; długim i skruszonym pocałunkiem usta swe do nięj przyłożył Piotr i natychmiast łuczywem sobie świecąc, do komory ją znowu poniósł. Potém, kobiety i chłopcy wymówili znowu chóralne: — Aha! w którém mieściły się uczucia różne: oburzenia, uradowania i wdzięczności dlatego czegoś, co im złodzieja odkryć pozwoliło. Czém było to coś, nie zapytywali o to i ani dorozumiéć się mogli. Czuli tylko i myśleli, że była to jakaś siła, która usługę im oddała za pośrednictwem Pietrusi. Tego wieczora jeszcze ognista Rozalka latała po wsi a zgnębiona Paraska ze skwierczającym dzieckiem swém na ręku od chaty



do chaty laziła, a obie na wyścigi, jedna prędko i zapaleczywie, druga powoli i mazgajowato, rozpowiadały o wszystkiém, co działo się i stało w chacie starosty.

Potém głuche już tylko chodziły wieści o tém, co pomiędzy Piotrem i Jakóbem zaszło. Podobno pierwszy, w rzadko u niego zdarzającym się ale gwałtownym przystępie gniewu, zbił Jakóba we własnej jego chacie i pociągnięciem go przed sąd zagroził, jeżeli nie przyzna się do winy i skradzionych rzeczy nie odda. Jakób wiedział już z doświadczenia, że od sądu niezawsze bezpieczeństwa nie wykręcić się można, a na stare lata nie chciało mu się po raz trzeci turmę nawiedzać. Przytém, gdy synowie i córki z małemi dziećmi na rękach rzuciły się do nóg staroście, prosząc, aby gospodarstwa ich nie rujnował, winowajca rozplakał się, wszystko przed Piotrem wyznał i zwrócił mu dwa sadła i pięć ścian płótna. O reszcie płótna utrzymywał, że gdzieś je zgubił, a o kielbasach, że je jakimśś przypadkiem psy zjadły. Plakał, bił się pięścią w piersi i na zbawienie wieczne zaklinał się, że tak było. Synowie i córki, wiedząc dobrze, że tak nie było, skupiły się w kącie izby i milczały. A nuż Piotr uwierzy, a pięć ścian płótna i kielbasy w chacie pozostaną! Piotr nie uwierzył, ale gniew odszedł mu nieco i widział zresztą, jak ubogą była ta Jakóbowa chata i jaka ją napel-

niała gromada. Było tam dusz ze trzynaście, starych, młodych i małych. Tyle ludzi za winę jednego gubić i samemu nie małych kłopotów nabrać się. Ręką tedy machnął, to, co oddano mu, zabrał, a o tém, czego nie oddano, przez zęby mruknął...

— Pan Bóg Przenajświętszy tę moję krzywdę w królestwie niebieskiém wynagrodzi...

I sprawy zaniechał, ale inni mieszkańcy wsi długo zapomnieć o niej nie mogli. Nie zapomniał o niej przedewszystkiém Jakób, który odtąd ilekroć Pietrusię spotykał, spluwał na stronę i z gniewem mruczał.

— Zgiń, przepadnij, *nieczystaja siła!*

Nie w świecie nie zdołało-by zachwiać w nim przekonania, że téj kobiecie moc jakaś tajemnicza i jój saméj tylko znana, postępek jego wyjawiała. Nienawidził jój i zarazem lękać się zaczął. Lękać się jój téż zaczęły niektóre z niewiast, a przecież były i takie, co przepadały za nią. Młodéj Łabudowéj na przykład, gdy sroga febra nią trzęsła, doradziła ona na pierwszą wiosnę wylęgnięte kurczę, albo kaczę spojrzeć i w téjże chwili, co przedéj, węzeł na fartuchu lub chuście zawiązać. Jak ręką odejmie upewniała. Istotnie ujęło jak ręką. Łabudowa, która już schnąć, szpetnieć i siły tracić zaczęła, febrę utraciła, że zaś miała męża młodego, świekrę gderliwą i roboty wymagającą, wdzięczność jój dla Pietrusi była wielką. Inną

znowu kobietę, w ciężkim połogu będącą, napoiła płynem, z dziesięciu gatunków ziół przyrządzonym, a zwanym *dziesięcioranką*, który także okazał się wielce skutecznym. Miała zawsze w chacie pełno suszonych ziół, z których każde służyło na chorobę inną. Od gardła dawała brunelkę, od kaszlu ślazu i dziewannę, od bólów krzyża krwawnik, od ściskania *w żywocie* czomber i miętę. Przeciw chorobom jednym doradzała konieczynę białą i wiśniową korę w dół z drzewa zeskrobywaną, przeciw chorobom innym konieczynę różową i takąż korę tylko w górę z drzewa zeskrobywaną. Dzieci, które dostawały konwulsyi, kładła na desce pośród koła, zarysowanego kredą, a te, które koklusz męczyły, poila sokiem rzepowym, nie z czego innego dawanym, tylko z saméjże rzepy, w formę kielicha wydrażonéj. Słowem, nieprzebraną była w środkach, zaradzających cierpieniom, najpospoliciéj dolegającym mieszkańcom wsi. I nie tylko znała je, ale ich udzielała zawsze z uprzejmością i chęcią wielką. Inna brała by zato jaja, len, płótno, kury, miarki zboża i Bóg wie co jeszcze. Ona nie. Nigdy niczego w zamian rad swoich nie żądała, a gdy która z niewiast i przyniosła jéj kiedy cokolwiek w fartuchu lub pod chustką, nie przyjmowała. Rękę wyciągającą się z datkiem odpychała, mówiąc:

— Nie chcę, nie trzeba, na co mnie to? ja z życzliwości...

I była ludziom życzliwą istotnie. Bywało, gdy przez wieś idzie, a jaką biedną kobiecinę, albo znędniałe dziecko zobaczy, staje i zapytuje się. — A co to? A gdzie boli? a może to ze zgryzoty jakiej? a jaka to zgryzota? Wypytawszy się, czasem jakie ziółko, albo inny sposób na ludzką biedę doradzi, a jeżeli żadnej rady nie wymyśli, to z dorosłym o biedzie jego pogada i głowę pokłusze, w chude ciało pocałuje i potem już w swoją drogę idzie. Stara Aksena, słysząc ciągle, że ludzie do niéj po radę przychodzą, z rok czy ze dwa milczała, ale potem zaniepokoiła się czegoś i na wnuczkę gderać zaczęła. Z wysokości pieca swego mówiła do niéj:

— A czego ty, jak ta suka, ciągle przed ludźmi język wywieszasz? To i to pij, tak i tak zrób! Będiesz ty zato podziękowanie miała, jeszcze cię wiedźmą zrobią...

Pietrusia na miotle łokieć wsparła i zamyśliła się. Po chwili z namysłem zaczęła.

— Ot widzicie, babulo, mnie zdaje się, że kiedy mnie Pan Bóg szczęście dał, to ja ten świat bardzo już polubiłam... i wprzód ja jego lubiłam, ale kiedy Michałek ze mną ożenił się, polubiłam jeszcze więcej... A teraz co? Michałek coraz lepszy... i dostatku wszelkiego przybywa i dzieci przybywa i ciągle mnie na świecie lepiéj i lepiéj a ja ten świat lubię więcej i więcej i wszystko co jest na świecie

lubię... i słoneczko to Boże ciepłe i gwiazdy te boże
jeśńienkie, i drzewa te szumiące i kwiaty pachnące
i ludzi wszelakich i każde żywe stworzenie...
Wszystko lubię... i kusego lubię... kusy! kusy! na
masz!

Brzydkiemu kundlowi w czarne i białe plamy
kromkę czerstwego chleba rzuciła, po twardej
sierści go pogłaskała i dalej, izbę zamiatając na
całą chatę, zaśpiewała:

„Tam na dole, na pryhore,
Posiejali proso,
Oj tam chodził Jasiuleńko,
Do dzieuczyny boso!

Aksena chciała jeszcze gderać.

— Oj maładaja, durnaja! — szeptała, lecz pro-
mień słońca, przez okno padający, łagodnie ogrze-
wał starą jej głowę, a izbę nappełniał zapach skwa-
rzając się w piecu słoniny i wesoły rozgłośny śpiew
wnuczki. Co tam było szczęśliwój tej roztrzepa-
nicy napomnienia jakie prawić, albo złe wróżby
gadać? Sama więc w uszczęśliwionym uśmiechu
rozciągnęła wąskie swe wargi od ucha do ucha
i, na bok nieco przechyliwszy głowę, pilnie nasłu-
chywała, czy nie zbudzi się czasem i w kołysce
swój nie zaskwierczy malutka Krysienka. A to
już ręce od przedzenia zabolaly i błogo było-by
na kolanach potrzymać prawnuczkę!...

IV.

Po Stasiuku i Krysience urodziła się Helenka,
a po Helence przyszedł na świat Jadamek, i czwo-
ro już dzieci, z których najstarsze miało lat sześć,
zdrowo i wesoło hodowało się w chacie kowala,
w porze owój, gdy mieszkańcy Suchej Doliny, roz-
niecili wśród dróg rozstajnych ogień z osinowego
drzewa. Na ogień ten, niby motyl nocny, ku zgu-
bie swój blaskiem płomienia zwabiony, pierwsza na-
deszła Pietrusia. Ona więc była tą duszą złośliwą
i nieczystą, która w chatach kikunastu mleko kro-
wom odebrała. Gdyby zamiast niej przyszła tam
była kobieta inna, opinia publiczna wioski była-by
także żywo zaniepokojoną i silnemi przeciw niej po-
dejrzeniami nurtowaną; jednak podejrzeniom tym,
towarzyszyć-by mogły wątpliwości niejake. Dla
ustanowienia zupełnej pewności faktu tego, trzeba
było szeregu faktów poprzedzających. Tu nikt za-
przeczyć nie mógł, że przeszłość potężnie wspierała

chwilę obecną. To dziecko nieznane przywędrowało tu kiedyś ze starą babą, którą niewiedzieć jaka siła, dobra czy zła, po świecie gnała. Baba widocznie kawał świata obeszła i *znała* tyle, ile wszystkie mieszkanki wsi, razem wzięte, nie *znały*. Zkąd jęj przyszły te wiadomości wszystkie? A potem oślepla. Czy to nie było czasem karą Bożą za jakie brzydkie postęпки, których dopuszczała się kiedyś za oczyma ludzkiemi, albo za jakie stosunki z nieczystym? A toż srogie lubienie, jakie uboga dziewczyna, przybłąda, rozbudziła w jednym z najbogatszych gospodarzy, w Stepanie Dziurdzi? A też wyjście za mąż, za chłopca, który sześć lat jęj nie widział, a nie zapomniał? A to odgadnięcie złodzieja? a wszystkież jęj leki i inne porady? Za jęj to przykładem, teraz wszystkie dziewczki paliły wieniki, gdy chciały gości do domu sprowadzić; w skutek jęj ostrzeżenia nikt nigdy nie podjął z ziemi tasienki, związanej w szereg węzłków, bo zarazby dostał brodawek. Wprawdzie, spory zapas podobnej mądrości życiowej istniał w Suchej Dolinie i w ogóle, w całej okolicy, niezależnie od Pietrusi i przed przybyciem jęj w te miejsca. Wprawdzie, od *dzidów pradzidów* żadna z tutejszych niewiast, w dniach rozdzielających Narodzenie Pańskie ze świętem Trzech Króli, za nic w świecie nie pokreśliła-by ni razu wrzecionem, bo by przez to na wiosnę wszelkie ptaćtwo domowe z zawrotu głów po-

zdychało; żadna w dzień Podwyszenia Krzyża Świętego nie chodziła do lasu po grzyby i jagody, bo by przez to wszelkie robactwo i gady las zamieszkujące na chatę swą nawiodła; żadna przy żęciu zboża nie upuszczała z pilnej uwagi tego, aby przypadkiem nie ściąć sierpem kłosów w pewien sposób związanych, lub załamanych, bo wiązuje je zwykle lub załamuje tak ręka nieżyczliwa, na nieszczęście tęj, która je zeźnie. I wiele, wiele podobnych wskazówek i wiadomości, od *dzidów pradzidów* posiadała ludność Suchej Doliny, ale Aksena i jęj wnuczka, posiadały ich bez porównania więcej. A to terazniejsze bogactwo kowala i jego żony? Chata ledwie nie jak domek w jakim takim szlacheckim dworze, wóz jakoby bryczka okuty, klaczka do zaprzęgu tęgą, krowy, owce, wszystkiego pełno. A w chacie samowar i łyżki błyszczące i jeden drugi biały talerz. Małaż to rzecz bogactwa takie? Zkąd oni je mają? Oddawna już Rozalka Stepanowa, a za nią i wiele innych kobiet na cały głos dziwi się i wykrzykuje, że kowalicha jak pań *jaka, harbatę* w domu pije, suknie z kupnych perkalów nosi, do kościoła czasem półjedwabną chustkę na głowę wiązuje, a on sam w spencerach chodzi, surdutach, butach pięknych, czapczkach zgrabnych, a siermięgi i chłopskiej baranięj czapki, to już na nim ani zobaczyć. Rozalka aż wścieka się, a rozlazła Paraska aż płacze, gdy zapytują się samych siebie

i sąsiadek: z kąd u kowala i kowalichy tyle bogactwa być może? Sąsiadki, szczególnie młodą Łabudowa, która Pietrusię bardzo lubi, wspominają coś o tém, że Michałek podobno trochę pieniędzy z sobą przywiózł, a zarobił je swoim rzemiosłem, że i teraz pracowity jest bardzo, i ludzie z robotami jak na odpust do niego przyjeżdżają; że kawał ziemi ma urodzajny, że Pietrusia dobrą jest gospodynią i t. d. Ale Rozalka i Paraska, a z niemi i inne kobiety, wzdurliwie głowami kiwają, a proszącemi oczyma spoglądają na Jakóba Szyszke, który najczęściej rozmowom tym obecny bywa i uroczyście prostując się, mówi: — *Czort, wiedźmie przez komin hrosze nosi.* Ot, z kąd u nich to bogactwo?

Teraz, stary Szyszko tryumfował.

— A co — mówił, — kto przyszedł na ogień? Kto krowom mleko odebrał?

Wiesz była duża i nie cała zajmowała się tą sprawą. Ale w kilkunastu chatach wrzało wieczoru tego jak w garnku. Mężczyźni dziwowali się i oburzali zarazem, ramionami wzruszali i pięści ściskali, ale jak zwykle bywa, gdy im wódka ust nie rozwiązuje, mówili mało. Babskie języki za to latały jak młyńskie skrzydła. Rozalka ze swemi żywymi ruchami wiewiórki, a syćzącymi ustami żmijki, uwijała się między ludźmi po różnych izbach i dziedzińcach wtedy jeszcze, gdy już na godzinę przed północą koguty zapiały. Stepan z dzieckiem na ręku, do

pustej chaty wszedł, ogień rozniecił, łuczywo zapalił i w szczelinę ściany wetknął, a potem, zmarszczoną i srogą twarz swą pochylił nad dzieckiem, które w objęciu jego spało. Czy na prawdę do żyjącego dziecka należała ta niekształtna głowa, lnianymi włosami rzadka okryta, z twarzą nabrzmiałą i zamkniętymi powiekami, których żółte rzęsy leżały na woskowej żółtości policzkach. Przy świetle łuczywa, Stepan przypatrywał się tej twarzy. Dla czego syn jego był mizeraństwem takim, kiedy on sam należał do najsilniejszych i najroślejszych chłopów we wsi i całej okolicy? Wiecznie zgryzotą jakąś ściągnięte usta Stepana, nad samą twarzą dziecka zaszemrały:

— Oj biedulku ty, biedulku! kiedy ty był w żywocie matki, *baćko* twój bił żonkę, bo *nawidzić* jej nie mógł... a kiedy ty ledwie od ziemi odrastał, paskudna matka łopatą cię po głowie uderzyła...

Srogość jego twarzy topniała w okrywającym ją wyrazie bólu. Pocałował w czoło uspięcone dziecko, ono zbudziło się i rączynami u szyi mu zawisło:

— Tatku, jeść!

Jednym ramieniem przytrzymując je u piersi, drugim sięgnął w przepaścistą głębinę pieca i wyciągnął z niej garnek z jakąś ledwie ciepłą resztą krupniku. Wziął drewnianą łyżkę i wlewał nią krupnik w usta dziecka. Część krupniku wylewała

się z łyżki i ust dziecka na brzeg pieca, dziecko ksztusilo się i śmiało zarazem; Stepan także śród niezliczonych zmarszczek swęj twarzy uśmiechać się zaczął. Wkrótce jednak, srogo znowu brwi zsunął i z ust wyrzucił ciche przekleństwo. Dla czego w dostatniej chacie jego panuje niedostatek taki, że ot dziecko swe karmić musi zimną resztką krupnika, a sam, głodnym będąc, jeść czego niema? Komora przecież pełna. Tak, ale chata pusta. Dziecko w nią to jedno tylko, a żonka po świecie lata, z językiem wywieszonym jak u suki. — Suka! — zamruczał i znowu zaklął. Potém jeszcze do dziecka rzekł. — Oj, żeby *tamta* twoją matką była, nie tak by ty wyglądał...

Po chwili, ojcowskiemi rękoma na sienniku ułożone, mizerne dziecko, znowu zasnęło, a Stepan, przyniesioną z komory kromkę chleba z kawałkiem słoniny zjadłszy, siedział przy ścianie na ławie i drzemał. Orał dziś przez dzień cały, tak więc znużonym był, że aż całą swą postać kołysał się od senności to w tył, to naprzód. Jednak do snu się nie układał. Na żonę czekał. Był-że to objaw czułości małżeńskiej? Doświadczyć tego miała Rozalka, gdy na godzinę przed północą, do chaty wracała. Wracała zaś w humorze wyborzym. Uszczęśliwiała ją to, że Pietrusię złapano dziś na gorącym uczynku szkodzenia ludziom, i że odtąd nie tylko cała wieś, ale i Stepan w obrzydzenie ją weźmie

najpewniej. Ta ostatnia nadzieja rozplywała się po jęj wnętrzu namiętą rozkoszą. Ona przecież nie z przymusu i nie z chciwości, ale z lubienia za Stepana poszła. Ostrzegali ją ludzie, że on wielki złośnik. „Już ja jemu dam rady,” mawiała. „Na złość jest złość i niewiedomo jeszcze, kto kogo przewycięży. Niechaj bije, byle lubił.” Aż tu przekonała się, że on jęj nie lubił, a pojął ją tylko dla tego, że kiedy matka umarła „gospodyni w chacie konieczną już się stała”. Tamtę—to lubił i jak jeszcze lubił. O, gdyby nie bała się kryminału i sądu, była-by już tę tamtę sto razy zabiła! Ale teraz zabita już ona i tak. Wiedźma ludzi krzywdząca i z nieczystym będąca w znowie. Teraz, to i Stepan plunie na nią tylko, gdy ją zobaczy. Nadzieja ta uczyniła ją szczęśliwą i bardzo dla męża czułą. Wsunęła się do chaty z cicha i, ujrawszy Stepana siedzącego jeszcze na ławie, jak wiewiórka przyskoczyła, usiadła przy nim i za szyję go ramieniem objęła. Oczy jęj wyglądały jak dwa czarne płomyki, wąskie usta ukazywały w uśmiechu rząd śnieżnych zębów. Na szyję męża ramię zarzuciwszy, chciała przycisnąć się do jego boku, gdy nagle, on pięść podniósł i uderzył ją w plecy tak silnie, że aż z ławy na ziemię kolanami upadła. Zarazem krzyzcć zaczął, zapytując ją, gdzie tak długo siedziała, czemu wieczery nie zgotowała, czemu do dziecka nie przyszła? Wtedy ona znowu złością wybuchnęła

i, zerwawszy się z klęczek, a ręce na biodrach oparłszy, zaczęła skakać mu w oczy, zjadliwie śmiejąc się i wołając: — Wiedźma twoja Pietrusia! Wiedźma twoja miła! wiedźma twoja lubka najmilsza! wiedźma! wiedźma!

Stepan zerwał się z ławy i, za włosy ją porwawszy, znowu na ziemię rzucił. W téjże chwili krzyk i łoskot obudził małego chłopczykę, który, ujrawszy rodziców bijących się na środku izby, szybko wysunął się z pod *nadna* i cicho, z przestraszonymi ruchami wlaź pod tapczan. Z doświadczenia wiedział o tém, że po każdej bitwie z mężem, matka porywała go za włosy lub koszulę i jak szczyt na środek izby z pościeli wyrzucała. Ojciec go wtedy najczęściej na ręce brał i po izbie w ramionach nosił, tuląc i całując, ale czasem, kiedy już był bardzo rozzłoszczony, także go nogą kopnął...

Pietrusia tymczasem, zaszedłszy do kuźni i chwilę z mężem pogadawszy, do domu wróciła. Przez ten dzień napracowała się w ogrodzie około pielenia buraków i kapusty, a na godzinę przed zachodem słońca wybiegła w pole, aby trochę ulubionych ziół swoich narwać. Wiedziała, że w porę jeszcze przyjdzie, aby wieszczkę zgotować.

Dokoła Akseny tymczasem, która, przez wnuczkę do ogrodu wyprowadzona, cały dzień na trawie przesiedziała, a teraz już zwykle swe miejsce na

piecu zajęła, skupiło się troje starszych dzieci. Najmłodsze spało w kołysce. W zmroku letnim, który napelniał izbę, gwiazdami do niej przez szyby okien zaglądając, grupa złożona z czterech istot ludzkich różnej wielkości, ciemniała i poruszała się w zarysach mętnych, pod samym prawie sufitem izby, nakształt grupy cieniów. W ciszy, którą przerywały tylko oddalone stukania kowalskiego młota, chrypiał i sepleniał głos ślepej baby i jak srebrne dzwonki rozlegały się cienkie głosiki dziecięce. Ona im coś, to z powagą wielką, to ze swym suchem, klekotliwym śmiechem opowiadała; one jej mnóstwem wykrzyków i zapytań mowę przerywały. Najczęściej i najsmieliej odzywał się sześciolatek Stasiuk, najmilszy pierworodny ojca, po trochu już pomocnik matki w pielęgnowaniu najmłodszego dziecka, po trochu też już i opiekun ślepej babki, którą czasem na piecu karmił, a po dziedzińcu i ogrodzie za rękę wodził. Teraz, był on czegoś niezmiernie rozciekawionym i, głosem rozpieszczanego dziecka, nieustającymi zapytaniami prababkę napastował.

— Gdzie on był, babulko? gdzie Jadamek był nim do naszej chaty przyszedł? Gdzie on piérw był?

Szło mu właściwie o to, zkąd przyszedł najmłodszy braciszek, który przed miesiącem zjawił się w chacie i co on robił przedtem, zanim tu

Babko o powrocie najmłodsze

przyszedeł? Stara śmiała się długo a potem rzekła:

— W lesie Adamek był, w lesie był twój braciec *milenki*, nim tu przyszedł.

— A co on tam robił? — zabrzmiało znowu pytanie.

— Zajączki w lesie pasł — odpowiedziała mu babka.

— A ja, gdzie był pierwój, nim tu przyszedł?
Stara bez namysłu już odpowiedziała.

— Ty na wysokiém, wysokiém drzewie siedział i wronki w powietrzu pasł...

— A ja? a ja? babulko, a ja?

— Ty, Kryśka, na dnie sinieńskiej wody siedziała i rybki pasła...

— Helenka? Babulko, a Helenka?

— A ja? babulko, a ja, gdzie była?

Widać prababka trzyletnią Helenkę pocałowała, bo po izbie rozległo się głośnie cmoknięcie. Potem ze śmiechem, w którego starym klekocie czuć było rozkosz, odrzekła:

— Helenka w gęstej trawie siedziała i robaczki pasła...

W tém drzwi stuknęły i po izbie rozszedł się mocny zapach ziół polnych.

— Czy to ty Piotrusia? — zapytał w zmroku głos chrapliwy i sepleniący.

— Mama! — zadzwonił dziecięcy chór.

— Wszyscy wy tutaj? — zapytała wchodząca.

— A wszyscy.

— Adamek śpi?

— A śpi.

— To i chwała Bogu. Ot zaraz ogień rozniecę i kartofli zgotuję, com ich dziś w ogrodzie nakopała.

— Oj, dobre kartofle... młode... — z wyraźną rozkoszą zasepleniła babka.

— Dobre... oj, dobre... powtórzył dziecinny chór.

Szeroki ogień zaplonał w piecu i oświetlił izbę, w której przez upłynione lat kilka zaszły niejakie zmiany. Ale były to zmiany na dobre. Więcej dostatku i więcej wymysłów. Pomiędzy oknami stała komódka, a na niej dwa mosiężne lichtarze i lampka ze szklanym kominkiem. U okien firanki z kwiecistego perkalu i pachnące geranium całe w czerwonym kwiecie; za szybami szafki, białe talerze, a na jednej ścianie kilka obrazków w błyszczących ramach. Wszystko to Michałek poprzynosił do domu. Gdy tylko gdziekolwiek za interesem jakim pojedzie, zawsze coś ładnego przywiezie do domu, a potem sam, z tych przybytków, cieszy się jak dziecko i żoncy cieszyć się każe. Gdyby i nie kazał zresztą, ona cieszyła-by się sama. Oczy jej kochają się w jaskrawych barwach perkalowych firanek i złotawych połyskach mosiężnych lichtarzy,

a jeżeli ztąd doświadcza jakiego zmartwienia to tego chyba, że ślepa babka tych wszystkich piękności i wygod, w jakie ona teraz opływa, widzieć nie może. Opowiada jej o nich zato długo i szeroko, i każdą rzecz nową do pomacania jej daje. Zresztą, wszystkie stare rzeczy pozostały w tej izbie, tak jak i były. Ławy, stoły, statki gospodarskie, trzy krzesła z drewnianymi poręczami, krośna tkackie Pietrusi, w kącie jednym wielki stos różnego żelazstwa i nad nim na ścianie kilka nowych, tylko co w kuźni zrobionych siekier, pił, kruków i szczypiec. Na krośnach tkackich Pietrusia *radno* rozesała i na nie wysypała z fartucha rozsypane ziola. Potem zakrzętnęła się około wieczery; dzieci, niby ptaki z pieca zleciawszy, biegały koło niej bosemy stopy i szezebiotały te dziwy, które im babula o zmroku opowiadała.

— Mamol! ja na dnie sinieńskiej wody siedziała i rybki pasła...

— A ja w gęstej trawie siedziała i robaczki pasła...

— A ja na wysokim, wysokim drzewie siedział i wronki w powietrzu pasł...

— A Jadamek w lesie siedział i zajączki pasł...

Sypiąc kartofle do garnka, Pietrusia żartobliwie przekomarzała się z dziećmi, na piecu stara aż zachodziła się od śmiechu, że te *durenki* tak zupełnie we wszystko, co mówiła, uwierzyły.

W pół godziny potem wrócił do domu kowal. Dzieci ku niemu się rzuciły.

— Tatku, ja w sinieńskiej wodzie...

— A ja, tatku, na wysokim drzewie...

— A ja w gęstej trawie...

— A Jadamek w lesie...

Michalek jedno po drugim na ręce je brał, jak piórka wysoko nad głowę swą podnosił i, pocałowawszy, na ziemi znowu stawiał. Szeroko przytém i z przyjemnością widoczną rozpytywał się dzieci, co tam w tej wodzie, w tej trawie i na tém drzewie robiły i kiedy to było. Teraz, stał się on mężczyzną zupełnie już dojrzałym, z ramiony od kowalskiej pracy szeroko rozrosłymi, z twarzą od opalenia prawie bronzową i wielkim, czarnym wąsem, nad łagodnymi usty. Znać w nim było siłę pracownika i powagę człowieka, który tylko od własnej swój pracy zależał. Z czarnych oczu jego, gdy dzieci całował i po pełnej dostatków izbie się rozejrzał, patrzyło szczęście. Siadając na ławie, zawołał.

— Zuzulu! zmachałem się przy robocie, mało ręce nie poodpadają! Jeść chcę.

Nigdy prawie inaczej żony nie nazwał jak *zuzulą*, imieniem tego miłego ptaka, który wesółym kukaniem oznajmia rozkwitłą wiosnę.

— W mig będzie wieczera! — wesóło odparła kobieta i postawiła na stole lampkę z długim ko-

minkiem. Od lat paru Michałek chciał już zawsze wieczerzać przy świetle lampy, łuczywo palili tylko w zimowe wieczory, ażeby w chacie jaśniej i weseliej było. W mgnieniu oka dwie małe dziewczynki znalazły się na kolanach ojca, Stasiuk na stole siedział i wszystko troje razem gadało, lecz nikt ich nie słuchał. Pietrusia na stole postawiła misę dymiących się kartofli bochen chleba i nóż mężowi podała, a potem z sieni przyniosła jeszcze hladysz z kwaśnem mlekiem.

Wkrótce po wieczerzy dzieci zasnęły: Stasiuk pod kraciastym kilimkiem na tapczanie, Kryśka i Helenka na piecu obok babki. Ślepa baba, przez prawnuka nakarmiona mlekiem i kartoflami, nacałowawszy się prawnuczek i naśmiawszy się z ich szczebiotu i swawoli, zabiera się także do rozciągnięcia na piecu starych swych kości, kiedy Pietrusia, myjąc miski i łyżki, odezwała się nagle.

— Aha! jaż wam nie opowiedziała jeszcze, co mnie się dziś przytrafiło...

Przez cały wieczór, zajęta mężem, dziećmi i wieczerzą zapomniała o wszystkiem, co nie było najbliższem i najmiłszem jej otoczeniem. Zresztą, do dzisiejszego swego wypadku małą przywiązywała wagę i opowiadała o nim babce i mężowi ze śmiechem, zwyczajnie jak młoda kobieta, która ma głowę nabitą swoim kochaniem i swemi pomysłościami tak, że nie z tego, co jej zdarza, na złe

sobie tłómaczyć nie umie. Kował grubym swym i serdecznym śmiechem śmiał się także i z chłopów, którzy ogień na przyciąganie wiedźm rozniecają, i ze zdarzenia, które na ten ogień żonę jego przywiodło. Ale stara Aksena widocznie zmarkotniała. Wprzód już kłoniła się była ku swemu posłaniu; teraz siedziała wyprostowana, nieruchoma a kościste jej szczęki poruszać się zaczęły tak, jak gdyby coś z trudem przeżuwała. Był to u niej znak niemylny zgryzoty lub troski. Kiedy Pietrusia opowiadać przestała, a wymyte miski i łyżki umieszczała na przybitej do ściany desce, stara głosem, objawiającym głębokie zamyślenie, ozwała się z pieca.

— To niedobrze, oj, to niedobrze; że ty, Pietrusia, pierwsza na ten ogień przyszła!...

— Głupstwo! — zaśmiał się kował i ręką machnął, ale Pietrusia żywo ku babce twarz zwróciła.

— Czemu? — zapytała.

Po chwilowym jeszcze namyśle, baba mówi zaczęła.

— Bo najpierw wiadomo, że na taki ogień *zauśiudy* (zawsze) wiedźma przychodzi. To już wiadomo, to już tak musi być, tak już Pan Bóg Najwyższy siłę nieczystą ludzkim oczom objawia. To czemuż ty, Pietrusia, *dzisiaka* (dziś) na ten ogień przyszła? Ręce młodej kobiety opadły nagle i splo-

tły się na spodniey. Oczywiście, które otworzyły się szeroko, na babkę patrzyła.

— Czy ja wiem czemu? — wymówiła z cicha i usta jęj zdumienie czy przerażenie rozwarło.

— Ot! — lekceważąco ozwał się kowal — szła to i przyszła. Szkoda gęby na to marnować!

Ale Aksena nie zważała na sceptyczne odezwanie się Michałka a Pietrusia nawet ich nie słyszała. Z otwartemi wciąż usty, rozszerzonymi oczyma patrzyła na babkę, która dalej mówiła.

— A druga rzecz jest, że teraz już złe ludzie spokojności tobie nie dadzą. Teraz to już pewno za wiedźmę cię ogłaszają i...

Szczękami gwałtownie poruszać zaczęła i po chwili dopiero dokończyła.

— I niech ciebie już Pan Bóg od wszelkiego nieszczęścia broni.

Tu, ręką jakby z żółtj kości wyrzeźbioną, uczyniła w powietrzu kilka znaków krzyża; ślepe jęj oczy może od wyprężonego wzniesienia powiek, rażącą białością odbijały śród żółtj twarzy. Pietrusia, tam gdzie stała, osunęła się i na ziemi usiadła, z rękoma wciąż splecionemi i otwartemi usty. Michałek mniej niż wprzód lekceważącym głosem burknął.

— Już to i ja od wszelakiego nieszczęścia bronić jęj będę... ale jakie tam z tego może być nieszczęście? Nie daj Boże nieszczęścia!

Widać było, że jakkolwiek do rzeczy podobnych daleko mniejszą niż inni wagę przywiązywał, jednak gadanie ślepj baby sprawiło i na nim wrażenie niejake. Ona zaś po chwilowem milezeniu, znowu mówić zaczęła.

— Dawno już ja, oj, dawno na tym świecie żyję, wiele świata schodziłam, wiele ludzi słyszałam i takich słyszałam, co żywemi oczyma patrzali jeszcze na stare czasy, takie stare czasy, że o nich już teraz i pamięć pomiędzy ludźmi przepadła. Ot, kiedy ja z małą Pietruską na rękę w cudzy świat poszła, to zaszła raz do jednj wioski, w którj żył jeden taki stareńki człowiek, że mu już na twarzy zielony mech wyrósł a ludzie mówili, że jemu może więcej jak sto lat było. Za młodu on żołdatem podobno był, i we dworach służył i dużo świata schodził, to jak zacznie bywało gadać a rozpowiadać, wszysej gębę otwierają i słuchają; wszysej... *htaby nie był... pany* nawet i bardzo uczone ludzie przychodzą bywało i proszą jego, aby im różne rzeczy gadał... I ja bywało proszę i słucham... Oj, stary Zachar, stary Zachar! już teraz i kosteczki jego rozsypały się w mogiłce i dusza przed Panem Bogiem stanęła, a to, co on gadał i rozpowiadał, *taki* po świecie chodzi, jak żywe... Ot, ja ślepa a jak żywe stoi przed oczyma memi, to co on o tēj wiedźmie rozpowiedział, a słyszał to on sam od swego ojca, który ją już na swoje żywe

oczy widział. A mnie teraz to wszystko jakby żywe przed ślepemi oczyma stało...

Znowu na chwilę mówić przestała. Wspomnienia, które przed ślepemi jej oczyma stały i poruszały się jakby żywe, wyrwały ją z nieruchomości uprzedniej. Kołysała cienką kościaną swą postać to w tył, to naprzód i nim znowu mówić zaczęła, parę razy westchnęła głośno. Białe jej oczy nie świeciły już wśród żółtej twarzy tak jak przed chwilą, bo przestał padać na nią blask ognia, który, powoli przygasając w piecu, rzucał na izbę smugi blade, kołyszące się w zmroku światłości. W jednej ze smug takich siedziała na ziemi Pietrusia z zamkniętymi już usty, ale splecionymi do koła kolan rękoma i niepokojem zmaconą twarzą. Pod drugą ścianą, potężna postać kowala rozpierała się na ławie i stole. Przez oszczędność, zapewne, zgasił on lampkę, głowę na dłoni oparł i z uwagą słuchał gadania stariej. Słuchał on zawsze bajek jej i opowieści z uwagą i przyjemnością pewną, płacąc jej wzajemnymi opowiadaniem o wędrówkach swych po świecie i różnych widzianych i słyszanych rzeczach. Tak im przechodziły dość często niedzielne popołudnie i spore kawały zimowych wieczorów. Teraz, choć spać mu się trochę chciało, słuchał jednak, a ślepa baba, w zmroku zalegającym wierzchołek pieca, chropowatym swym i sze-

pleniącym lecz silnym jeszcze głosem, tak prawie zaczęła:

— Była, żyła w siole ludnym i bogatym dziewczyna, do czerwonej maliny podobna, słuszną jak ta topolka i taka piękna, że dziwowali się jej wszyscy ludzie. Parobki młode to wprost już szaleli za nią a i panicze do niej przychodzili i mówią bywało: „Choć spójrz ty na mnie, Marcysia! choć razik *ruczku* mnie *swoju* podaj!“ Ale Marcysia nikogo nie chciała, ani chłopca, ani pana. Pójdzie bywało do studni, jak królewna jaka, w spódnicy, *stużkami* (wstażkami) naszywaną, w koralach i bursztynach na szyi, kwiatów sobie pełno we włosy nakładnie i śmieje się tylko ze wszystkich, białe zęby pokazując. I już zaczęli ludzie gniewać się na nią i różnie ją przezywać i bardzo jej przypatrywać się, co ona takiego robi, że wszyscy do niej lgną jak te muchy do miodu, a ona sama to nikogo nie chce. Aż tu patrzę, patrzę i widzę, że Marcysia nie zawsze śmieje się i z parobkami albo paniczami baraszkuje, ale czasem też bardzo pochmurna chodzi, na ludzi zyzem patrzy, do lasu idzie i siedzi w lesie dzień, dwa, trzy dni a jak wróci, potajemnie zioła jakieś warzy, szepcząc nad niemi, i dziwne znaki robiąc, a potem już ludziom różnym, te zioła do picia daje, od bólów i od kolek i od nudności i od zgryzoty i od wszelakiego ucisku, jaki tylko jest. Byli tacy ludzie, co od

nięj napoje te kupowali i potem dziękowali jęj i chwalili ją przed wszystkimi, mówiąc, że ona bardzo ciekawa, i dlatego wiele rzeczy poznała, a za ciekawością swoją to już i lubienia żadnego znać nie chce. Milsze jęj było ziółko w lesie, niż chłop na dobrej roli, albo nawet i pańicz we dworze. I była-by sobie Marcysia spokojnie żyła i swoje robiła, bo nie miała nikogo, coby ją do czegokolwiek przymuszał, a w siole wszyscy już i przyzwyczaili się do tego, że inną sobie była jak wszystkie dziewczki! Bywało, mówią o nięj: „z innym sercem i innymi myślami urodziła się.“ I dawali jęj święty spokój. Ale ot, na nieszczęście Marcysi, polubił ją jeden dworski człowiek, *guberner*, czy *pisar*, czy co takiego. A ona z niego żartowała sobie tak jak i ze wszystkich. Stanie bywało przed kościołem, tam gdzie i on stoi, jak królewna jaka, w spodnicy *stużkami* naszywanęj w cienkiej koszuli, w koralach i bursztynach naszyi i śmieje się z *gubnera*, białe zęby mu pokazując. On długo cierpiał i *wszystko* ją prosił, żeby go polubiła, aż kiedy zobaczył, że nie z tego nie będzie, w straszną złość wpadł, do miasta pojechał, przed *księdzami* i wielkimi urzędnikami skarżył się, że ot, tak a tak, Marcysia jest wiedźmą. Wtenczas w siole zrobiło się jak w piekle. Pozjeżdżali się *księżdy* i urzędniki wielkie i zaczęli nad Marcysią robić śledztwo. Zebrali z siola lu-

dzi i pytali się: a co ona robi? a czego ona do lasu chodzi? a co ona szeptee, kiedy zioła warzy? a jakie to zioła? a czy do nięj czart w gościnę chodzi? A z kąd u nięj tyle *stużek* i koralów i bursztynów i wszelakich ubiorów jest? Wypytawszy się o wszystko, Marcysi ręce i nogi związali, na wozie ją położyli i do miasta powieźli. A w mieście na rynku pokazali ją wszystkim ludziom i powiedzieli, że to jest wiedźma. Tak i tak, mówili, tak i tak. Nieczystemu duszę swoją chrześcijańską zaprzedała, mówili, z nieczystym w lesie rozmawiała, mówili; nieczysty jęj przez komin *stużki*, bursztyny i wszelakie bogactwa nosił, mówili. A potem na środku rynku nałożyli dużo drzewa, a potem kat w czerwonej sukni Marcysię za włosy schwycił i w ogień wrzucił. Ogień buchnął taki wielki, że prawie nieba dostawał a Marcysia paliła się w nim jak ta trzaska, tak okropnie jęcząc, że jęczenie jęj na cały świat rozchodziło się i prawie nieba dostawało, a od jęj ciała, co paliło się w wielkim ogniu, smród rozchodził się po całym mieście, a *księżdy* na chwałę Panu Bogu święte pieśni głośno wypiewywali i sam król, na tronie siedzący cieszył się i wszystkim ludziom cieszyć się przekazywał, że tak ot, ukaraną jest wiedźma, co duszę swą chrześcijańską nieczystemu zaprzedała...

Umilkła Aksena i głębokie milczenie w izbie zapanowało. Kowalowi przy słuchaniu opowieści

o wiedźmie, wszelka ochota do spania przeszła. Czy wierzył on, albo nie wierzył w istnienie dyabłów i wiedźm? Sam dobrze nie wiedział. Po prostu, wesoly temperament i przewaga praktycznych instynktów, skłaniała go do lekceważenia podobnemi zagadnieniami i nawet do wesolych nad niemi żartów. Jednak, opowiadanie takie jak to, które w tej chwili usłyszał, czyniły na nim wrażenie, chwiały silnie jego niewiarę, budziły w nim żywą ciekawość: tak było z Michalkiem. Co do Pietrusi, ta, z wytrzeszczonemi oczyma i zbłądłą od przerażenia twarzą, słuchała opowiadania babki, gdy była w niem mowa o ogniu, który aż prawie nieba dostawał, wydała z piersi stłumiony okrzyk zgrozy, a gdy usłyszała o smrodzie, który z piekącego się ciała Marcysi rozchodził się po całym mieście, dreszcze wstrząsnęły silnie jej ciałem od stóp do głowy. W parę minut dopiero po umilknięciu babki, ozwała się głosem tak ciekim i jęklwym, jakim nie mówiła nigdy.

— Babulo! czy ona naprawdę wiedźmą była? czy tylko tak... złe ludzie na nią wymyślili?...

— To już niewiadomo, — z namysłem i powoli odparła Aksena; — tego już i stareńki Zachar nie wiedział. Może była, może nie była. Jeżeli była, to u niej na plecach czerwony znak od czortowskiego kopyta musiał być. Tego znaku ja nigdy nie widziała i Zachar nie widział, ale mówił, że

dzid ojcu jego rozpowiadał, że widział i że tak musi być!..

Po chwilowem milczeniu zakołysała się znowu na mrocznym wierchołku pieca kościeliana postać ślepej baby i chropowaty głos zamruczał.

— Oj, stary Zachar, stary Zachar! kosteczki twoje rozsypały się już w mogiłce i dusza twoja przed Panem Bogiem stoi a to, co ty gadał i rozpowiadał, *taki* po świecie chodzi jak żywe...

Kowal wstał z ławy.

— At! — zawołał — głupstwo! Ja też dużo świata schodził i niemało widział i słyszał a nigdy nie widział i nie słyszał, żeby gdzie wiedźmę palili. Teraz już tego robić nie wolno. Teraz już tego nie ma. Chodź spać, Zuzulu!

Wstała powoli, ciężko jakoś a w wymownych jej oczach, malował się niepokój. Policzki jej zbłądły nieco i wydawały się mniej okrągłemi; nateżenie myśli twarz jej wydłużyło. Po kilku minutach zupełna cisza napełniła izbę. Przerwało ją wkrótce głośnie chrapanie kowala, a prawie jednocześnie ozwał się szelest kroków i ktoś wyraźnie wdrapał się na piec. W ciemności, na wierchołku pieca, zaszemrał szept.

— Babulo! czy ty śpisz, babulo?

Spała, ale stary sen jej był bardzo lekkim i do przerwania łatwym. Przywykła zresztą do tego, że wśród nocy, budziły ją sypiające przy niej pra-

wnuczki. Tym razem jednak, obudziła ją nie mała prawnuczka, ale kobieta, która, położywszy się przy niej gorącym ramieniem suche jej ciało objęła.

— To ty, Pietrusia?

— Ja, cichoż tylko, babulo, żeby Michałka i dzieci nie zbudzić...

— A czego ty tu przyszła? Czy cię kolki tak jak przeszłego roku sparły? Czy Adamek spać ci nie daje?

Przez długą minutę odpowiedzi nie było; potem jeszcze cichsze niż szept uprzedni zaszemrało pytanie.

— Babulo, czy kiedy ja urodziłam się, ojciec i matka nosili mnie do kościoła do chrztu świętego?

Nu, a jakże? — odpowiedział sepleniący szept starój — jakże-by ty bez chrztu świętego żyła? Wiadomo, że nosili.

— Babulo, a kiedy ja mała byłam, żegnała ty mnie na noc krzyżem świętym?

— Nu, a jakże? żegnała, każdego wieczora żegnała...

— Dlatego, żeby nieczysty dostępu do mnie nie miał?

— Dlatego, żeby nieczysty dostępu do ciebie nie miał i żeby Pan Bog najświętszy opiekował się tobą, biedną sierotą...

— Babulo! mnie zdaje się, że ja przed Panem Bogiem niczem ważnym nie zgrzeszyła...

Po chwilowém milezeniu stary szept odpowiedział:

— Mnie zdaje się, że ty przed Panem Bogiem taka czysta jak ta biała leleja, co w kościele przed ołtarzem stoi...

Po tej odpowiedzi dało się słyszeć przeciągłe westchnienie ulgi. Potém młode usta zaczęły znowu cichutką rozmowę.

— Babulo! to i czemuż ja dziś na ten ogień przyszła?

Odpowiedzi długo nie było. Zapytanie mieściło w sobie zagadkę, niezmiernie do rozwiązania trudną. Po długiej chwili dopiero Aksena szepnęła.

— Bo może to i nie więdźma to mleko krowom odebrała?

— A któż kiedy nie więdźma?

— Może ropucha...

— Aha!

Ostatni wykrzyk brzmiał tryumfem.

— Pewno ropucha. Ropuchy kiedy rozniewają się na ludzi, tak samo mleko krowom odbierają.

— A-le!

— Un, to pewno ropucha.

— A ropucha, bo żeby nie ropucha, toby więdźma na ogień przyszła... nie ty!...

— A-le. Śpij-że z Bogiem, babulo.

— Śpij spokojnie, zuzulo ty moja, śpij...

Nazajutrz była niedziela, a wiadomo, że w niedzielę chłopu i chłopce wszystko na świecie jaśniejsze i piękniej wygląda, bo choć i dnia tego jaką taką robotę dokonać muszą, lecz po jej dokonaniu nie schylają już twarzy nad zagonem lub tokiem stodoły, nad balią, albo niemi rozpiętymi na krośnach. Przez połowę dnia najmniej patrzeć sobie mogą na słońce, niebiosy i wszystko, co z ziemi wysoko wyrasta, chodzić, siedzieć, śmiać się, gadać i śpiewać — co kto chce. Tę niedzielę pogoda była piękna. Pietrusia wody ze studni przyniosła i ogień w piecu roznieciła w tej jeszcze chwili poranku, gdy nad brązowym gajem jutrzeńka rozwinęła różową szarfę, a pierwsze promienie słońca, z dołu w górę strzelając, złote podszewki dawały liściom ogrodu. Potem nad staw pobięła i, przyniosłszy z tamtąd pęk pachnącego ajeru, rozrzuciła go po podłodze izby, wprzód już czysto wymiecionej i białym paskiem posypanej. Kiedy kował obudził się, stara babka na pościeli swój usiadła i dzieci gwarzyć zaczęły, w chacie od ajeru pachniało jak na łące, przez dwa otwarte okna lały się strugi słonecznych światła, a Pietrusia w białej koszuli, spiętą u szyi błyszczącym guzikiem, w kwiecistej perkalowej spodnicy i czerwonej chustce na włosach, przed ogniem stojąc, kartofle oskrobywała z łupin, które starannie do cebrzyka zrzucała, aby nie szpeciły niedzielnej podłogi. Kował oczy ze snu otwo-

rzywszy, spojrzeniem powiódł do koła na żonę, popatrzał i, wyciągając nad *radnem* potężne swe ramiona, a szeroko jeszcze poziewając, zawołał: — Oj, Zuzula ty moja, Zuzula! Ona za całą odpowiedź zaśmiała się głośno i garść łupin kartoflanych tak zręcznie nań rzuciła, że zasypały mu one twarz i piersi. Do samego prawie południa krzątała się po chacie. Pożywieniem obdzieliła całą rodzinę, babkę i starsze dzieci myła, czesała i w czystą odzież ubierała, malutkiego Adamka piersią swą karmiła i w ramionach kołysała, męża do miasteczka na dzień cały wyprawiając, zaopatrywała go w zapas żywności i o tém, co miał tam nabywać i sprzedawać, rozważnie i po przyjacielsku z nim rozmawiała. Po południu dopiero, Stasiuk w czystej i kolorowym paskiem przewiązanej koszuli, prababkę do ogrodu poprowadził. Malutką swą ręką trzymając jej żółtą, kościstą rękę, spełniał on czynność przewodnika z powagą i uwagą wielką, z wdętymi wargami, w milezeniu. Stara szła za nim, kijem wciąż ziemi przed sobą dotykając, w samodziślowej, siniej kapocie, w płtykłym obuwiu i świątecznym czepcu, którego błyszczący galonik świecił na słońcu dokoła białych jej włosów. Pod dziką jabłonią, na trawie usiadła, w zwykłej postawie swą wyprostowaną i tak sztywną, że czytna ją ona podobną do figury, wyrzeźbionej z drzewa czy kości. Nie widziała nic, ale czuła ciepło

Wzrost i charakter

wietrzyki, muskające jej twarz i głowę, słyszała szezebiot ptactwa i głosy prawnuków, czuła pod ręką świeżą miękkość trawy. Szeroki więc uśmiech rozciągnął jej wąskie i bezbarwne wargi, a białe oczy zdawały się z nateżeniem i rozkoszą wpatrywać w ten piękny świat. Pietrusia wyniosła przed chatę radno, na które wczoraj uzbierane zioła zsypała i, usiadłszy na niskim kamieniu, tuż przy progu chaty, poczęła dobierać je i gatunkować. W kupki osobne układała czomber, brunelkę, dziewannę, krwawnik, macierzankę i inne jakieś różne trawki i listki. Tą robotą zajęta, od czasu do czasu przyśpiewywała sobie półgłosem, czasem na zioła patrzeć przestawała i wzrok puszczała po pustym polu, na którym już zboża nie było, a dziś i ludzi nie było. Ciche i drzemiące leżało dziś ono pod złotą płachtą słońca, jakoby na wzór ludzi w niedzielę odpoczywając. Od wsi za to przylatywały gwary, złożone z głosów zwierzęcych i ludzkich; przed karczmą, którą zdala od innych domówstrz rozróżnić było można, rój ludzi poruszał się i huczał. Pietrusia, w stronę wsi patrząc, zmarkotniała trochę. Wążka, kręta ścieżka, która pomiędzy stodołami a opłotkami ogrodów, od wsi do chaty kowala wiodła, pustą dziś była. Tylko usychające w ogrodach konopie wychylały z za opłotków swe rozczochrane głowy, albo wyjrzał przez nie żółty kwiatek piżma, albo

kura głośno zagdakała i kogut załopotał skrzydłami i zapiał. Ale ludzkiej duszy nie było dziś na ścieżce ani jednej. Przecież, każdej prawie niedzieli, kobiety z Suchej Doliny, licznie Pietrusię odwiedzały; jedne po radę przychodziły, inne tak sobie, na pogadankę i z lubienia. Przychodziła tu zwykle w niedzielę młoda Łabudowa i chłopców swych z sobą do Stasiuka przywodziła; przychodziła córka Maksyma Bodruka, którą Pietrusia kiedyś *dziewięcioranką* swą w ciężkiej słabości ratowała i inne, i inne. Dziś żadna nie przyszła i żonie kowala markotno zrobiło się koło serca.

Niedługo już dzień sierpniowy miał się już ku końcowi, słońce blizkiem było zachodu. Teraz, ścieżką wijącą się pod opłotkami powinny przechodzić dziewczęta. Dziewczęta w dniu świąteczne przychodziły do Pietrusi na śpiewanie. Nikt w całej wiosce nie śpiewał takim silnym i czystym głosem jak ona; nikt tylu pieśni nie umiał. Bywała zwykle przewodniczką chórów, tych chórów, które każdej prawie letniej niedzieli, o zmroku, przed chatą kowala na kamieniach i trawie zasiadały, i aż do późnego wieczora napępiały powietrze rozgłosnym śpiewaniem. Dziś, żadna nie przyszła. Słońce już zachodziło, kiedy Pietrusia zobaczyła na ścieżce jedną postać kobiecą, ku chacie jej zmierzającą. Zdala poznała Frankę, wnuczkę Jakóba Szyski. Odświętnie niby, ale ubogo ubrana, krę-

pa trochę dziewczka, z nieładną lecz hożą twarzą i błyszczącymi, błękitnymi oczyma, jęklwym jakimś głosem Pietrusię pozdrowiła i zaproszenia nie czekając, tuż przy niej na przyzbie usiadła. Dwie kobiety znały się z sobą od lat najmłodszych i często żęły na jednym zagonie, grabiły na jednej łące, razem śpiewały i w karczynie lub na odbywającym się pod gołym niebem *ihryszczu* tańczyły i dokazywały. Wczoraj, gdy kowalowa pierwsza na ogień przyszła, Franka zadumała się o czymś tak głęboko, że nawet na chwilę o bliźkiej obecności Klemensa zapomniała. Z twarzy jej można było wtedy wyczytać, że coś sobie obmyśliwała, jakieś zamiary i nadzieje w głowie swojej snuła. Teraz, z temi zamiarami i nadziejami do kowalowej przyszła i chwilę pomileczawszy, jęklwym głosem zaczęła.

— Oj, biedna ty Pietrusia, biedna! *Wielmi już* ludzie na ciebie nastają. Wykrzykują taj, wymyślają...

Kowalowa żywo zwróciła się ku dziewczynie i pytaniami ją zasypała. Co mówią? Kto mówi? Czy i Piotr Dziurdzia także rozgniewany i Piotrowa i Łabunowie i Bodruki? Franka wszystko, co we wsi o Pietrusi gadano, powtórzyła, a potem ramię swe zarzuciła jej na szyję. Przycimając się, oczy mrużąc, dłonią po twarzy kowalowej gładząc, zaczęła:

— Ja do ciebie, Pietrusia, z wielką prośbą...

kiedy ty taką znachorką jesteś, że możesz ludziom robić i dobrze i źle, to ty mnie poratuj w mojej wielkiej biedzie i zgryzocie...

Pietrusia cofnęła się żywo, i niechętnie odwróciła twarz rozognioną od gniewu i żalu.

— Jaka ja znachorka! — krzyknęła prawie — idź ty sobie ode mnie... nie dokuczaj...

Ale Franka przysunęła się ku niej jeszcze bliżej i znowu ją za szyję objęła.

— Nie gniewaj się, Pietrusia, nie gniewaj się ty na mnie... ja nie ze złego serca... oj! żeby ty wiedziała, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszej chyba na świecie niema... Wiadomo, sierota i uboga i tak jak w cudzej chacie zostająca. Dziadowska chata nie ojcowska... Poniewierają się nademną *dziadłki* (stryjowie) i poniewierają się ich żonki... Pracuję, haruję, jak ten wół w jarzmie, a dobrego słowa od nikogo nie posłyszę... Jak pobiją się z sobą, to i mnie biją, — a ciągle ten chleb, co u nich jem, wymawiają... Już mnie i życie zbrzydło, i za zgryzotą a płakaniem bożego świata nie dojrzę...

Obu czerwonemi i w istocie spracowanemi rękoma twarz sobie zakrywając, rozpłakała się rzewnie.

Wtedy już Pietrusia sama przysunęła się do niej i zasmuconym głosem rzekła:

— Wiem, ja wiem, że tobie w dziadowskiej

chacie życie nie słodkie... *Dziadźki* twoje złoŃniki i pijaki, a ich żonki paskudne... I nie bogato u was. Ale cóż ja tobie na te twoje biedy poradzić mogę?

— Oj, możesz, możesz, *ka*b tylko *chaci*ła! — ręce od twarzy odejmując, zaczęła Franka, i oba już ramiona na szyję powiernicy swęj zarzuciwszy, całować ją zaczęła tak zapalczywie, że pocałunkami i łzami swemi oba policzki jęj zwilżyła. Potęm całęm swęm krepęm ciąłem na ramieniu jęj zwieszona, przez parę minut cichutko jęj coś do ucha szeptała.

Pietrusia uczyniła znów żywe poruszenie oporu i niechęci.

— *Nie chacz*u! — zawołała — nikomu już nie doradzać nie będę, żeby tam nie wiem kto był, nikomu! Dalibóg, nie będę.

Franka szyi jęj z uścisku swego nie puszczała i znowu jęj do ucha na wpół z płaczem, na wpół ze śmiechem coś szeptać zaczęła. Pietrusia powtarzała ciągle: — Nie chcę! nie dam! nie poradzę! pobożyłam się, że nie poradzę! — Ale widocznie żal jęj robiło się Franki i ogarniać ją zaczęła ciekawość niewieścia. Odpowiedzi przeczące dawała, jednak szeptu Franki słuchała ze współczuciem i ciekawością.

— A lubiż on ciebie choć trochę — zapytała:

Dziewczyna mokry od łez policzek na grubęj dłoni wsparła, i smutne oczy wlepiając w powiernicę swą, odpowiedziała:

— Bóg że to jeden wiedziéć może, ale mnie zdaje się, że taki troszkę lubi. *Dwa roki* już od tego czasu minęło, jak piérwszy raz mnie zacząpił. Młodzienka ja byłam wtedy i na żadnego parobka jeszcze ani patrzałam. Aż tu raz pod studnią, jak da mnie ktościś w kark, to aż w krzyżach trzasło. Patrzę, Klemens. Ja mu wody z wiadra wprost w oczy, a on mnie wpół schwycił i po plecach głaszcze. „Ty Franka — mówi — nie do tęj studni przychodź po wodę, ale do tamtęj, co bliżęj naszęj chaty.” I potęm już tak ciągle. Niech tylko gdzie zobaczy, to zaraz zacząpi. Zimową porą *gnilki* za pazuchą przynosił i garściami mnie w fartuch sypał, a ot dwie niedziele temu, z nikim w karczmie nie tańczył tylko ze mną...

— To i dobrze — zauważyła Pietrusia — to znaczy, że lubi...

Dziewczyna, wstydliwie oczy ręką sobie zakrywając, cicho odpowiedziała:

— Kiedyż bo innym razem, to miesiąc i dwa i trzy ani na mnie spojrzy, i tak samo inne dziewczęta zaczepia... A tu mnie w chacie taka bieda, że niech Pan Bóg święty broni. Dziad łaje i *dziadźki* łaję i *dziadźkowe* żynki z chaty wygnać chcą. *Idzi* w służbu, mówią, kto ciebie durnę weźmie? mówią; Klemens nie weźmie, mówią; ot już dwa roki, mówią, jak zwodzi ciebie i oszukuje a ty wierzysz...

Ręce załamała i znowu płakać zaczęła.

— Ja wierzę i nie wierzę... — wśród płaczu mówiła, — czyby mnie Pan Bóg takie wielkie szczęście dał, żeby mnie wziął za żonkę syn gospodarzski... Oj, szczęście to, takie szczęście, że większego już chyba na świecie niema...

Pietrusię zwierzenia te widocznie wzruszały.

Każdej żywej istocie życzliwą ona była, a biadania i pragnienia tej, przypominały jej przeszłość własną. Franka w obie ręce całować ją zaczęła.

— Ratuj, Pietrusia, ratuj, dopomóż... — jęczała — ja tobie przez całe życie wdzięczną będę.

— Kiedyż bo — wahającym się już głosem zaczęła kowalowa — kiedyż bo, żeby i to... *baćko* jemu z tobą żenić się nie pozwoli... syn gospodarzski... bogaty i taki urodziwy... Słyszę, Pietruk tej zimy do Budrakówny dla niego swaty ma ślać...

— Oj, — zajęczała, Franka, — *kab* tylko on *chaciel*, *kab* tylko on sam *chaciel*, z *baćkiem* już łatwy *jenteres*. On u *baćki* swego prawe oko w głowie, *baćko* świata za nim nie widzi...

— To jest prawda — potwierdziła Pietrusia — on u rodziców tak jak jeden, bo z *durnego* Jasinka mała pociecha...

— *Kab* tylko *chaciel*! *Kab* na prawdę polubił... — wzdychała Franka i znowu ręce kowalowej całowała, a policzki jej pocałunkami i łzami swemi moczyła.

Pietrusia namyślała się jeszcze z wielkiego kło-

potu, aż chustkę na głowie przekrzywiła, bardzo nie w porę przyszła jej ta żarliwa prośba przyjaciółki. Lecz serce nie kamień. Istotnie gdyby Franka za Klemensa wyszła, było-by to dla niej takim samym szczęściem, jak dla niej było wyjście za Michałką. Istotnie, Piotr był dobrym człowiekiem, syna lubił i możeby bardzo nie sprzeciwiał się jego woli, gdyby on naprawdę miał tę wolę.

— Nu — rzekła — dobrze... babuła mnie kiedyściś rozpowiadała o takim ziółku... Nigdy ja go jeszcze nikomu nie dawałam... ale tobie, cóż już robić? Może i dam. Jeżeli znajdę, to dam, ale nie wiem, czy znajdę. Przyjdź dowiedzieć się jutro...

Franka aż na ziemię osunęła się z radości i kolana *znachorki* objawszy, całować je zaczęła. Potém z ziemi poskoczyła i wyprostowana, obie ręce na kłęczach oparła. Była to postawa tryumfująca. Radość i tryumf były z czerwonej puciołowatej jej twarzy i błękitnych, błyszczących oczu. Zdawać się mogło, że nawet mały, u czoła wklęsły nos jej, stał się więcej zadartym. Nogą tupnęła i splasnęła rękoma.

— Ot ja im wtedy dam, ot ja im wtedy pokażę, i dziadźkom i dziadźkowym żonkom. Na próg do swojej chaty nie puszczę... kupnę spódnice włożę i przed oczyma ich chodzić w niej będę... jak zobaczę, że która chleb je, jedną ręką kielbasę, a drugą figę jej pokażę...

Pietrusia aż zachodziła się ze śmiechu z tryumfującej miny i zawziętych pogroźek Franki. Widocznie było, że dziewczyna daleko mniej pożałowała lubienia Klemensa, niż świetnego losu, który-by dla niej z małżeństwa tego wypadł. Ale i te także uczucia kowalowa nieco rozumiała i dzieliła. Jój także, upośledzonej niegdyś sierocie, przyjemnie było teraz w kupnej spódnicy po wsi chodzić i dawnych chlebobawców swych w dostatniej swój chacie przyjmować.

— Dobrze, — powtórzyła; — co robić? Jak tu ludzi nie ratować... kiedy można? przyjdź jutro...

Franka pędem strzały puściła się ku wiosce, pilno jój było do karczmy, gdzie skrzypce grać już zaczęły i Klemens był pewno. Nazajutrz całkiem już o zmroku, znowu od kowalowej wracała. Szła tym razem powoli, zamyślona, może trochę rozmarzona i co moment przyciskała ręką coś, co u piersi za koszulą miała. W tém, u końca ścieżki, pomiędzy gęstymi krzakami ostów, zarastających brzeg pola, a rosnącą za płotem ogrodu jabłonią, ktoś ją za spódnicę przytrzymał. Złękła się tak, że aż krzyknęła i żegnać się zaczęła, gdy, nagle, w przechylonej nad płotem postaci poznała Rozalkę. Zwinnie przez niski płot przeskoczywszy, Stepanowa świszczącym szeptem pytać zaczęła:

— A zkąd ty, Franka? Od kowalichy? ty i wczoraj tam chodziła. Nie *bójs!* ja wszystko widzę.

A co u kowalichy słyhać? Ziola warzy, ropuchy hoduje, czy z czortem rozmawia? ha?

Franka zrazu odpowiadać nie chciała i spróbowała iść dalej, lecz Rozalka znowu za spódnicę ją przytrzymała.

— Czego uciekasz? — mówiła; — pilno tobie do *dziadźkawych* kułaków i dziadowego łajania? Na *masz*, siadaj tu i jédz. *Pogadamo*.

W rękę weisnęła jój ogórek, chłodny, duży, zielony ogórek i taki sam drugi z za koszuli wyjąwszy, na spadzistości pola pomiędzy ostami usiadła. Ofiarowany przysmak zjednał Frankę dla kobiety, względem której zresztą żadnych przyczyn do niechęci lub gniewu nie miała. Owszem, Rozalka okazywała jój nawet niejaką życzliwość i gdy jój w chacie bardzo dokuczano, ujmując się za nią, ze stryjenkami jój srodze się raz pobila. Było to zresztą rzeczą dość prostą. Nie miała nic do zazdroszczenia France, a litowała się trochę nad jój sieroctwem. Obie tedy usiadły pod krzaczystymi ostami i, gryząc ogórki, w zmroku szeptać zaczęły. Ogród, przy którym znajdowały się, był pusty, na ścieżce żywej duszy nie było. Rozalka dopytywała się u dziewczyny, czego do kowalichy chodziła, a Franka wnet rozrzewniła się znowu nad swoją dolą i jęzczyć zaczęła.

— Oj, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszej chyba na świecie niéma. Wiadomo, sierota

i uboga, tak prawie jak w cudzej chacie zostająca. I wszystko to samo i tak samo — wyjęczała, jak godzinę temu przed Pietrusią. Rozalka głową ze współczuciem kiwała a potem zapytała:

— A czego ty do kowalichy chodziła?

Ale Franka swoje dalej prawila.

— Bóg że to wiedzieć może, czy on lubi czy nie lubi, ale mnie zdaje się, że taki troszkę lubi. Już dwa roki temu pod studnią, jak dał mnie ktoś ciś w kark, to aż w krzyżach trzasło, patrząc... Klemens. Ja mu wodę z wiadra wprost w oczy...

I tak dalej, do końca. Wszystko to samo i tak samo jak przed Pietrusią. Rozalka nie sprzeciwiała się i nie przerywała, po chwili jednak zapytała znowu:

— A czego ty do kowalichy chodziła?

Ale Franka nie wygadała jeszcze wszystkiego, co jak codzienny pacierz, w głowie jej siedziało.

— A innym razem, — jęczała, — to miesiąc i dwa i trzy ani spojrzę i tak samo inne dziewczęta zaczepia...

— Czego ty do kowalichy chodziła?

— Ja i wierzę i nie wierzę, żeby mnie Bóg wszechmogący takie wielkie szczęście dał...

— Czego ty do kowalichy chodziła?

Pomimo całej dyplomacyi, jakiej w tym razie użyć zamierzyła, Rozalka była już bliską wybuchu. Franka nie wiedząc zkąd i dlaczego w rę-

kę ją pocałowała i, palcami z oczu łzy ocierając, zaczęła:

— Ratuj, ciotko, dopomóż, — ja tobie przez całe życie wdzięczną będę...

— Aha! — przeciągle wymówiła Stepanowa i oczy jej w zmroku błysnęły jak dwa płomyki.

— To ty do kowalichy o poradę prosić chodziła...

— Ale!

— Dała jaką?

— A dała... niech jej Pan Bóg wszystko dobre daje... — Rozalka całém swém giętkiém ciałem zwiesiła się na szyi dziewczyny i do ucha jej prawie szeptać zaczęła śpieszne, nagłące, namiętne pytanie. Franka broniła się przez chwilę wstydliwie i z bojaźnią twarz odwracając. Wstydziła się i lękała tajemnicy swojej. Ale Rozalka, obejmując ją jedną ręką, drugą pchała jej w usta kawałek swego niedojedzonego ogórka a z wielkiej serdeczności przyginała ją ku ziemi tak, że obie omal położyły się na trawie. Przytém osypywała ją pieśzcotliwemi nazwami gołąbki, zuzuli, robaczka, rybki. Do czułości takich Franka w twardój, sierocój swój doli przyzwyczajoną nie była. Pochlebiali jej, że w ten sposób obchodzi się z nią kobieta starsza i gospodyni chaty zamożnej. W rękę Rozalkę pocałowała, ciotką ją nazwała i znowu skarżyć się i lamentować zaczęła. Rozalka ją

pocieszała, pocieszanie wciąż zapytaniami przeplatając, a gdy po upływie godziny, powstały obie z ziemi, czarne oczy Stepanowej pomimo zmroku świeciły radością i tryumfem. Wydobywała już z dziewczyny wszystko, o czém wiedzieć chciała i, nagle pozostawiając ją wśród ostów stojącą, pędem strzały ku wiosce pobięła. Bez tchu prawie biegła przez uciszoną już ulicę wiejską, aż u wrót chaty Piotrowej stanęła. Miała zrazu widoczny zamiar wpadnięcia tam naksztalt burzy i wygadania wszystkiego, o czém się dowiedziała. Nagle przecieź, w głowie jęj powstał plan inny. Teraz, o niczém jeszcze nikomu nie powie, a wtedy dopiero, gdy w rodzinie Piotra stanie się bieda, gdy Klemens z Franką koniecznie żenić się zażąda, a ojciec temu sprzeciwiać się będzie, gdy pomiędzy ojcem i synem wybuchnie kłótnia i niezgoda, ona przyjdzie do nich i powie, kto temu wszystkiemu jest winien. Ciekawa to rzecz, co uczyni wtedy Piotr, który za nie nie zgodzi się na to, aby syn jego żenił się z dziewczyną byle jaką i w dodatku, ze złodziejskiej chaty pochodzącą. Sam nie kradł nigdy i wnuczki złodzieja za synową mieć nie zechce. Oj, będziez tu będziez w téj chacie kłótni i zgryzoty wszelakięj! oj, będziez za to będzie kowalisze od Piotra i wszystkich porządnych ludzi. Dadzą już wtedy, o! dadzą téj, która jęj życie popsula, przez którą ona męzowskiego lubienia nie zaznała, a na całém ciełe

tyłe ma sińców, ile jest gwiazd na niebie. Niech by bił, ale lubił. I nie lubi i bardzo bije, a wszystko przez tę...

W zmroku, przed chatą Piotrową stojąc, zapłakała, fartuchem oczy otarła i powoli dalej iść poczęła. Czegóż pośpieszać miała? Wszak wiedziała z góry, co ją w domu czeka. Z rana dziecko zachorowało, a wiadomo, że kiedy dziecko zachoruje, Stepan swą żalność w srogą złość przemienia i na niej ją spędza. Jakby ona temu winną była, że dziecko urodziło się takie, nijakie. Wprawdzie, kiedy dwa lata miało, grzmotnęła je raz łopata w głowę, tak, że od rozumu odeszło i na kilka niedziel zaniemówiło. Ale czyż ono od tego słabe jest i nierozgarnięte? Gdzie tam? Taka już jęj we wszystkiém dola *pohana*—i tyle!

V.

Do chaty Piotra istotnie zajrzało nieszczęście, nie zaraz jednak i nie takie, jakie przewidywała Rozalka. Obszerną izbę, w słoneczny dzień październikowy napelniali ludzie, którzy tam z radami i pocieszeniami przychodzili. Jakkolwiek Piotr od lat już paru przestał być starostą, jednak powaga obejścia się, rozważność mowy, nadewszystko zaś może zamożność jego, jednały mu szczególne poważanie i przychyłność, wśród mieszkańców Suchej Doliny. Gdy tylko więc wieść o nieszczęściu, które go dotknęło, rozeszła się po wsi, ten i ów z gospodarzy przychodził, aby rozpytać się o szczegóły zdarzenia i ze zmarłym sąsiadem pogadać, powzdychać, głową pokiwać. Zdarzało się to tém częściej, że roboty letnie i jesienne były już prawie skończone, a od cepa i toku stodoły łatwiej oderwać się na godzinę, niżeli od pługa i zagona. Piotr młodszemu synowi rozkazał żyto w stodole młócić, a sam

zamierzał zrana udać się za plugiem, na pole, dla wyorywania kartofli. Ale południe już było blizkiem, a on nie mógł jeszcze wydalić się z chaty. Myślał wciąż o kartoflach, kilka razy już drzwi otwierał, aby iść konie do pługa zaprzęgać, ale za każdym razem wracał i znowu na ławie, pod ścianą izby siadał. Nie wyrzekał głośno i nawet nie wzdychał, tylko widocznie ręce mu bezwładnie na kolana opadały, ochota do nieczego nie brała i czoło zmarszczyło się w głębokie fałdy. Na pozdrowienia wchodzących sąsiadów odpowiadał krótkim: *na wieki wieków!* i znowu zapadał w milczenie. Czasem, rękę do czoła podnosił i ustami poruszać zaczynał tak, jakby żegnał się i pacierze mówił. Sąsiedzi stawali przed nim, albo rozsiadali się na ławie i zadawszy kilka zapytań, podziwiwszy się trochę, głowami pokiwawszy, milczeli także, wzdychali i odchodzili, a na ich miejsce przychodzili inni. Tak było z mężczyznami. Ale z kobietami działo się wcale inaczej. Tłumnie otaczały one tapezan, na którym leżał chory, gadały, doradzały, nad Agatą, która, na ziemi u tapezana siedząc, cicho płakała, głośne lamenta zawodziły. Chorym był Klemens. Urodziwego parobka sroga jakaś gorączka niby kosa trawę podciągała. Pod kraciastym kilimkiem leżał on nieruchomy, naksztalt kłody drzewa, z twarzą ziejącą ogniem, wciąż jękliwym głosem matkę ku sobie przywołując. Piotrowa podnosiła się z ziemi,

stojący obok dzbanek z wodą brała i klęcząc, brzeg jego do ust synowskich podawała. On pił chciwie, jęć lzy ciekły po żółkłej od zgryzoty twarzy. Nie krzyczała jednak, ręk nie łamała i rzadko nawet odzywała się do sąsiadek. Zawsze była ona najcichszą prawie z całej wsi niewiastą, tak już przy swoim poważnym mężu i w swojej spokojnej chacie być przywykła. Inne za to kobiety, tapczan ściśle otaczając i choremu przypatrując się, gwarzyły jak na targu, lub zawodziły jak na pogrzebie Łabudowa, gospodyni, tak i jak Agata zamożna i poważna, prawila.

— Nie wytrzyma, już ja wiem, że nie wytrzyma, już ja może dziesięciu ludzi w takiej chorobie widziała i żaden nie wytrzymał.

Piotrowa rzewnięć jeszcze płakać zaczęła i z twarzą w dłoniach aż zakołysała się cała z żalości, ale żona Maksyma, Bohdanka, tęga i zamaszysta baba, złowróbną sąsiadkę od tapczana odepchnęła.

— Czemu nie wytrzyma? czy to zmiłowania bożkiego nad grzesznymi ludźmi niema? Pan Bóg najwyższy zmiłuje się i uzdrowi. Agata! hładysz mi dajcie, prędko! Słyszycie, Agata? jemu trzeba hładysz do *żywota* przystawić!

Paraska Szymanowa z malém dzieckiem na ręku i dwoma starszemi, które czepiały się jęć spódnicy, skora do płaczu, bo zawsze prawie głodna i skło-

potana, palcami rozmazywała sobie lzy po chudych policzkach i zawodziła.

— Oj, bogate takie i szczęśliwe ludzie, a *taki* spadła na nich zgryzota! Oj, Klemens, Klemens, żebyś ty był lepiej na tę łakę nie pojechał, na tym deszczu nie przemókł i nie wyspał się na tej zgniłej kopiecy! Oj, z tej zgniłej kopiecy choroba ta wylazła i w twoje ciało wlaźła... oj, biednaż twoja młoda główka, biedna!

Młody parobek istotnie przed kilku dniami jeździł na dość oddaloną łakę, dla zabrania z niej wprzód już skoszonej trawy, w drodze zmókł na ulewnym, jesiennym deszczu i noc przespał na stożku zgniłej od wilgoci trawy. Nazajutrz, do domu wróciwszy, kozuch włożył, bo go dreszcze trzęsły, lecz że, dnia następnego, chłopcy wiejsey, mieli w stawie niewodem ryby łowić, poszedł wraz z nimi, zdjął na brzegu odzienie, po ramiona prawie wlaźł w wodę i przez parę godzin pomagał niewód ciągnąć. Po tej już wyprawie był na tapczanie i od dwóch dni zeń nie wstawał. Przytomnym był zupełnie, tylko czasem na różne bóle wyrzekał, a teraz tak zajęczał, że stara Łabudowa ręce jak do pacierza spłotła i, z nogi na nogę przestępując, Agatę zapytała:

— A gromnica jest u was? Już jemu biedakowi gromnicę by w rączki włożyć.

Budrakowa ze swęć strony wołała o hładysz,

aby go do *żywota* choremu przystawić, inne kobiety szeptały o księdzu i przenajświętszych sakramentach; młodziuchna, wysmukła dziewczyna, w cienkiej koszuli z żółtym kwiatem za uchem, która przy oknie stała i na chorego Klemensa jak w tęczę patrzała, zajęczała głośno. — Oj! Bożeż, mój Boże! — Była to córka Maksyma Bodruka, najładniejsza i najbogatsza dziewczyna we wsi, która tu niby po matkę, ale w istocie z niespokojności o ładnego parobka, przyszła i wstydliwie w milczeniu, przy oknie stanęła. Piotrowa, zachodząc się od płaczu, dźwignęła się z ziemi i poszła do komory po chładysz i po gromnicę, a flegmatyczna Paraska, krok w krok za nią wraz z trojgiem dzieci swych chodząc, z uporem ogłupiałych i rozlazłych istot, wciąż swoje powtarzała: — Oj, żeby on był nigdy na tę łąkę nie jechał, na tym deszczu nie zmókł i nie przespał się na tej zgnilłej kopicy!

W tém, pomiędzy gwarzącemi kobietami i tuż za Piotrową, która, *hladysh* Budrakowej podawszy, z kawałkiem woskowej świecy w ręku, znowu na ziemi u nóg syna usiadła, zabrzmiał najdomośniej-szy ze wszystkich, ostry i syczący głos niewieści.

— Ale albo to od łąki i od deszczu i od kopicy ta choroba na niego przyszła? Od czego innego ona na niego przyszła i nie Bozka w tém wola jest, ale czyja inna!

Słowa te wymówiła Rozalka, która dnia tego

już kilka razy wpadała do Piotrowej chaty i, popatrzawszy chwilę na chorego, wybiegła z niej, aby po kwadransie lub godzinie powrócić znowu. Z ruchliwej i ognistej jej twarzy poznać-by można, że czuła się czémś mocno zdziwioną i zakłopotaną. Spodziewała się wcale czego innego niż to, co się stało. Za wrotami Piotrowej chaty stawiała i, z palcem do ust przyłożonym, dumiała głęboko. Potém biegła do domu, aby strawę gotować i lnu choć trochę nadrzęć, była to bowiem pora tarcia lnu, a Rozalka za lnem przepadała i pomimo wszystko, zupełnie o nim zapomnieć nie mogła. Przytém, Stepan, który żyto młócił, parę razy już przez drzwi stodoły na nią zawołał, aby z chaty nie odchodziła, bo zaraz pójdzie za nim na pole kartofle zbierać. Była więc dnia tego na wszystkie strony rozrywana. Tu len trzęć chciała, tam mąż ją wołał, owdzie znowu, w chacie Piotra, ważną sprawę załatwić musiała. Ze wszystkiego jednak, co na świecie istniało, ta sprawa najbardziej na sercu jej ciążyła, więc raz jeszcze wpadła do chaty Piotra i, usłyszawszy dowodzenia Paraski o przyczynach choroby Klemensa, zawołała:

— Ale nie od łąki, i nie od deszczu, i nie od zgnilłej kopicy ta choroba na niego przyszła! Nie Bozka w tém wola, ale czyja inna.

A gdy wszystkie prawie obecne kobiety, nie wyłączając Budrakowej, która już z *hladyshem*

w ręku nad chorym stała, oczy na nią zwróciły się, spłotła na fartuchu ciemne swe małe, ruchliwe ręce i wymówiła:

— To jest *zrobione*?

— Co? — zapytał chór niewieścich głosów.

— A taż choroba. Ją ktośś jemu zrobił.

Teraz, kilku mężczyzn, którzy w milezeniu na przeciw Piotra siedzieli i sam Piotr, przysłuchiwać się zaczęli babskiej rozmowie. Chory nawet zwrócił ku mówiącej przyćmione cierpieniem, ale przytomne i pytające oczy.

— Aaaa! — zadziwiło się parę kobiecych głosów, — a któż to taki zrobił?

Z nogi na nogę przestępując i oczyma błyskając, Rozalka zaczęła...

— Ja wiem kto. Ta co jemu ziele na lubienie dawała. *Musić* nie takie ono było, jak trzeba, to i zamiast lubienia chorobę zrobiło. Paru mężczyzn lekceważąco skinęło rękoma, a Klemens na Rozalkę popatrzał i, wstydliwie brodę pod kilimek wsuwając, pomimo bólów swych, parsknął krótkim śmiechem. Wiadomość o tém, że ktoś mu ziółko na lubienie dawał, zawstydziła go nieco, lecz więcej jeszcze ucieszyła. Zajączkał zaraz, bo go w krzyżach srodze zabolalo, niemniej przecież przyćmiony wzrok swój na ładną Budrakównę zwrócił, jakby chciał jęj powiedzieć:—A co? widzisz, jaki to ja!— Ale hoża dziewczyna aż zbladła od przestachu

i wylękle swe oczy w Rozalkę wlepila. Inne kobiety pootwierały zrazu usta, potem zwiastunkę dziwnej wieści pytaniami osypywać zaczęły. Ona ze zwykłą swoją żywością do Piotra się zwróciła.

— *Chadzi*, Pietruk, — zawołała, — tobie *skażu*. Nikomu, nie *skażu*, ale tobie *skażu*. Ty ojciec i *pomstowanie* za krzywdę syna do ciebie należy.

Piotr wstał za kobietą, która go za rękę chwyciła, do sieni wyszedł. Tam, w pół mroku z kwadrans ze sobą rozmawiali. W izbie tymczasem zapanowała cisza; Budrakowa *hladyz* do żołądka chorego, niby olbrzymią bańkę, przystawiała. Na dworze dał się słyszeć głos mężki, niecierpliwie wołający Rozalki. Ona mu z sieni krzykliwie odpowiadała. — Zaraz! zaraz! — Stepan, z pługiem zaprzężonym parą koni, zatrzymał się przed chatą stryjeckiego brata i żony, doczekać się nie mogąc, kłął ją straszliwie. Po kwadransie dopiero, Piotr wrócił do izby, widocznie wzruszony i rozgniewany. Czoło jego sfałdowało się więcej jeszcze niż przedtém, a zwykle łagodne oczy rzucały ostre błyski z pod ściągniętych i zjeżonych brwi. Zrazu jednak nie nie rzekł, tylko ze zgiętym grzbietem i pochyloną głową na ławie usiadłszy, splunął i zamruczał:

— *Zhin*, *przepadnij nieczystaja siła!*

Potém na syna badawczy wzrok zwrócił i zapytał:

— Klemens! pił ty niedawno miód z Franką, Jakóbową wnuczkę? ha? pił, czy nie? odpowiadajże!

Parobkowi trudno było na to pytanie odpowiedzieć. Wstydził się, brodę wraz już z ustami pod kilimek wsuwał,

— Nie dokuczajcie, *baćku, wielmi* w kościach boli! — zajączał.

— Ja nie dla dokuczania pytam się, tylko dla wiadomości, — odparł Piotr i proszącym prawie głosem dodał: — Po ojcowsku ja pytam się ciebie, czy pił ty w karczmie miód z Franką, Jakóbową wnuczką?

Ładna Budrakówna w płomieniach cała stanęła. Ona wiedziała o tém, że Klemens brzydką i biedną Frankę zaczepia i chciała nieraz gniewać się za to na niego srodze, ale nigdy nie mogła. W naturze już jój gniewu nie było. Odwróciła się więc tylko znowu do okna i głośno nos w palec utarła. Poczém pilnie słuchała, co będzie dalej. Nu, — badał dalej Piotr syna, — pił, czy nie pił?

— Pił, — jęklawie odpowiedział Klemens, — taj, cóż takiego, że pił?

Piotr rozpaczliwym ruchem głową rzucił.

— Nu, — rzekł, — to ty z tym miodem i chorobę tę wypił. Dziewka ci do niego paskudnego ziela nasypała. Na śmierć nie na życie, na *połybel* nie na lubienie, ziele te wiedźma ludziom daje...

Kilka kobiet splasnęło w dłonie. Piotrowej oczy zmęczone, spłakane, z wyrazem obłąkania prawie na mówiącego patrzyły.

— Wiedźma! — rozległ się chóralny krzyk.

— Kowalicha! — przez zaciśnięte zęby dokończył Piotr, przyczém z ławy wstał i do komory poszedł. Po chwili wrócił, niosąc Ewanielję owę, z której pomocą Pietrusia niegdyś złodzieja odgadywała. Przystąpił do chorego syna i, uczyniwszy w powietrzu znak krzyża, starą książkę nad samą głową, na poduszce mu położył. Czyniąc to szepnął:

— Może jeszcze Pan Bóg zlituje się nad nami nieszczęśliwymi. Może Bozka siłą przewycięży *czortouskuju siłu*. Może ty, synku, wyzdrowiejesz i sam na téj nieprzyjaciółce ludzkiego rodu krzywdę swą pomścisz! Może ja jeszcze na wiosnę orać z tobą razem pójdę; może ja jeszcze na twoje wesele patrzeć będę...

Kreślił w powietrzu nad synem nieskończoną ilość krzyżów, świętą księgę do głowy mu przyciskał, a kilka grubych łez stoczyło się z jego oczu, po ściągłych, bladawych policzkach. Klemens udzieloną mu wiadomością i słowami ojca przeraził się i wzruszył bardzo; głowa silniej mu zapłonęła, oczy nabrały rażącego blasku, zaczynał tracić przytomność, okropnie jęczeć i kłąć.

Kobiety ze swój strony uderzyły w krzyk i płacz,

wołały, że już po wszystkiém, że po księdza posyłać trzeba, że nawet księdza chory nie doczeka; Łabudowa gromnicę zapaliła i w ręce chorego wtknęła; Budrakówna przed oknem na klęczki upadła i głośnym płaczem krzyzczeć zaczęła: — Wieczne odpocznienie duszyczce jego daj, Pani! — Piotr, głowę tracąc, szedł już, aby konie zaprzęgać i po księdza jechać, a idąc, trząsł się cały z żalu i ze złości, od czasu do czasu z za caciśniętych zębów wyrzucając straszne przekleństwa.

— *Kab* jój nogi połamało! *kab* ona światu za płaczem nie widziała, wiedźma ta przekłeta, nieprzyjaciółka Boża, dusza chrześcijańska *czartouskiej* sile zaprzędana!

Piotrowa, zapaloną gromnicę w rękach syna ujrzawszy, po raz pierwszy przeraźliwie krzyknęła, zarazem, z błyskawiczną szybkością chustkę na rozczochraną głowę narzuciła i z chaty wybiegła. Biegła naprzód ulicą wiejską, potem skręciła na tę wąską ścieżkę, która pomiędzy ścianami stodół, a opłotkami ogrodów, ku domowstwu kowala wiodła.

Były to jasne dni babiego lata. Nad ziemią wisiały błękity nieba, blade, lecz tak czyste, że niepodobna by na nich dopatrzyć najlżejszej chmurki. Z pobludlój i jakby zmalalój tarczy słonecznej, płachta niezmaconego światła spadała na ciemne pola, których nagości nie przysłaniały szczupłe cie-

nie drzew, nawpół огоłoconych z liści. Gaje rozrzucone po wzgórzach stały w złocie i w przeróżnych odcieniach purpury, a powietrze, przeniknięte rzeźwym i suchym chłodem, było tak ciche i czyste, że najlżejsze drgnienie nie poruszało srebrnych pajęczyn, wieszających się po gałęziach drzew, krzewach polnych i badyłach ogrodów, że widnokrąg wyglądał jak okrągła tarcza, wypukłemi rzeźbami napełniona i kloszem z najprzezroczystsze go kryształu okryta. W cichym kryształe powietrza i łagodném świetle słońca, pomiędzy szmatą zoranój roli, a ogrodem pełnym uschłych badyli, domowstwo kowala przedstawiało obraz głębokiego spokoju, ożywionego migocącemi w słońcu szybami małych okien. Cisza zalegała pole i ogród, bielejącą za ogrodem ławicę piasku i srebrnie za piaskiem połyskującą szybę stawu; przerywały ją tylko dwa odgłosy pracy ludzkiej: miarowe, twarde, silne uderzenia kowalskiego młota i miarowe także lecz daleko szybsze i mniej głośnie stukanie trącej len *cierlicy*. To ostatnie zdawało się wtórzyć pierwszemu, a z ciężkich uderzeń młota i szybkiego tententu *cierlicy*, z dymu wijącego się nad kominem domu i płomienia, błyskającego za otwartemi drzwiami kuźni, z rozlegających się w ogrodzie głosów dziecinnych i głuszącego je czasem piania kogutów, w łagodną harmonią i ciche ukojenie otaczającą

natury, tryskał zdrój czystego, zdrowego, pracowitego życia.

Michał naprawiał w kuźni pługi, nadwerężone orką jesienną, Aksena pod złotawą jabłonią ogrodu, na uschlęj trawie siedząc, w ostatniem cieple słoneczném rozgrzewała swe stare kości, a przy niej mały Stasiuk, ku zachwyceniu dwóch mniejszych jeszcze dziewczynek, dmuchał w drewnianą gwizdawkę, wydającą z siebie piszczące i przeraźliwe tony. W izbie chaty, przyciemnionej niskim sufitem, firankami z kwiecistego perkalu i kilku doniczkami z geranium, mirtem i piżmem, oprócz śpiącego w kołysce dziecka, nikogo nie było. Na ziemi, ławach, stołkach, nawet na trzech paradnych krzesłach, piętrzyły się tam ciemne snopy wymoczonego i wysuszonego lnu, jeden zaś kąt sporój sieni napelniały wysoko białawe głowy kapusty. Nie darmo te ostatnie dni pogody i słońca noszą nazwę babiego lata. W nich to na pracownice wiejskie spada istotny grad robót różnych. Pietrusia dziś od świtu ścinała kapustę i znosiła ją do domu, a teraz pod ścianą chaty, ustawivszy narzędzie długie i wklęsłe, lnu weń nakładła i, uderzając go deską opatrzoną w nagłówek, miękkie włókna rośliny, ogałacała z ich suchej i twardiej powłoki. W podniesionej nieco spódnicy i grubiej koszuli, bosa i w okrągłym czepku z czerwonej bawełnicy, z pod którego ciemne i gęste włosy wymykały się na szy-

ję jęj i czoło, prędko, coraz prędziej uderzała deskę *cierlicy* a sucha *kostrzyca* wzbijała się w powietrze, osypywała jęj odzież i owijała ją całą złotawą w słońcu kurzawą. Robota była ciężką; pracownica kszusiła się suchym pyłem, oddychała szybko i głośno, grube krople potu wystąpiły na czoło jęj i policzki; jedna z jęj rąk zakrwawiła się w paru miejscach. Ani na chwilę jednak roboty tęg nie przerywała i była w niej tak pogrążoną, że nie usłyszała otwierania się wrot małego dziedzińca, ani śpiesznych stąpań zbliżającej się ku niej kobiety, i wtedy dopiero głowę podniosła, gdy o kilka kroków od niej głos kobiecey, od płaczu i gniewu ochrypli, wymówił:

— Niech *czort* pomaga! Bodaj-by ty ze lnu tego sobie i swoim dzieciom śmiertelne koszule utkała!

Podniosła głowę i oczy jęj spotkały się z błyszczącemi oczyma Agaty. Wyprostowała się, ręce jęj wzdłuż spódnicy opadły. Słowa Piotrowej przeraziły ją widocznie. Wczoraj już Franka przybiegała do niej z wieścią o chorobie Klemensa. Byłaby zaraz do dawnych gospodarzy swoich pobiegła, aby dowiedzieć się, co tam słyhać, pocieszyć, może dopomódz, ale wiedziała, że źle tam o niej gadają, i że odwiedzin jęj nie żądają wcale. Piotrowa sama przyszła i od przekleństwa zaczęła. Nie przywykła do łajañ i krzyków, zrozpaczona matka,

z twarzą z żółkłą i zmalą, stała i teraz w swych płtykach trzewikach i dużej chuście na głowie, nie miotając się, jakby czyniły inne, owszem, bez ruchu prawie i tylko srogim wzrokiem na nią patrząca. Na Pietrusię nieruchomość ta, ten wzrok w nią utkwiony i te wyrzucone przekleństwa, wywarły wrażenia takie, że aż jęknęła i niby przed widmem cofnęła się o kroków parę.

— Czego chcecie, ciotko? — wyjąkała.

Teraz Piotrowa głową kiwała i po razy kilka, jakby jęj oddechu do dłuższego mówienia brakło, powtórzyła: — Oj ty! oj ty! oj ty!

— Oj ty niegodziwa! — wybuchnęła nakoniec, — toż ty przez tyle lat chleb nasz jadła, toż my ciebie jak co dobrego lubili i *ho lubili*... Za co ty nam teraz syna otrula?... ha?

Piotrusia rękoma splasnęła.

— Ja wam syna otrula? ja!

Agata postąpiła naprzód i zbliżyła się do niej tak, że rozdzieliła je tylko wązka *cierlica*. Szyję wyciągnęła i w twarz młodej kobiety wpila jadowite, błyszczące spojrzenie. Z przeciąglém syczeniem słowa z jęj ust wychodziły.

— Co ty jemu zrobiła? *Skaży*, co zrobiła? jakie ziele téj dziewczce dała, żeby go ona niém napoiła? Nie dawała może? ha? *Skaży*, że nie dawała? Żel-żyj, co tobie szkodzi, ty już i tak zgubiona, *czortu*

zaprzedana, Boga obrazić nie boisz się! *Skaży*, że nie dawała?

Do zarumienionj od pracy twarzy Pietrusi buchnęły ogniste rumieńce, załamała ręce i krzyknęła: — Aha!

Zrozumiała teraz, czemu w Piotrowj chacie jęj przypisywano chorobę Klemensa i nagły strach zatrząsł jęj sercem, które gwałtownie bić zaczęło. A może to i od tego ziela, może naprawdę i od tego ziela on zachorował? Łzy nabiegły do wylekniionych jęj oczu, do Agaty zwróciła się profilem i stała nieruchoma, jak słup, oniemiała.

— Aha! — krzyknęła już teraz Piotrowa, — nie pobożysz się ty, że nie dała! bo i dała! już ja i z twarzy twojój widzę, że dała i że to prawdą jest, co Rozalka mówiła! No, kiedy tak, to odróbże teraz, co zrobiła? *czujesz*? Daj co takiego, żeby jemu truciznę z ciała wypędziło? Kiedy ty wiedźma, to ty wszystko znasz... Kiedy ty źle możesz robić, to i dobrze możesz... Odrób co zrobiłaś! *czujesz*? odrób...

Wyciągając obie ręce nad *cierlicą*, kobietę w niemy słup zamienioną za koszulę i ramiona targała, a we wzroku jęj, obok gniewu i nienawiści zjawiać się zaczął wyraz trwogi i prosby. Z nienawiścią, to z prośbą w głosie powtarzała.

— Znasz, możesz... jak zrobiła, tak odrób...

Pietrusia targnęła się, z rąk jęj koszulę swą wyrwała i, załamując ręce, jęknęła.

— Co ja zrobię!... odczepcie wy się ode mnie...

Wtedy, Piotrowa, choć osłabła ze zgryzoty i płaczu, jak łania skoczyła i, osunąwszy się przed nią na podłogę, kolana jęj objęła.

— Pietrusia! mileńka, zuzula! ratuj ty jego! daj jemu co takiego, żeby ta trucizna z ciała mu wyszła... tyś sama ją dawała... jak zrobiła, tak i odrób... ja tobie zato wszystko dam... co tylko zechcesz... lnu dam, i wełny, i jajek, i płótna i *lroszy*, kiedy zechcesz; oboje z Pietrukiem nie pożałujem... tylko odrób, co zrobiła... niechaj on przy życiu zostanie, nasz gołąbek mileńki, nasza podpora na stare lata... Ty wiesz... Jasiuk jest tak, jak do nieczego... A ten prawa ręka nasza... pracownik nasz najlepszy... Ratuj ty jego... *znasz* możesz... jak zrobiła, tak odrób...

Ścisnęła kolana jęj, brzег jęj spodnicy całować zaczęła. Pietrusię ten żal matczy ny i to rozpaczne błaganie widocznie na torturach rozciągały. Sama przecież matką była, a z tą kobietą tyle lat niegdyś życzliwie i zgodnie przeżyła. Podniosła ręce do głowy i zawiodła.

— Oj, Bożeż mój, Boże! co ja pocznę! nie robiła ja i odrabiać nie mogę...

Agata porwała się z klęczek i syczącym głosem zapytała.

— Nie zrobiła? może pobożysz się, że nie zrobiła?

Pietrusia znowu profilem zwróciła się ku niej i oniemiała. W głowie jęj zrobiło się ciemno jak w noc jesienną i wichrem tylko tłukły się po niej słowa.

— I zrobiła i nie zrobiła... Może to nie od tego, a może i od tego...

Męczarni tęg długo znieść nie mogła, od grożącój jęj znów kobiety i odskoczyła i na-pół z żałością i na-pół z gniewem krzyknęła.

— Odczepcie się, ciotko... czego wy ode mnie chcecie... idźcie o radę dla syna znachorki jakiej prosić, nie mnie!

Teraz Piotrowa wybuchnęła i po nieskończoną ilość razy wiedźmą ją nazwała. Nie przeklinała bardzo, bo już przyzwyczajenia tego i umiejętności tęg nie miała; wzywała tylko bożkiego gniewu na głowę jęj i jęj dzieci, a potem pomstą Piotra i wszystkich pocziwych ludzi groziła. Potrząsając pięścią, przez zaciśnięte zęby mówiła:

— Poczekaj! poczekaj! będzie tobie kiedyś od ludzi za wszystkie nasze krzywdy i *czort*, twój przyjaciel nie wyratuje ciebie, kiedy na twoją głowę pomstowanie ludzkie przyjdzie...

W tém przypomniała sobie, że gdy ona tu kłóci się z wiedźmą, syn jęj może tam już i nieżywy leży, obu rękoma schwy ciła się za głowę,

z dziedzińca wypadła i z powrotem ku wsi pobiegła, Pietrusia zaś, tam gdzie stała, osunęła się się na ziemię i, twarz rękoma zakrywając, rozpłakała się głośno i rzewnie. Plakała jednak niedługo. W izbie dało się słyszeć skwierczenie obudzonego dziecka; skoczyła i do chaty wbiegła. Musiała tam dziecko karmić i bawić je przez czas jakiś, bo słyhać było, jak pieszczotliwie doń przemawiała, kilka piosenek śpiewać zaczynała i przerywała je sobie krótkim śmiechem i głośnami pocałunkami. Dziecko widocznie bąkaniem swém i ruchami małych rączek rozśmieszało ją i usta jej ku sobie ciągnęło. Potém słyhać było miarowe stukanie biegunów kołyski, a potém w izbie zapanaowała cisza. Adamek usnął znowu, a Pietrusia z pękiem upranej bielizny na ramionach, na dziedzińcu wyszła. Dzień był piękny, trzeba było przed wieczorem bieliznę w stawie wyplókać.

Paręset kroków zaledwie dzieliło ten staw niewielki od ostatnich domów Suchej Doliny. Z jednej jego strony słała się owa ławica piasku, na której z porady stariej Akseny bawił się niegdyś całymi dniami chory syn Piotra Dziurdi, dalej już obejmował go w półkole wązki pas łąki, za którym ciemniały i na pobliższe wzgórze pięły się uprawne role. Z łąki tej oddawna już uczyniono pastwiska dla bydła. W lecie, brzeg stawu był z tej strony miejscem, pełném zielonych gąszczy,

szczebiotu ptactwa, skrzeczenia żab, kwiatów błękitnych i żółtych, czerwonych jagód kaliny, rozłożystych gałęzi wierzbowych, w których cieniu błyskała biała kora wysmukłych brzozy. Teraz, pod brzożami, które na błękitném tle nieba rysowały się, jak delikatnie ze złota rzeźbione kolumny, pod zróżżowanymi, o wiecznie drżących liściach, osinami, pod wierzbami, które maczały w wodzie swe osiwałe gałęzie, na trawie uschlęj, pod stopami trzeszczącój a usianej zwiędłymi liśćmi i siwym puchem ostów, kilkanaście kobiet pochylało się nad cichą i gładką wodą. Prały one albo płókały wypraną w domu bieliznę, a odgłosy ich rozmów i suche, rytmiczne uderzenia pralników rozchodziły się daleko po pustém polu. Na polu, jak okiem sięgnąć, widać było tylko dwoje pracujących ludzi: chłopa, który prowadził pług, i chłopkę, która w pewnej odległości za nim postępując, wyorywane kartofle do fartucha zbierała, a napelniwszy go, zsypywała do umieszczonych w rozorze worków. Zagony, na których pracowali ci ludzie, dotykały wązkiego pasu pastwiska. Chłopem pług prowadzącym był Stepan Dziurdi, kobietą zbierającą kartofle, Stepanova żona, Rozalka. Składali oni parę ponurą. On, zaledwie trochę nad pługiem pochylony, szedł w milczeniu silny i chmurny, od czasu do czasu tylko basowym głosem na konie swe przeciągle wołając: hoo! hoo! hoo! Ona z grzbietem tak zgiętym,

że śniada twarz jęj prawie ziemi dotykała, na klęczkach czasem pełzała po zagonie, rękoma w ciemnym piasku grzebiąc i ze szczupłym swém, giętym ciałem, mając chwilami pozór wijącego się po glebie robaka. Jednak, ta wspólna praca z mężem, choć ciężka, niemiłą snadź jęj nie była, bo, nie ustając w nięj ani na chwilę, czasem do idącego przed nim mężczyzny uprzejmym głosem zagadywała.

— Ot, chwala Bogu! *bulba* w tym roku jak ta rzepa wielka! — mówiła.

— A potem znowu:

— Ciekawość, jak tam Klemens ma się? czy umarł już, czy jeszcze przy życiu?

Albo jeszcze:

— Stepan! w przyszłą niedzielę do kościoła pojechać warto, taj Kaziuka wziąć z sobą i Panu Bogu go polecić, ażeby zdrowszy był...

Mężczyzna nie odpowiadał, ot tak, jakby nie słyszał tego, co mówiła. A jednak w jęj głosie najczęściej syczącym i zapalczywym brzmiały teraz tony serdeczne. Zaczepiała go, do rozmowy wyzywała, raz nawet zaśmiała się i, na zagonie uklekłszy, kartofel mu w same plecy cisnęła. On obejrzał się tylko, coś zamruczał i dalej plug popychając, ponuro na konie zawołał: — Nuuu! Nie rozgniewał się wprawdzie, ale i twarzy nie rozechmurzył, słowa dobrego nie rzekł. Kobieta znowu nad zagonem grzbiet pochyliła i jak zgnębiony robak, w milcze-

niu, smutnie po ciemnej glebie pełzać zaczęła. Nagle podniosła głowę. Stepan, który teraz twarzą ku stawowi był zwrócony, konie zatrzymał i, niby coś około pluga robiąc, patrzył w tę stronę, z której brzegiem stawu nadchodziła kobieta z ramionami, owieszonemi mokrą bielizną. Patrzył na nadchodzącą z wyteżeniem takim, że aż rozciągnęły się i wygładziły mięśnie jego twarzy i zarazem okryła się ona głupowato wyglądającym lecz w rzeczywistości błogim uśmiechem. Rozalki oczy także nad staw pobiegły. W nadchodzącej kobiecie poznała Pietrusię i syknęła tak, jakby pod dotknięciem rozpalonego żelaza.

— Czegóż stanął jak ten słup! — na męża krzyknęła i głos coraz podnosząc, nalegała aby szedł dalej. Ból całego jęj życia, srogi ból klóć ją znowu zaczął i budzić w nięj furę złości.

Pietrusia, zbliżając się do kobiet nad wodą pochylonych, uprzejmie je pozdrowiła. Jeden tylko głos i to z cicha jakoś odpowiedział jęj wzajemnym pozdrowieniem. Była to młoda Łabudowa, która, jako synowa jednego z najbogatszych gospodarzy we wsi, przez męża i całą rodzinę lubioną, ośmieliła się choć nieco trwożnie, przychylnie swą jęj okazać. Inne kobiety, albo milcząc opuszczały pralnię swe na pograżoną w wodzie bieliznę, albo też głowy z nad roboty podniósłszy, rzucały na nią wej-

zenia, w których ciekawość i lękliwość mieszały się z gniewem i obrzydzeniem.

Rozumiała już dobrze, co wszystko to znaczyło i stanęła na uboczu, pod rozłożystą wierzbą, u której stóp spuszczało się ku wodzie, sznurem do pnia wierzby przywiązane czółno. Było to czółno, którym chłopcy wiejszy po stawie pływali, wędami łowiąc płotki i karasie, na którym też często kobiety z tej strony stawu, dla ukrócenia sobie drogi, na tamtą jego stronę do wsi przepływały. Obok czółna stanęła, przyniesioną odzież w wodzie zanurzyła i tak jak inne wybijać ją pralnikiem i płókać zaczęła. Nie przeszkadzało to jej jednak słyszeć rozmowy, tocząc się pomiędzy jej sąsiadkami. Zrazu, zeicha one pomiędzy sobą szeptały, ale długo to trwać nie mogło, bo gdzieżby im długo powściągać uczucia czy głosy! Zaczęły więc mówić głośno, a mówiły o tém, czém dziś zajmowała się wieś cała, o chorobie Klemensa Dziurdzi i jej przyczynach. Opowiadały, że Piotr po księdza pojechał, że choremu dwa razy już zapaloną gromnicę do rąk dawali, że matka tylko co nie umiera z żalości, że jeśli Klemens umrze, gospodarstwo Piotrowe zginie, gdyż on sam zestarzeje się rychło, a młodszy syn jest, jak wiadomo, niedołęga i głupiec. Parę głosów zajęczało. — Oj, *biedne, biedne nieszczęśliwe* ludzie!

A jedna z kobiet, głośniejsze jeszcze niż inne, magajowatym przewlokłym głosem zawiodła:

— *Kab* temu, co *heto* zrobił dobrego życia nie było! *Kab* on za krzywdę ludzką zmarnował się i na pogrzebach dzieci swoich płakał!

Była to Paraska, która, mówiąc to, na Pietrusię z pod oka patrzyła.

— Patrzajcie — dodała po chwili — czemu to kowalicha dziś kupnej spodnicy i materyalnej chustki na siebie nie włożyła?

Oj, ta kupna spodnica i pół-jedwabna chustka, w które kowalowa czasem się przystrajała, dawno już dawno dolegały Parasce, maczającą teraz w wodzie liche, stare lachmany swoje i swój rodzinny.

W tém na polu rozległy się grube i piskliwe krzyki. Kobiety śmiać się zaczęły. Stepan Dziurdzia znowu skłócił się z żoną. Klócili się oni z sobą tak już często, że dla jednych byli przedmiotem surowej przygany, w innych wzbudzali śmiech. Teraz, ze słów tu dolatujących wnieść było można, że szło im o jakiś worek na kartofle, po który Stepan żonkę do chaty posyłał. Czy naprawdę worek był przyczyną kłótni? A może on tej chwili zażądał, aby żona z oczu mu zeszła, ona zaś w tej chwili właśnie za nic go tu samego zostawić nie chciała. Boże! jakże czuła się nieszczęśliwą! Poczucie tego nieszczęścia zdawało się podnosić ją nad ziemię, tak szybko, z rękoma u głowy ku stawowi biegła.

Biegła wprost na Pietrusię i, pochyloną ku wodzie, tak ją całém ciałem potraciła, że zatoczyła się ona i aby nie upaść, rękoma gałąź wierzby pochwycić musiała. Przytém zazdrością i bólem oszalała, Rozalka łajac poczęła tę, którą za rywalkę swą poczytywała, mnóstwem grubych wyrazów, wśród których najczęściej powtarzał się wyraz wiedźma. Kowalowa uczyniła zrazu ruch taki, jakby pierwszym jej popędem było rzucić się na napastującą ją kobietę i obelgi, które ona rzucała na nią, odwzajemnić. Widać było jednak, że bardzo prędko ogarnął ją wstyd przed bójką, a gniew jej przemienił się w żal i przestrah, od których rumieńce z policzków jej zniknęły. Schyliła się znowu nad wodą i stukiem pralnika zagłuszyć usiłowała krzyki Rozalki, która, miotając się nad nią, wygrażała jej pięściami i osypywała ją gradem przekleństw i łajañ. Niektóre z kobiet, piorących bieliznę, śmiały się i żartowały głośno tak z napastującą, jak z napastowaną, inne wzruszały ramionami, spluwały i, wskazując na Rozalkę, nazywały ją *chfksatką* (waryatką), gadziną, jędzą. Były jednak i takie, które ujęły się za Pietrusią. Młoda Łabudowa krzyknęła do Rozalki, że niesprawiedliwie przyczepiła się do kowalowej, która na jej męża i patrzeć nie chce, nietylko co! Jedna z Budrakowych, synowa starosty, targiła nawet wściekłą kobietę za koszulę i spodnicę, poważnie ją za jej złość i szaleństwa

gromiąc. Wszystko to przecież nie nie pomogło, dopóki Rozalka nie zobaczyła męża swego, biegnącego ku niej z tym samym biczem w ręku, którym konie poganiał. Wtedy, jak ptak zraniony, krzycząc i ramionami w powietrzu miotając, zerwała się do biegu i ku wsi, jakby na skrzydłach poleciała. Długo jeszcze słyhać było jej piskliwe i rozpaczliwe krzyki, przeplatane łajaniem i pogrozkami na Pietrusię miotanemi.

Co tam już dalej działo się nad stawem, Pietrusia nie wiedziała i wiedzieć nie chciała. Nie podnosiła głowy ani oczu, bo przed spojrzzeniami ludzkimi robiło się jej i wstydno i straszno. Wolała nie patrzeć na te kobiety, które, podziwiwszy się, pogadawszy jeszcze, bieliznę swą z brzegu zbierały i gromadkami lub kolejno, ku wsi odchodziły. Niebawem, po ciszy, która zapanowała nad stawem, odgadła, że już poszły sobie wszystkie. Wtedy wyprostowała się i oczy podnioswszy, zobaczyła Stepana, który, o kilka kroków od niej, pod różową osiną na pniu ściętego drzewa siedząc, z łokciami na kolanach i brodą w dłoniach, wzrok swój w nią wlepił. Żona kowala twarz od niego odwróciła i w milczeniu skręconą bieliznę do czółna wkładać zaczęła. On odezwał się zaraz:

— Dawno już, Pietrusia, ja ciebie nie widział i z tobą nie rozmawiał. Ot, z rok już będzie, jak ty mnie z chaty swojej wypchnęłaś i drzwi za mną

zaryglowałaś. Od tego czasu już ja nie przychodził do was i nigdzie ciebie nie zaczepiał...

— Bo i nie trzeba! — nad czółnem schylając się, gniewnie mruknęła kobieta.

Chłop mówił dalej:

— Trzeba czy nie trzeba, a tak już musi być... tak ty mnie już zrobiła, że gdzie ty, tam moje chęci i całe moje myślenie... Kiedy nie chciałaś, żeby tak było, to na cóż robiłaś... czy na wieczne moje nieszczęście robiłaś? ha?

Tym razem odwróciła ku niemu twarz z wylękłem i razem rozgniewanemi oczyma.

— Żebym ja wiedziała jaki sposób, tobym co takiego zrobiła, żeby ciebie, Stepanie, nigdy na oczy nie widzieć, nigdy, aż do końca mojego życia. Ot, cobym ja zrobiła, żebym wiedziała, jak robić, ale choć wy wszyscy wiedźmą mnie przezywacie, — nie wiem, na moje wieczne nieszczęście, nie wiem!

Znowu białinę do czółna składać zaczęła; ponosowe wargi jej wyduły się jak u rozgniewanego dziecka, do oczu nabiegły łzy.

Stepan poprawił się na swém twardém siedzeniu i, oczu z niej nie spuszcżając, mówić zaczął:

— Wiedźma ty czy nie wiedźma, lepszej od ciebie i *laskawszej* (łagodniejszej) i pracowitszej w całej wsi niema, gdzie tam! w całej okolicy a może i na świecie niema! Może ty mnie kiedy

i dała napić się tego ziele, którego za twoją przyczyną napił się od Franki Klemens, a może i nie dawała, czy ja wiem? Może to ziele co mnie w żywot weszło, to twoja taka *laskawość* (łagodność) i wesolość, że kiedy jeszcze dziewczyną byłaś, to jak na ciebie bywało popatrzę, a twego śpiewania i śmiechu posłucham, to i sam zrobię się inny, ot, *takijże* laskawy, cicheńki i wesoly, jak ty...

Po chwili milczenia mówił dalej.

— Ja bardzo lubię cicheńkich i wesolych ludzi... Ot ja z Piotrem i Agatą dobrze żyję dla tego, że pomiędzy nimi zawsze święta spokojność i obchodzenie się ładne, i Klemensa lubię za to, że on posłuszny starszym i wesoly. A sam ja złośnik, to prawda, i niespokojny jak ten wichur, i pochmurny jak to niebo na deszczu... Tak już ja widać urodził się, z taką chorobą w duszy urodził się, a nie wyleczyła mnie z niej matka, jędza taka, że za jej lajaniem a biciem, ja dziecinnych lat swoich nie pamiętam i nie wyleczył brat, co ze mną o ten mój kawał ziemi po sądach ciągał się... i nie wyleczyła żonka *hadzina*... i nie wyleczyła wódka, którą w gardło leję... Nikt nie leczył i nic nie wyleczyło...

Mówił powoli, smutnie, z wlepionemi w ziemię oczyma. Po chwili podniósł znowu wzrok na Pietrusię.

— Ty-by mnie z téj choroby wyleczyła, ale nie chciała — dodał.

Kobieta, uspokojona łagodnością jego głosu, a smutkiem jego może wzruszona, roboty swéj nie przerywając, spokojnie odpowiedziała.

— Przeznaczenia już takiego widać nie było. Ale jakie tobie nieszczęście? Daremnie narzekasz i Pana Boga obrażasz. Czego tobie braknie? Chatę i gospodarstwo porządne masz... żonkę i dziecko masz... ot Bogu-by dziękował i kontent byłby... żeby tylko chciał.

— To prawda — odparł Stepan — żonka taka dobra i taki zdrowy, silny syn! Będzie z niego kiedyś robotnik tegi i podpora moja! oj!

W głosie jego brzmiała gruba ale bolesna ironia; zaśmiał się i zaklął zcicha, aby nie spłoszyć téj kobiety, która po raz pierwszy, oddawna, rozmawiać z nim chciała.

— Ot prawdę ja tobie powiem, Pietrusia, że mnie już i gospodarstwo obrzydło. Dla kogo człowiekowi starać się i pracować? Czy u mnie chatka pełna dzieci? jedno tylko, a i to takie, że tylko tchu w nim słuchaj, czy jeszcze żyje. I więcéj już nie będzie. Żonka mnie nie żonka. Ja na nią i patrzeć nie chcę, nietylko co. Przyjdę do chaty z pola, taj położę się jak pies, do nikogo słowa nie przemówiwszy. Dobrze jeszcze, jeżeli ta milezy, ale jak przyczepi się do mnie ze swoją

złością, albo ze swojém lubieniem, to zaraz i wyjemy oboje jak te dwa wilki, żeby ich razem zamknąć. Ot jakie moje szczęście! Ludzie ze mnie naśmiewają się, jak gdybym już ja był ostatni i gospodarstwo prędko czort weźmie... bo człowiek do niczego ochoty nie ma, tylko-by świat przeklinał — *taj hodzi!*

— Wstyd! — zawołała Pietrusia — wstyd bo tobie Stepan, tak robić i tak gadać! Pilnował-by gospodarstwa, a z żonką żył jak Pan Bóg przykazał, zgodnie, w spokojności... ot jak ja z moim żyję, że u nas nigdy jednéj minutki gniewu, ani nienawidzenia jeszcze nie było...

— Tylko ty mnie o swoim nie wspominaj... — z błyskającymi oczyma rzucił Stepan. Ona, nie patrząc na niego, wzbierających w nim namiętności nie dostrzegła.

— Żeby ty dla żonki swojéj taki był jak mój dla mnie, to i ona była-by lepsza — zauważyła.

— *Kab* oni potopili się oboje! *Kab* im oczy przedzêj na ten świat pozamykały się — ponuro mruknął Stepan.

— Phi! jaki zły i niegodny człowiek ludzkiei śmierci żąda! — ze zmarszczoném czołem i rozgniewanemi oczyma splunęła kobieta, a podnosząc z ziemi resztę skręconéj bielizny, którą do czołna wrzuciła, dodała:

— Był u mnie rozum, kiedy ja za ciebie iść nie chciałam... dobrego-bym męża miała...

Widząc, że bliską jest wejścia do czółna i odpłynięcia, zerwał się z siedzenia i tuż przy niej stanął.

— Poczekaj, Pietrusia, poczekaj troszeczkę — zaszeptał — jeszcze minutkę porozmawiamy... co tobie szkodzi? jeszcze jedną minutkę! Ja dla ciebie byłby inny, jak dla *téj*... ja bym z tobą *laskawy* zrobił się i cicheńki, jak ten pies co pana swego poznał... tyby mnie dzieci inaczej hodowała jak *ta*... tyby mnie w chacie śmiała się i śpiewała jak ta makolągwa w gnieździe... a ja bym tobie ręce i nogi przez całe życie całował, ja bym, z tobą pracując, ręce sobie od pracy pokrwawił... Oj Pietrusia ty moja, mileńka ty moja... nie uciekaj choć teraz odemnie... niech ja choć minutkę pocieszę się tobą...

Z płonącymi oczyma, z uśmiechem namiętności miłosnej na twarzy, następował na nią, pchał ją pod rozłożyste gałęzie wierzby, palącym oddechem oblewał szyję jej i plecy, żelaznym jakby ramieniem stan jej otaczał. Ona krzyknęła z przerażenia i gniewu, skokiem łani do czółna wskoczyła i, wiosło schwycawszy, w mgnieniu oka odbiła je od brzegu. Minuta zaledwie upłynęła, a czółno znajdowało się już w pewnej od brzegu odległości. Po gładkiej błękitnej wodzie, mknęło ono prędko, równo, nie kołysząc się prawie i unosząc ku prze-



STEPAN DZIURDZIA I KOWALICHA.

ciwłegłemu brzegowi kobietę wysoką i zgrabną, zaledwie trochę przechylającą się ruchem rytmicznym nad wiosłem roztrząsającym wodę. Z pod czerwonej chustki opadające włosy zaledwie dostrzedz dawały ognistą rumianość jęj twarzy, nagie aż prawie do kolan jęj nogi i wiosłem poruszające ramiona, różowiło i ozlacało zachodzące słońce. Pozostały pod wierzbą chłop, błyskał za nią oczyma, jak dwoma snopami płomieni. Uśmiech miłosnej namiętności ustąpił na jego twarzy przed zmarszczkami zgryzoty i gniewu, coś okrutnego, zawziętego przewinęło się mu po ustach.

— Kiedy tak — za odpływającą kobietą krzyknął — to ty doprawdy wiedzma jesteś. Czartowską siłą ciagniesz do siebie ludzi, a potem ich na zgubienie wieczne oddajesz! Poczekaj ty! będzie tobie! Już ja na ciebie pomstę za swoją krzywdę znajduję, ty wiedzmo, przeklęta dusza twoja!

Odległość była taką, że krzyki jego słyszyć musiała. Nie odpowiedziała jednak nic, tylko czółno zakolysało się pod nią, jakby drzeniem jęj nóg wstrząśnięte. Potem jednak popłynęło znowu, równo, szybko, a nienawistny, okrutny uśmiech przewijał się po brązowej twarzy mężczyzny, stojącego w cieniu gałęzi wierzbowych. Z cienia, w którym stał, kobieta, w ogniach słonecznych po błękiecie stawu płynąca, wydała mu się może stra-



szném, złowrogiem i zarazem świetlistém ponętném zjawiskiem.

— Wiedźma! dalibóg wiedźma! — zaszeptał, a gdy ona u przeciwnego brzegu do białych piasków już przybiła i ku domowstwu swemu śpiesznie szła, z zaciśniętymi pięściami ku pługowi swemu wracając, dodał:

— *Taki* ona nie powinna po bożym świecie chodzić... *taki* nie powinna!

Męża swego Pietrusia w domu nie zastała. Sta siuk, który na jój spotkanie, aż ku brzegowi stawu wybiegł, brnąc w białym piasku i czepiając się jój odzieży, w drodze już wyszezebiotał, że tatko poszedł do karczmy, aby z arendarzem po mówić. Wiedziała o tém, że arendarz stręczy mu dużą i zyskowną robotę w jednym z sąsiednich dworów, nie dziwiła się téż ani była niepokojną, że Michałek w porze zwykłej do domu nie wracał. Interes był ważnym i dużo o nim z żydem do mówienia było. Gotując wieszczkę, gdy dzieci w kącie izby bawiły się drewnianą piszczałką i chrupały wysuszone ziarna słoneczników, przyciszonym głosem opowiedziała babce wszystko, co ją dziś od Piotrowej i nad stawem spotkało. Przy opowiadaniu tém, Aksena przedła zrazu coraz prędzej, ale wkrótce, u kądzieli nitka rwać się zaczęła i wrzecziono wysunęło się z jój palców. Na kolanach złożywszy ręce, siedziała

wyprostowana jak struna, i choć Pietrusia dawno już mówić przestała, nie przemówiła ani słowa jednego, tylko żółte jój szczęki prędszym niż kiedykolwiek ruchem przeżuwały uczutą zgryzotę, a białe oczy z większym niż kiedykolwiek wytężeniem zdawały się wpatrywać w przestrzeń izby, oświetloną chwiejnym półświatłem płomienia. Wieszczka była już zgotowana, ale kobiety czekały z nią na gospodarza chaty, który lada chwila nadejść musiał. Płomień w piecu przygasał, dzieci uciszyły się i drzemiące pod stojącymi u ściany snopami lnu, utworzyły grupę zmieszanych z sobą bosych stópek i małych rumianych twarzy.

Pietrusia z podwórza do sieni wniosła *cierlice*, chwilę jeszcze krzątała się po izbie, aż, westchnąwszy, głośno, usiadła także na ziemi, i plecy o len opierając zadumany wzrokiem przed siebie patrzała. W ciszy, która zapanowała w izbie, ozwał się po chwili ochryply i czegoś się dziś bardzo trzęsący głos ślepej baby.

— Pietrusia! — zawołała.

— A co, babulo?

— Spal ziola, te ziola, co z pola w tym roku nanosiła i te, co z przeszłego lata zostały i wszystkie, co w chacie są.

— Czemu tak, babulo?

— Spal! — krzyknęła prawie stara i ciszej

lecz gniewnie zamruczała jeszcze: — Głupia! pyta się jeszcze, czemu?

Pietrusia podniosła się z ziemi, chwilę jeszcze pomyślała, głowę ze zdumieniem zakolysała i do komory poszła. Z komory, ze strychu, z sieni, w fartuchu lub radnach zносиła mnóstwo uschłych i kruchych, lub tylko zwiędłych i jeszcze pachnących kwiatów i traw polnych, wszystkie je u stóp wielkiego pieca na ziemię zsypywała a potem, ogień podnieciwszy, garściami w płomień rzucać zaczęła, wszystko to czyniła w milczeniu zupełnym, z rozpalonemi oczyma i trochę zaciśniętymi usty. Z twarzy jej widać było, że uczuwała ból i trwogę. Rośliny te, w których barwach i woni od niemowlęstwa prawie kochały się jej zmysły, te czombry liliowe, żółte dziewanny, girlandy czepiających się wzajem traw i łodyg, obejmowały teraz ogniste języki płomienia i owijały sine zwoje dymu, który, słupem wzbijając się w komin, ział na izbę, upajające wonie. Gdy kilkanaście garści uschłego ziela zgorzało już w płomieniu, podniosła głowę ku wierchołkowi pieca i zapytała znowu:

— Czemu tak, babulo?

Stara nie odpowiedziała. W takiem zamysleniu pogrążoną była, że nie słyszała może nawet zapytania wnuczki. Po chwili dopiero u wierchołka pieca, głos chrapliwy i trochę drżący zagadał:

— Wiele ja na tym świecie dziwnych dziwów widziała i słyszała, wiem ja, co z czego wyniknąć może... Stara Prokopicha mnie teraz przed ślepmi oczyma jak żywa stanęła i jak żywe stanęły te lzy, co po jej *stareńkiej* twarzy jak ciekły, tak ciekły...

Im dłużej ślepa baba mówiła, tém więcej głos jej stawał się monotonnym i zarazem do śpiewnego, żałośniego recytatiwa podobnym.

— Była żyła w siele ludném ale bardzo niebogatém, Prokopicha żołdatka, najemnica uboga, chaty swój ani krewnych żadnych niemająca. Męża jej na dalekim świecie, na wielkiej wojnie zabili, a został przy niej jeden tylko synaczek nieboraczek, który nazywał się Prokopek, imieniem, znaczy, ojcowskiem. Biednieńki był ten Prokopek, od wszystkich, prócz rodzonej matki, opuszczony. Ani u niego ojca i bratów, ani chatynki i pola nie było, przyszedł na świat goły jak Jadam, a jak wyrósł do cudzych ludzi pracować poszedł. U cudzych ludzi w poniewierce i biedzie wielkiej pracował, na cudze dobro zyzem patrzył i pochmurny stał się jak noc jesienna. Choćby wszyscy nie wiem jak weselili się on sam jeden, jak wilk, bywało, chodzi w ziemię patrzy, jakby już sobie mogiłkę chciał kopać, a wszystko o czémś się myśli i myśli. Nie lubili jego ludzie za pochmurność i niechętność i nie szanowali go, zwy-

czajnie jak sierotę *jedynokiego*, za którym ująć się komu nie było. Aż tu jednego roku zaczął ktośś gospodarzom konie kraść. Jednemu gospodarzowi koń zginął, drugiemu zginął, trzeciemu zginął. Po całym siole poszło krzyczenie taj płkanie, bo ludzie byli tam nie bogate i strasznie żywiołów tych żalowali, bez których w gospodarstwie ciężko. Szukali złodzieja, rozpytywali się, pilnowali — niema! Niéma i niéma, rozstap się ziemio! A konie jak giną, tak giną! Jednego razu ktośś podpatrzył, że Prokopek czasem przepada z siola. Przejdzie, bywało, dzień, dwa, trzy, przejdzie i *niedziela* (tydzień) cała a jego w siole niéma, gdzieś *mandruje*. Z żydami niedowiarkami w lesie rozmawiającym go widzieli, i w miasteczku go widzieli, jak pił w karczynie i *stużki* dla jakiegś dziewczki kupował, nie wiadomo, z kąd *hrosze* biorąc. Wtedy już wszystkim przyszło do głowy, że to Prokopek parobek konie kradnie. Wzięli i do sądu jego zaciągali. Sąd słuchał, słuchał i powiedział, żeby sobie Prokopek do siola powracał, bo, mówi, nie wiadomo jest, czy to on konie kradł; pewności, mówi, niéma; dowody, mówi lepsze na niego dajcie... Prokopek do siola powrócił, a konie jak ginęły, tak ginęły. Wtenczas już ludzi wielki gniew za ich dobro ogarnął. Zaczaili się raz pod lasem i jak Prokopek z lasu furę drzewa

gospodarzowi swemu wioził, złapali go, taj zaczęli w niego walić kijami...

— Jezu! — rozległ się po izbie krzyk Pietrusi, która z fartuchem pełnym ziół i ręką zatopioną w uschłe rośliny przed piecem stojąc, oczy szeroko otworzyła i zatrzęsa się całym ciałem.

— Kijami! — jęknęła jeszcze i opamiętawszy, się nieco, znowu ziola w ogień rzucać zaczęła. Płomień buchnął żywiej, na izbę wionęła silna i pachnąca mgła, z wierchołka pieca, głos stariej powtórzył.

— Kijami. Żebra jemu połamali, ręce nogi połamali, ludzką twarz krwią obleli i nieżywego porzucili na szerokiém polu, na pustém polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukowi i kawkom na strawę.

W izbie zapanowała chwilowa cisza, poczem ślepa baba opowieść swą kończyła.

— A Prokopicha żołdatka z żalu po swoim nieboraczku synaczku wzięła i *sfiksowała*. Z litości ją ludzie karmili i odziewali a ona, bywało, w ciemny kąt zalezie i ciągle o swoim parobku Prokopku opowiada i opowiada, a po zmarszczonej, stareńkiej jej twarzy, jakby kto grochem sypał, lzy cieką a cieką... I ja tam była, gadania jej słuchała, na lzy jej patrzyła a teraz to wszystko przed ślepymi oczyma memi, jak żywe stało...

Kiedy chrapliwy i klekocący a zarazem śpiewny głos starój umilkł, Pietrusia z cicha przemówiła.

— Babulo!

— A co?

— Czy ten Prokopek doprawdy konie kradł? Stara z namysłem odpowiedziała.

— Może kradł a może nie kradł. To już nie wiadomo. Pewności nie było... ale ludzkie posądzenie było i straszny gniew ludzki był...

— Straszny jak echo — powtórzyła kobieta, przed ogniem stojąca i śpiesznie, śpiesznie resztę ziół uschłych w płomienie rzucać zaczęła!

Po chwili stara zagadała znowu.

— Pietrusia!

— A co, babulo?

— Żeby ty od tego czasu nie ważyła się doradzać...

— Nie będę — odparła młoda kobieta.

— Nikomu, pamiętaj. Żeby tam nie wiem jak ciebie prosili. *Czujesz?*

— Nie będę, babulo...

— Cicheńka taka bądź, jak ta rybka na dnie wody, żeby ludzie i zapomnieli o tobie.

— Dobrze, babulo.

Drzwi izby otworzyły się i wszedł kowal, na którego gdy tylko Pietrusia spojrzała, zaraz krzyknęła.

— Oj Bożeż mój! a tobie co takiego *przytrapiło* się, Michalku?

Musiło mu istotnie przytrafić się coś złego. Twarz miał rozognioną, jedno oko zapuchłe i kilka sińców na policzkach i czole. Czapkę z rozczochranych włosów zdjął i na stół ją rzuciwszy, dzieci, które obudziły się i do niego przybiegły, z gniewem od siebie odpędził. Potém, na ławie siadł i do żony zwracając się, ochryplym trochę głosem mówić zaczął:

— *Przytrapiło* się mnie to, czego jeszcze nigdy w życiu ze mną nie bywało. Sołdatem byłem i sześć lat włóczyłem się po świecie, a nigdy nie biłem się z nikim; tutaj już siedm lat żyję i panuję, a ludzie szanowali mnie zawsze, bo sam siebie szanowałem. A ot, dziś, pobilem się przed karczmą z chłopami. Z twojej przyczyny, Pietrusia, *hawantura* ta mnie spotkała. Pfe, wstyd tylko, zgryzota, *taj hodzi!*

Splunął i głowę od żony odwracając, skaleczone oko dłonią sobie zakrył. Ona milczała i, stojąc przed ogniem, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, z rękoma wzdłuż ciała opadłemi. Po chwili ozwał się znowu:

— Rozmawiam ja sobie z arendarzem o *jente-resie*, aż słyszę, przed karczmą, chłopci na ciebie wykrzykują, że ty Klemensu Dziurdzi chorobę zrobiła... Szymon Dziurdzia wykrzykiwał, Jakób

Szysko, złodziej ten wiadomy, i Stepan potem przyszedł i także gadać zaczęli i baby, co od zbierania kartofli tamtędy wracały, stanęły także i jak wrony krakać zaczęły: taka ona, owaka ona, krowom mleko odebrała, a teraz Klemensa struła. Słuchał ja, słuchał, aż nie wytrzymał, z karczmy wyleciał, klócić się o ciebie zaczął. Od słowa do słowa, do bitwy przyszło. Bił ja, bili mnie... pfe! wstyd! Człowiek pracuje jak ten ostatni parobek, prowadzi się porządnie, ludzi i samego siebie szanuje, aż tu niewiadomo z kąd, przyjdzie na niego hańba taka... co to? miło to słyszeć, że żonkę od wiedzim i czartowskich kochanek przezywają, a potem na twarzy nosić ślady pijackich i złodziejskich kulaków! Oj, Boże mój Boże, za co na mnie taka hańba i ta zgryzota przyszła!

Przez rozżalenie i zawstydzienie jego przebijają się uraza, do żony uczuwana. Ona wciąż milczała, przestraszona tak, że aż jej ręce, którymi garnek ze strawą z pieca wyciągała, drżały widocznie. Ze spuszczonej powiekami zapaliła lampkę i wieczerzę na stole stawiała. Kiedy wedle zwyczaju bochen chleba i nóż mężowi podawała, on, przysyłając wciąż dłonią spuchnięte oko, drugim bacznie na nią popatrzał.

— Pietrusia! — rzekł — co ty takiego ludziom zrobiła, że oni na ciebie, jak te kruki na ścierwo napadli...

Zwolna wzruszyła ramionami.

— Czy ja wiem? — szepnęła.

— Już to nie może być bez przyczyny? ha? — zapytał jeszcze.

Zapytywana w ten sposób kobieta, sama pograżała się w coraz głębsze zamyślenie.

— Czy ja wiem? — powtórzyła.

Widocznie sama zagadki losu swego zrozumieć nie mogła i czy w istocie przyczyna jego w niej samą nie spoczywała, pewną nie była. Pomimo tej niepewności, inna roztopiła-by się cała w zaprzeczeniach, przysięgach, uniewinnianiu siebie a złorzeczeniu ludziom. Ona tego nie uczyniła. Nigdy jeszcze przed mężem nie skłamała. Żyli oni z sobą, jedno drugiemu duszą w duszę patrząc, jak dwa przejrzyste, obok płynące potoki. A teraz, kłamała-by, gdyby mu powiadała, że jest czeegokolwiek pewną, gdy wewnątrz jej nurtowała trwoga, nie tyle przed ludźmi, ile przed czémś nieokreślonym, tajemniczym, groźnym, uczuwana.

— Czy ja wiem? — powtórzyła i z czołem zmarszczonym w dwie głębokie fałdy, od męża twarz odwróciła. On patrzył na nią i dziwił się jakby czemuś, lub nad czémś smutnym, nie rozmyślając, parę razy głową zakolysał. Potem nie mówiąc ani słowa do niej, przyszedł i położył się. Ona nie mówiła i ani razu tego wieczora, zuzula jej nie nazwał. Markotny i milezący spać się położył, ciemność i cisza za-

legły izbę, aż w połowie nocy, w ciemności i ciszy, ozwał się szelest ludzkich kroków i ktoś wdrapał się na wierzchołek pieca.

— Babulo! babulo! czy ty śpisz?

Na wierzchołku pieca zaszemrał szept, wyraźnym przerażeniem przejęty.

— Nie *splu, ditia, nie splu!* *Wsiemko* o tobie myśle — odpowiedziała Aksena, której od czasu pewnego starość przywodzić już zaczęła bezsenne nocy.

— Babulo! — zajęczał głos drugi, cośś mnie dziś okrutnie dusiło... na żywocie i piersi cośś położyło się i tak dusiło, że tylko ci już Panu Bogu duszyczki nie oddałam...

— *Szto heto?* — zadziwiła się stara a po chwili zapytała:

— Może ty w świętą niedzielę robiła co takiego, co pozwolone nie jest?

— Nie robiła, babulo nie w świętą niedzielę nigdy nie robiła...

— *Prypomnij* sobie tylko... może robiła! Bo jeżeli robiła, znaczy niedziela do ciebie przyszła i dusiła za to, że ty ją obraziła... Takie rzeczy na świecie bywają... ja sama takiego człowieka znałam, co w niedzielę zawsze wszystko robił. Aż tu raz jednego, niedziela do niego przyszła, taka wielka jak to słońce złote, położyła się na nim i zadusiła...

na śmierć zadusiła. *Prypomnij*, tylko sobie, czy czegoś broń Boże w niedzielę nie robiła...

— Nie robiłam babulo, pobożę się, że nigdy w niedzielę nie nie robiłam...

— No, te *sztóż heto*, co ciebie dziś dusiło?

Długie potem zapanowało milczenie, aż w ciemności, szept młody i przerażony cichutko zaszemrał.

— Babulo! ja słyszałam, że kiedy *czort* do kogo przyczepi się, to tak samo dusi...

U wierzchołka pieca, gwałtownie coś zaszeleściło, może ślepa baba wyprostowała się na swym sienniku.

— Przeżegnaj się, *ditia* przeżegnaj się ty krzyżem świętym...

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego Amen. Znowu chwilowa zapanowała cisza, potem stara Aksena zaszepleniła jeszcze.

— Zgryzota to ciężka dusiła ciebie, Pietrusia ty moja, *zhryzota* i żalność.

— A-le! — twierdząco odszepnął głos drugi.

— Cośś *Michalek* markotny był dzisiaj i *hniewny*...

VI.

Zima nadeszła wczesna i ostra. W ostatnich dniach Listopada, mróz ściał już ziemię w twarde bruzdy i śnieg przysypał ją białym pyłem. Wieczorne niebo usiane było mnóstwem gwiazd, kiedy drogą, wiodącą z najbliższego miasteczka, do Suchej Doliny, szli ku wiosce dwaj chłopci. Obaj byli nie wysokiego wzrostu, ale jeden szczególnie mógł się nazwać zupełnie niskim; w kozuchach baranich, czapkach i skrzypiących butach, szli oni, to powolnym i trochę chwiejnym, to znowu prędkim i zamaszystym krokiem, bardzo głośno ze sobą rozmawiając i zawzięcie rozmachując rękoma. Nie byli zupełnie trzeźwi. Grube ich głosy rozchodziły się daleko, a wtórował im głośny także i nierówny tentent ich stapań. Ze słów, które wyraźnie i donośnie brzmiały w cichy i mroźny przestrzeni, wniesć było można, że wracali z miasteczka, gdzie obaj stawali przed sądem pokoju.

— *Mirowy każe* (Sędzia pokoju mówi) *sztraf za to drzewo zapłacisz...* — mówił jeden, a drugi, nie słuchając towarzysza, jednocześnie prawil:

— Dług święta rzecz, *każe*, zapłacić *mużno*.

— Drzewo, *każe*, ściał w pańskim lesie, sześć sztuk ściał, *każe*, za każde sztukę po rublu sztrafu zapłacisz...

— A kiedy długu nie zapłacisz, *każe*, ziemię *opiszą*, ta, sprzedadzą... Nie sprzedadzą, mówię, bo jeszcze nie wykupiona, znaczy, od rządu nie wykupiona...

Teraz drugi zaczynał.

— A ja do *mirowego zjazdu*.. do Chackiela poszedł i kazał jemu prośbę do *mirowego zjazdu* pisać... Pisz, mówię, *hapelacju*, żebym ja tego sztrafu nie zapłacił...

Pierwszy swoje dalej prawil:

— Ja do starszyny!... A co z tego będzie?... u żyda zadłużył się i u innych ludzi zadłużył się, i teraz oni na mnie do sądu podają, a sąd płacić *każe*, a ziemia nie wykupiona, znaczy, od rządu nie wykupiona i przedać jęj nie można... Żyd niedowiarek, podła jego dusza, pyta się zaraz: a *wiele* za napisanie dasz? *Zolotouku* dam, mówię, *piszy*! A on mnie w oczy patrząc, śmieje się... Rubla dasz! mówi. Nie dam, mówię, dalibóg nie dam... dwa złote dam... A on: rubla dasz... I obiecał, dalibóg obiecał rubla... *Kab-jego czorci*...

Ten zaś, któremu o zaciągnięte długi szło, zataczając się nieco, prawil:

— Dowiedział się ja u starszyny, oj dowiedział się... *Kab jego...* Ziemi nie opiszę, mówi, bo nie wolno, bo jeszcze nie wykupiona, ale gospodarstwo za dług opiszę, *taj* sprzedam *publiczno*, znaczy sprzedam, w jednych koszulach zostaniecie... na co było długi robić?

Nagle, stanęli obaj i twarzą w twarz patrzeć na siebie zaczęli.

— Jakób! — rzekł jeden.

— Szymon! — odpowiedział drugi.

I obadwa razem wydali z gardła pytające tony.

— Ha?

— Żeby to człowiek był bogaty!

— *Ale!*

— Toby długów nie robił!

— *Ale!*

— Dziewięć dusz w chacie...

— U mnie trzynaście... *taj* jeszcze i dwoje w kołyskach...

— Ziemia taka kiepska, że choć płacz...

— A *świeronek* (śpicchrzyk) to już ze wszystkiém zawalił się... myślę ja sobie, zkad tu drzewa wziąć... ot i pojechał nocką do lasu... to i co? Nie dla jednego Pan Bóg las zasiał, dla wszystkich zasiał...

— Ziemię przyjdzie *żydu* w arendę za dług puścić... choć *potajemno*, a samemu w parobki do jakie-

go dworu nająć się... Oj, *horkaja* dola przyszła mnie i *ditkom* moim...

— Oj, *horkaja* dola przyszła mnie na stare lata moje...

Obaj rękawami kożuchów po oczach sobie powiedli i, głośno westchnawszy, dalej obok siebie iść zaczęli. Znajdowali się w téj chwili blisko krzyża, wznoszącego się nad rozstajnymi drogami. Naprzeciw nich, żółto błyszczały dwa oświetlone okna karczmy, dalej ciemniały ściany stodół i obór, a w pewnej od nich odległości, samotne w polu i pośród suchych szkieletów drzew, szarzało domowstwo kowala. Przy świetle gwiazd, można było rozpoznać zamkniętą dziś i milczącą kuźnię, śniegiem ubieloną strzechę chaty i dwa złotawe blade, bo przez zamarzniete szyby, przedzierające się od blaski palącego się w niej ognia.

Jeden z chłopów, przechodzących pod krzyżem, w kierunku tego domowstwa rękę wyciągnął.

— Szymon! — rzekł.

— Nu?

— Ot tam to *hroszy* dużo!

— Gdzie to?

— A u kowalichy.

— Aha! — potwierdził Szymon, *musić* bogaty ludzie, bo po pańsku sobie żyją...

— Czemu im nie żyć, *koli* *czort* wiedźmie pomaga...

— Pomaga czy nie pomaga, a taki im dobrze kiedy *hrosze* mają, — zauważył Szymon, a po chwili myślenia machnął ręką i zamruczał: — To i co z tego? Pies kudłaty, jemu ciepło; chłop bogaty, jemu dobrze... kowalu i żonce jego dobrze, a mnie od tego nie lżej...

— Jeszcze i ciężiej i na cudze dobro patrzeć, kiedy człowiekowi samemu na świecie gorzko...

— Ale!

W tém, Jakób Szyszko stanął jak w ziemię wryty i z ręką wyciągniętą ku domowstwu kowala przyciszonym, zdławionym prawie głosem wymówił.

— *Baczył?* Szymon, *baczył?* (widziałeś?).

Szymon stanął także i nie wymówić nie mogąc, usta tylko szeroko roztworzył. Zjawiskiem, które obu chłopów tak bardzo uderzyło, była spadająca gwiazda. Oderwała się ona niby od ciemnego sklepienia i, złoty wężyk zakreśliwszy w powietrzu, nad samą chatą kowala zniknęła. Na tle przejrzystej nocy, błysk ten strzelił chwilową lecz świetną światłością. Jakób powtórzył pytanie.

— *Baczył* ty?

— Czemu nie *baczył?* *baczył*, — zaszeptał Szymon; — o nich my mówili, i na ichże chatę gwiazda spadła...

Jakób głową wstrząsnął i głośny, szyderski śmiech wychodził z wąskiej, stariej jego piersi.

— Oj, dureń ty, dureń! — mówił, — to ty myślisz, że to gwiazda spadła...

— Ale!

— A to, ot, *czort* był, co przez komin wiedźmie *hrosze* niósł!

— Nie może być? — krzyknął prawie Szymon i, rękę do czoła niosąc, żegnać się zaczął.

— A czy ty tego nigdy nie słyszał?

— Słyszał to, słyszał, że tak na świecie bywa, ale widzieć, nie widział...

— No to teraz zobaczył... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego...

— Amen, — jednogłośnie dokończyli obaj, a Szymon raz jeszcze wydał z gardła przeciągły dźwięk zadziwienia. Potém, szedł już przed siebie pewniejszym, równiejszym krokiem, jakby mu dym wódki, którą w miasteczku wypił, z głowy uleciał. Głęboko nad czémś rozmyślał, potém ozwał się:

— Jakób!

— Ha?

— Wiesz ty co? Już-bym ja i *czortouskiemi hroszami* nie pogardził, żeby tylko z biedy wyleźć. Żeby gospodarstwa nie opisywali i nie sprzedawali...

— Jak *wiedajesz*... jak *znajesz*... — obojętnie odparł Jakób.

— Może-by kowalicha i pożyczyla... — wahającym się głosem zaczął znowu Szymon.

— Jak *wiedajesz*... jak *znajesz*... ale kiepsko będzie...

— Czemu kiepsko?...

— Ot tak! chrześcijańską duszę zaprzedać nie godzi się...

— I to prawda...

— Ty tego nie rób, — palec do góry wznosząc, nauczał Jakóba, — nie godzi się... Księdzu na spowiedzi powiedzieć trzeba, że takie pokuszenie miał...

Szymon rozmyślał znowu, ale po chwili z nagłą determinacją głowę podniósł.

— A szedł ty do pańskiego lasu drzewo kraść, kiedy świronek budować zapotrzebował, ha?

— Oj ty! durniu! — krzyknął Jakób, — jak ty takie rzeczy porównywać możesz? Las bozki jest i Pan Bóg jego dla wszystkich posiał, a wiédźmy *hrosze* czartowskie i ona sama jest nieprzyjaciółka bozka i ludzka...

— To co! — opierał się Szymon, — taki tobie mirowy sztraf zapłacić kazał, a ty mnie od durniów nie wyzywaj... Słyszysz? Prawa nie masz! Sam dureń, a jeszcze do tego i złodziej!

Zaczynali już kłócić się, ale w tém oblała ich światłość wychodząca z okien karczmy, przed którą przechodzili. Z wnętrza karczmy dolatywał gwar rozmów i rzępolenie skrzypiec. Stanęli obaj jak w ziemię wryci.

— Zajdziem, — rzekł Szymon.

— Zajdziem, — zgodził się Jakób.

— Na minutkę.

— Na minutkę poweselić się...

Karczemną izbę dość obszerną, niską, z podłogą glinianą i aż czarnym od brudu półapem, jaskrawo oświetlały trzaski smolne, wetknięte w szczeliny pieca, od góry do dołu, zawieszonego wysychającą popranu odzieżą arendarza i jego rodziny. Na długim i wązkim stole paliła się, krzywo w wydrążonej brukwi tkwiąca łójówka, i stało kilka cynowych czarek, jakimi zazwyczaj chłopi w karczmach wódkę pijają. Pili z nich przed chwilą ci gospodarze poważni i stateczni, którzy, z obu stron stołu na ławach siedząc, toczyli pomiędzy sobą gwarliwą ale poważną, stateczną rozmowę. Dostatnie kożuchy ich zaopatrzone w szerokie kołnierze, z czarnych lub siwych baranów, ciężkie lecz całe i aż do kolan wysokie obuwie, wyrazy ich twarzy, spokojne lub uśmiechami rozjaśnione, objawiały, że byli to najdostatniejsi i najlepiej prowadzący się mieszkańcy Suchej Doliny. Przyszli tu oni nie dla hulania ani z hultajstwa, ale dla tego naprzód, aby w długi zimowy wieczór rozweselić się trochę w *kompanii*, a potem i dla tego, aby o rzeczach, dotyczących się interesów wsi, trochę naradzić się i porozmawiać. Kazali sobie zrazu podać wódki, pili ją z cynowych czarek, uprzejmie do sąsiadów przemawiając: — na zdrowie!

na szczęście! — Poczém czarki na środek stołu odsunęły i więcej już ich nie dotykali. Po kruczku wypili i dosyć! Gdyby to była jakaś wesola okazyja: chrzciny, wesele, dobicie jakiegoś targu lub coś podobnego, pili-by pewnie daleko więcej. Ale bez okazyi, nie zwykli byli upijać się, szanowali w sobie dostojność gospodarzy zamożnych i prowadzących się uczciwie, ojców rodzin i byłych lub teraźniejszych urzędników gminy.

Po samym środku grona tego, zasiadał Piotr Dziurdzia, obok niego, z łokciami daleko na stół wysuniętymi, rozpierał się Maksym Budrak, dalej obsiadali ławę: stary Łobuda i dwaj dojrzały, dawno już ożenieni synowie jego, a za kilku jeszcze innymi, w samym kącie izby, tam gdzie najmniej dochodziło światła, siedział Stepan. Zawsze miał on pociąg do przestawiania z najpoważniejszymi i najuczciwsiymi mieszkańcami wsi, do współudziału w rozprawach o rzeczach publicznych, do odegrywania we wsi roli czynnej i wpływowej. Ambitny i śmiały, pragnął coś znaczyć, czémś przewodzić, a choć mu już lat czterdzieści wkrótce minąć miało, nie mógł nigdy pożądanego celu tego dościsnąć. Ponurość i popędliwość jego odstraszaly odeń ludzi, ujmowały mu publicznego szacunku niepospolicie już złe pożycie z żoną i brak liczniejszej rodziny. Miał wprowadzić jedno dziecko, ale takie, że za bezdzietnego uchodzi, a bezdzietność chłopca,

to naprzód niebłogosławieństwo bozkie, a potem, blizka i nieunikniona jego ruina. Inaczej wcale poglądają ludzie na taką chatę, w której rosną i dorastają silni parobcy i pracowite dziewczki, niżeli na taką, w której dwoje samotnych ludzi, jak ta para ponurych kretów ziemię kopie, bez radości na teraz, bez widoków na przyszłość. W takiej chacie ani, chrzciny, ani wesele, ani głośnego igrania chłopców, ani dźwięcznego śpiewania dziewcząt, ludzie do niej nie zachodzą nigdy i nigdy w niej do zastawionych bożemi dary stołów nie zasiadają. Żeby tam nie wiedzieć jaki dostatek był, to wprost, okazyi żadnej nigdy niema, więc i szacunek ludzki i przyjaźń ludzka nie mają tam kiedy przybyć, objawić się i wzrosnąć. A jeżeli jeszcze w chacie takiej wieczne pomiędzy małżeństwem kłótnie, krzyki i bijatyki, Panu Bogu na obrazę, ludziom na zgorzsenie i śmiech? Wtedy już, chłopie bezdzietny i beznadziejny, na ruinę gospodarstwa i pośmiewisko ludzkie wystawiony, siedz chmurny i milezący, pomiędzy weselącymi się i rozprawiającymi ludźmi, tak jak w ciemnym kącie siedzi Stepan Dziurdzia, złość i zgryzotę swoją przeżuwać. Ile razy odezwał się, tyle razy spostrzegał wyraźnie, że nikt go słuchać nie chciał. Rozprawiano jednak o rzeczy, na której on znał się lepiej niż ktokolwiek inny: o gruntach i łąkach, do których wieś całą pretensją rościła, i o które dotychczasowemu ich posiadaczowi

proces wytoczyć zamierzała. Proces miał być kosztownym, koszta rozkładały się na wszystkich mieszkańców wsi, w stosunku do części, przez każdego posiadanej w procesie; arytmetyczne takie ćwiczenia, najbiegłej Stepan dokonywać umiał, najlepiej zresztą znał owe grunta i łąki, ale obywano się bez jego pomocy i rady, słowa jego głużono, kiedy innych przekrzyczeć usiłował, łokciami go trącano na znak, aby umilkł. Młody Łobuda kłótni wszczynać nie lubiący, a lękając się, aby go do niej złość Stepana nie wyzwala, odsunął się odeń o łokieć, to samo uczynił Anton Budrak, brat Maksyma, obecny starosta wsi. Osamotnionym ujrzał się i sponiewieranym. Zaklął z cicha, usunął się pod samą ścianę, na arendarza krzyknął, aby mu całą kwartę wódki podał, i pił ją, mileząc i roziskrzonymi oczyma w cieniu, jak wilk połyskiwał. Inaczej wcale działo się z Piotrem Diurdzią. Ten przez lat sześć urząd starosty sprawiał, wiedział więc dobrze, co chłop który posiadał i w jakiej mierze do wspólnych kosztów przyczyniać się był powinien. Anton Budrak, który świeżo starostą został, radził się go o to i owo, inni, słuchając, potakując głowami kiwali. Z rękoma splecionymi na kolanach, z długimi włosy, których płowe i siwiejące kosmyki opadły na czarny, barani kołnierz kożucha, z bladawą swą i ciemną twarzą, ożywioną teraz czarką mocnego napoju i prowadzoną rozmową, Piotr rozpowiadał

szeroko i długo, a słowa jego ciekły mu z ust rozważne i przewlekłe, niby leniwy i z cicha toczący się potok. Przypominał, kiedy i jak owe grunta i łąki od Suchej Doliny odpadły i co o tém opowiadali ojcowie, rozważał jakie korzyści zwrót ich przyniósł-by wiosce i wyliczając je, aż wzdychał, tak mu się one ponętne wydawały. Pomimo jednak tego, dosyć żywego pożądanie rzeczy ziemskich, o niebieskich nie zapomniął. Podnosił czasem w górę wskazujący palec i zdanie swe kończył słowami:

— *Wsienko* to, w mocy Bożej. Kiedy Pan Bóg zechce to nam tę łaskę swoją da, a kiedy nie zechce to nie da, i cierp, człowiecze, bo taka już wola pańska...

Innym razem mówił:

— Bożkić siły, jak *toj kazau*, nie przemożesz. *Czortouskuju siłu* krzyżem świętym przemożesz, a bożkić niczém nie przemożesz... Jak Pan Bóg najwyższy zechce, tak będzie.

Słowa te wywołały zawsze westchnienie słuchaczy, co nie przeszkadzało im jednak, z żywem i nawet namiętném zajęciem dalej o interesach ziemskich rozprawiać. Piotr wzdychał także, ale szare, głęboko pod gęstymi brwiami osadzone oczy jego błyskały czasem rozweseleniem takim, jakie ukazywało się w nich bardzo rzadko. Rozweselały się one w ten sposób zawsze, ilekroć wypadkiem czy

umyślnie spojrział w tę stronę karczemnej izby, w której bawiła się i wesołiła nieliczna garstka młodzieży. Było tam kilku dorosłych chłopców i z pięć dziewczyn, którzy otaczali siedzącego w kącie muzykanta, wołając nań o muzykę, a gdy grać już zaczął, tańce rozpoczynali i nagle je przerywali dla swawoli jakiejś lub gonitwy, od których z podłogi wznosił się tuman kurzawy i rozlatywały się na wsze strony ciemne dymy, kłębamii buchające z rozpłomienionych smolniaków. Było tam w tej zabawie pełno grubych wykrzyków męzkich i piskliwych jęków niewieści, rubasznych śmiechów, żartobliwych kłótni, tupotu nóg, brzęczenia i piszczenia skrzypiec. Białe koszule i sine spódnice dziewcząt, migotały w kurzawie i dymie, wśród szarych lub błękitnych ubiorów męzkich. W gromadce tej nielicznej, ale bawiącej się wybornie, rój głośny i wesoły wiódł Klemens. Przed sześciu tygodniami wstał on z ciężkiej choroby, której już i znaku na nim nie było. W czasie chorowania swego, nieskończoną ilość razy trzymał był w rękach zapaloną gromnicę, wypił nieskończoną ilość ziół, które mu z całej wioski przynosiły baby, odbył przedśmiertną spowiedź i utracił kwartę krwi, którą wytoczył zeń, z miasteczka przez Piotra przywieziony, feler. Stara Ewangelia, przez cały ten czas, nad samą głową jego na poduszce leżała; ojciec w kościele trzy msze na jego intencją zakupił. Nako-

niec, wyzdrowiał, wstał i po tygodniach paru wyglądał już tak, jakby mu nigdy nic nie było. Odtąd Piotr o chorobie i wyzdrowieniu syna lubił szeroko i długo rozprawiać. Opowiadał, że sprawiła ją dyabelska siła, którą przewyciężyła siła bozka. O pierwszej mówiąc, pięście ścisnął i z obrzydzeniem spluwał, a błysk gniewu i nienawiści przemikał mu w źrenicach. Dla drugiej gorącą wdzięczność i cześć widać uczuwał, bo, gdy ją wspominał, głowę skłaniał, a oczy mimowoli prawie w górę wznosił. Teraz Klemens w zabawie i swawoli rój wodził, a w którąkolwiek stronę izby okiem rzuciwszy, wszędzie zobaczyć go było można w parze z ładną Nastką Budrakówną, córką Maksyma. To stojąc przed muzykantem i o muzykę wołając, do tańca wpół ją obejmował, to w gonitwie jakiejś na ławę ją z takim rozmachem obalał, że aż krzyczała z bólu, niby rozgniewana w kąt odchodziła i plecami zwracała się do izby, a on stojąc za nią, przeproszał ją i do drugiej gonitwy wyzywał, pocieszenie twarz, jakby w płaczu przekrzywając, a grubym śmiechem na całą izbę chichocząc... Piotr na tę zabawę syna, po przez głowy siedzących, naprzeciw niego sąsiadów, z przyjemnością spoglądał i robiły mu one nawet wyraźne w rozmowie roztargnienie. Usta wtedy rozwierał i śmiał się cichym piersiowym śmiechem. Lubował się widokiem pary, którą składali Klemens z Budrakówną. Dziewczyna miała z za-

możnej ojcowskiej chaty wnieść z sobą w chatę męża zwiększenie wszelkiego dostatku, a oprócz tego łagodną była, pracowitą, prowadzącą się przystojnie i przez Agatę bardzo lubioną. Jeżeli więc Klemens z nią się ożeni, oprócz wszystkiego innego, zgoda świekry z synową zapewnioną będzie. Piotrowi oddawna związek ten kleił się w głowie, aż tu, ni z tego ni z owego wykryły się te jakieś umizgi Klemensa z Franką, z tą krępą, niepozorną, ubogą wnuczką jednego z najpośledniejszych mieszańców wsi, w dodatku złodzieja. Gdy tylko Klemens dzwignął się był z choroby, Piotr go zapisał:

— Czy ty z tą Franką z myślami jakimi zaczął, czy tak sobie?

Chłopiec zawstydzil się bardzo, twarz od ojca ręką zasłonił i odpowiedział:

— Tak sobie!

— A żenić się z nią nie myślałeś?

— Niechaj czort żeni się z nią, nie ja — brzmiała już chmurna odpowiedź.

— Nu, a Nastki Budrakówny chcesz? — indygacją swą dalej prowadził ojciec.

Chłopiec dłonią usta zakrył i parsknął śmiechem.

— Czemu nie, baćku? — zawołał.

Aż mu oczy zaświeciły z radości. Nastka była ładną dziewczyną, ale o posagu i o dostatniej wypra-

wie jej także pomyślał. Swatów do chaty Budraka wnet po przejściu adwentu wysłać umyślili.

Teraz, po środku izby, młodzież, wzięwszy się za ręce, utworzyła koło, w które na żarty i ku rozśmieszeniu wszystkich, wkręciła się jakaś stara przysadzista baba, z pochwyconą u arendarza małą poduszczką w rękach. Przy piskliwej, lecz skocznej muzyce skrzypiec, koło tancerzy, z wielkim tupotem nóg, okręcało się do koła tej baby, która, jedną rękę na kłębie opierając się, a w drugiej poduszczkę wysoko podnosząc, a w kółko też skacząc, z pociesznymi minami śpiewała:

Paduszcзки, paduszcзки, a wsie puchowyje,
Mołodzienki, mołodzienki, sawsiem mołodyje...

Tu wybuchnęły ogromne śmiechy, tak słowa piosnki źle stosowały się do przysadzistej, pomarszczonej, choć silnej jeszcze i uciесznój baby. Ona śpiewała dalej:

Koho lublu, koho lublu,
Toho pacełuju;
Paduszcзku puchawuju
Tomu podaruju.

Wraz z ostatnim wyrazem śpiewki, poduszczkę na Jasiuka Dziurdzie rzucała i, wpół go objawszy, chciała się z nim, wedle prawideł tańca tego, kilka razy okręcić. Ale on za wstyd to sobie poczytał,

że go tak niepowabna tancerka faworami swemi obdarzała, pięścią babę odepchnął i z gapiowatą miną, a rozgniewanemi oczyma, jak słup na środku izby pozostał. Kilka poważnych gospodyń, na ławie pod ścianą gwarzących, aż kładło się ze śmiechu; gospodarze nawet rozmowę o interesie przerwali i z uśmiechami na twarzach, szumną zabawie młodzieży przypatrywać się zaczęli.

— Koło taneczne utworzyło się znowu, tylko, że w jego środku stanęła tym razem, gwałtem przez inne dziewczki tam popchnięta Nastka Budrakówna. Skrzypce wciąż przygrywały, a wysmukła dziewczyna, z grubą kosą na plecach i piersią zawieszoną szklanemi paciorkami, poduszczkę do góry wzniosła, i nie skacząc tak, jak tanecznica uprzednia, lecz okręcając się powoli i z wdziękiem, wśród tentu stóp, donośnym głosem zaśpiewała:

Paduszczeni, paduszczeni,
A wściepują...
Młodzieńki młodzieńki,
Sawsiem młodyje...

Tu całe taneczne koło piosnkę podjęło i wzbijającemu się nad inne, głosowi dziewczyny, chórem wtóżyć zaczęło:

Koho lublu, koho lublu,
Toho pacyfuj;

Paduszczenku puchawaju
Tomu podaruj...

Rzucona ręką dziewczyny poduszczenka w kręciastą nawlecze, z taką siłą Klemensa Dziurdię w twarz uderzyła, że aż spłoszył cały, a złotawe i gęste włosy rozwiały mu się nad głową. Zarazem obu rękoma Nastka zwiesiła mu się na ramionach, on wpół ją objął i kręcili się potem wokółko tak długo, że już i prawidła tańca takiego długiego kręcenia się bynajmniej nie wymagały. Ale parobkowi rozognionemu zabawą i u piersi jego dyszącą piersią Nastki i tego było za mało. Krzyknął na muzykanta, aby do *krucielu* przygrywać zaczął, co gdy on uczynił, puścił się z dziewczyną swoją w ten tańiec szybki i zawrotny, prawie na jednym miejscu odbywany, a przerywany przeshadzką we dwoje do koła izby. Złote włosy parobka rozwiewały się nad jego głową, kosa dziewczyny z czerwoną wstążeczką u końca latała w powietrzu, na szyi jej brzęczały szklane paciorki i przeświecające z za nich poślaczane krzyżyki i medaliki. A gdy, umęczeni zawrotnym okręcaniem się na jednym miejscu, obchodzili do koła izbę, on podnosił wysoko twarz rozpaloną i z błękitnych oczu rzucał snopy wesołych blasków, ona, ramię mu za plecami trzymając, w jednej ręce ścisnęła się jego kapotę, drugą fartuszką pot z twarzy ocierała. W ten sposób dwa,

trzy lub więcej razy, okrążali izbę powoli, miarowym krokiem, od czasu do czasu nogami przytupując, on do młodego dębu, ona do białokorój brzozy podobna! Wszyscy gospodarze zwrócili się już teraz twarzami ku izbie i na tańczącą parę spoglądali. Piotr Dziurdzia, pół czarke wódki jeszcze do ust niosąc, śmiał się swym eichym, piersiowym, poważnym śmiechem; Maksym Budrak, niedbale niby na córkę patrząc, radośnie oczyma błyskał. Mimowoli pewno dwaj sąsiedzi na siebie spojrzeli, porozumieli się wzrokiem i kiwnęli do siebie głowami.

— *Kab* tylko wola bozka była... — wymówił Piotr.

— Czemu niema być woli bozkiej? — odpowiedział Budrak.

Budrakowa, która pomiędzy gospodyniami pod ścianą siedziała i wprzód już wychyliła była czarke wódki, łzawiła się i zroczeniem do sąsiadek mówiła:

— Już ja tego Klemensa, jak Boga kocham, na równi z synami rodzonienkami lubię...

W téj właśnie chwili weszli do karczmy Jakób Szyszko i Szymon Dziurdzia. Nikt na nich uwagi żadnej nie zwrócił. Już z samej odzieży, którą na sobie mieli, poznać było można, że w gromadce ludzkiej, wśród której żyli, najpośledniejsze zajmowali miejsce. Kozuchy ich były stare, bez kołnierzów, aż lśniące od brudu i zniszczenia, obuwie podarte

i od wielu snadź już lat, do zimowych tylko wycieczek w mrozy i śniegi używane, czapki nawet splecione i z podartem w strzępy baraniem oszyciem. A cóż dopiero postawy ich i twarze! Stary Jakób trzymał się wprawdzie prosto i zawsze uroczystą jakby przybierał postawę, ale niski był, chudy, a małemi błyszczącemi oczyma patrzący na świat z pod brwi jakoś, przebiegle i razem nieufnie, z przebiegłym, nieszczerym uśmiechem na starych, zwiędłych ustach. Co do Szymona, tego krok ociężały był i jakby nieśmiały, cera wyżółkła, oczy zaczerwienione i wiecznie mokre, a na całej twarzy miał wyraz zbieżenia, gdy był trzeźwym, a zuchwalej przekory, gdy tylko wódka zaszumiła mu w głowie. Teraz trochę tylko był podpiłym, więc, nikogo nie zaczepiając, chyłkiem prawie i nieśmiało przeszedł karczemną izbę i wraz z Jakóbem wszedł przez wąskie drzwiczki do drugiej, daleko mniejszej izby, będącej mieszkaniem arendarza i jego rodziny. Tam słyhać było, jak głośno i zapalczywie rozmawiali obaj z żydem, wzajem sobie przerywając, popychając się łokciami i co chwila zrywając się do kłótni z gospodarzem miejsca tego, który, głośno i zapalczywie także u obydwoch, szczególnie u Szymona, dopominał się o pieniężne swe należności. Nie przeszkodziło mu to dać im po parę czarek wódki. Szymon, swoje wychyliwszy, płakać zaczął i na gorzką dolę swoją i swo-

ich dziątek wyrzekać, potem jeszcze o jedną czarękę na arendarza zawołał, a gdy ten dać ję na kredyt już nie chciał, głośnie i okropnie przeklinając go, nad plecami i przed twarzą ściśniętymi pięściami mu groził. Żyd ustąpił i dał mu jeszcze wódki, pilnie czarękę każdą krédą na drzwiach zapisując. Szymon wypił, mokre jego oczy rozweseliły się i błysnęły, czapkę aż po oczy na głowę nasunął i zamaszystym, choć razem i niepewnym krokiem z karczmy wyszedł. Przed karczmą, pod gwieździstym niebem stanął i, coś do siebie mrużąc, namyślać się zdawał. Z wielkiem wyteżeniem oczu patrzył w stronę, w której zdaleka szarzało samotne w polu domowstwo kowala i nagle puścił się ścieżką, pod ścianami stodół ku niemu wiodącą. Szedł, to przedko i raźnie, to znowu powoli i ze spuszczoną głową, ciągle do siebie coś niezrozumiałego mrużąc. Parę razy zatoczył się i rękoma opierał o płoty ogrodów, przed kuźnią stanął i namyślał się znowu. Zjęła go trwoga jakaś, bo rękę do czoła i piersi podniósł. Przeżegnał się i jeszcze kilkanaście kroków postąpił. Gdyby był trzeźwym, z połowy drogi wrócił-by niezawodnie, albo-by i całkiem w tamtą stronę nie szedł, ale wódka dodawała mu odwagi a ujmowała rozmysłu. Rękę na klamce drzwi położył i, raz jeszcze przeżegnawszy się, do chaty kowala wszedł. Kowala w domu nie było; Aksena w ten długi wieczór zimowy, ciepłym pieca rozgrza-

na, usnęła na swym sienniku. Nad siwą ję głową sterczała prząsnica ze złotawą kądzielą, tylko co upuszczone wrzeczono na szorstkię nitce zwisało z pieca, pod ramionami ję nakształt skrzydeł rozwartemi, skurczone, jak zziębłe ptaszyny, spały dwie małe, rumiane prawnuczki. Izba napełniona była półmrokiem i ciszą, palący się w piecu ogień krzesał błędne światelka w szybach okien, na których mróz wyrzeźbił sploty kryształowych i lśniących liści. Przed ogniem, na stołku siedząc, Pietrusia doglądała gotującej się strawy i zarazem odzież rodziny naprawiała. U stóp ję leżało kilka dziecięcych koszulek; na kolanach trzymała sukienny spencer męża, zszywając i przymocowując zdobiące go taśmy zielone. Kilka ubiegłych miesięcy zmieniło nieco wyraz ję twarzy, wąskiemu czołu odebrało jego dawną jasną pogodę, a w zarys ust wlało cichy lecz rzewny smutek. Świeżą jednak była jak wprzód, i jak wprzód z rumieńców ję twarzy i kształtów kibici, były młodość i siła. W twardém suknie grubą igłę zatapiając i wysoko podnosząc rękę z długą nitką, półgłosem, na przewlekłą nótę śpiewała chłopską, posępną balladę:

Matka syna z cicha naucza:

„Czemu ty synku żonki nie karajesz?...”

„Oj maju, maju nahajku małuju.

I budu karaci żonku maładuju.”

Z wieczora kamora krykom zazwinią,

A z północy pościel hromko hawaryła,
A świtajuczy Hanulka nie żyła..

Tu śpiewaczka umilkła na chwilę, igłę nawlekła, w ogień szaremi oczyma popatrzała i, znowu nad szyciem schylona, dalej przewlekłą nutę zawiodła:

„Oj maci, maci padnica u chacie,
Poradzi ciepier hdzie żonku chawaci?”
„Zawiezi Hanulu u czystoje pole,
Skażut ludzie szto Hanula pszenicu pole,
A sam skaczi na torh do Janowa...”
W Janowie braty Hanuli pochadzajuc
I u swagra siostry swajej pytajuc:
„Hdzie Hanulu siostru naszu podzieu?”
Pryjechau do domu, „Sługi najmilejsze,
Padajecie konie mnie najworoniejsze,
Pajedu ja do Hanuli w pole,
Podajcie mnie skrypku hromku,
Zahraju ja swaju dolu horku...
Bodaj ty matko...

Z przeciagłém skrzypnięciem otworzyły się drzwi izby, Pietrusia śpiew swój przerwała i, głowę odwróciwszy, zobaczyła wchodzącego Szymona. Znała go dobrze i nie zdziwiła się, że tu przyszedł. Może z interesem do męża jej przyszedł. Uprzejmie skinęła głową.

— Dobry wieczór, Szymonie. Jak się macie?

Nie odpowiedział nic, tylko, uczyniwszy kilka

chwiejnych kroków, wprost przed nią stanął i z otworzonymi ustami wpatrywać się w nią zaczął. W bladych jego oczach tak mieszały się z sobą wyrazy ciekawości i trwogi, dzikiego pożądania i pijanego rozczulenia, że wyglądał z tém trochę strasznie i trochę téż śmiesznie. Z otwartych ust jego, w samą twarz kobiety zionęła woń wódki. Ręce w rękawy kożucha wsunął i z pomieszaniem trwożliwości i zuchwalstwa zaczął:

— Pietrusia, ja do ciebie z prośbą...

— A czego chcecie? — zapytała.

— *Kab ty mnie hroszy pożyczyla...* Do *mirowego* dziś na sądy chodził... Długi, *każe*, zapłacić trzeba... Ziemię sprzedadzą, *każe*... Nie sprzedadzą, mówię, bo nie wykupiona, od rządu znaczy nie wykupiona. A on, długi popłacić, *każe*... ja do starszy...

Tak prawił przez długie minut kilka, po wiele razy jedno i to same powtarzając, ona słuchała go cierpliwie, szyciem swém zajęta, nakoniec podniosła głowę i zapytała:

— To i cóż ja tobie, Szymonku, poradzić mogę?

— *Hroszy* pożycz, — przystępując bliżej, powtórzył chłop.

— Niéma, dalibóg niéma, a zkład u mnie *hrosze* mogłyby być. Wszyscy wiedzą, że do mężowskiéj chaty w jednéj spódnicy, *taj* w podartym kaftanie przyszedł... i *on* nie ma, pobożę się, że nie ma. Do-

statek w chacie, chwała Bogu, jest, ale *hroszy* niéma... My jeszcze *młode* oboje... kiedyż nam było *hrosze* zbierać?

— Kłamiesz! — zawarczał chłop, — *hroszy* ty majesz pod dostatkiem, tyle majesz, ile ich twoja dusza zażąda.

I burkliwy ton na proszący zmieniając, dodał:

— Pożycz, Pietrusia, zlituj się, pożycz... co tobie szkodzi? jak ty *przyjacielu* swema powieśz, żeby tobie więcej przyniósł, to zaraz i przyniesie...

Oczy kobiety ze zdumieniem utkwily w twarzy chłopca, którą wódka i wzruszenie, zabarwiać zaczęły ceglastym rumieńcem.

— Czy ty *sfiksowałaś*? (zwaryował) — przemówiła... — Jakież to mój przyjaciel taki, żeby mnie *hrosze* według żądania nosił?

Szymon do czoła rękę podniósł, jakby przeżegnać się zamierzał, zarazem, głosem niższym od trwogi, z głupowatą miną wymówił:

— A czort-że? ha? albo to on tobie *hroszy* nie nosi, ha?

Na te słowa, kobieta jak oparzona ze stołka się zerwała, oczy jej otworzyły się szeroko, ręce giętem obronnym przed siebie wyciągnęła.

— Co ty wygadujesz? — krzyknęła — człowieku, upamiętaj się i Boga w sercu miej...

— A *taki* nosi... — przystępując bliżej jeszcze

i oczu z niej nie spuszczać, nalegał chłop. Ona śpiesznie i bardzo głośno mówiła.

— Ja w kościele ochrzczona! Mnie codzień na noc krzyżem świętym żegnali! ja grzechem śmiertelnym nijakim duszy swojej nie zgubiła.

— A taki nosi! — tuż przed nią już stojąc, powtórzył chłop, — ja sam dziś widział, jak on, ognisty taki, przez komin do twojej chaty wlatywał...

Tym razem, szeroko otwartych oczach kobiety, błysnęło przerażenie.

— Kłamiesz! — krzyknęła i czuć było, że pragnęła namiętnie, aby zaprzeczył zaraz temu, co powiedział. — Kłamiesz! powiedz, że skłamała!

— Dalibóg, widział...

Pięścią uderzył się w piersi i znowu zaczął:

— Pożycz, Pietrusia, zmiłuj się, pożycz... Już ja i na czortowskie *hrosze* zgadzam się, byle z tej gorzkiej biedy wyléźć... daj choć czortowskich... — Następował na nią, popychał ją sobą ku ścianie, ziejając wonią wódki, twarz swą, do samej twarzy jej przysuwał.

— Ja do ciebie, jak do matki... Pietrusia, choć ty wiedzma, ale ja do ciebie jak do matki... ratuj... niech już i na mnie ten wielki grzech spadnie... podzielim się z tobą i *hroszami* i grzechem... Ja do ciebie jak do matki i opiekunki... choć ty wiedzma, ale ja do ciebie jak do tej opiekunki...

Gniew, przestach, wstręt do pijanego tego czło-

ka, który nalogiem swym żonę i dzieci w nędzy po-
grązał, a nad jęj dachem latających dyabłów spo-
strzegął, ogarnęły Pietrusię i obudziły w nią całą
niepospolitą jęj siłę. Z iskrzącemi się oczyma, no-
gą w podłogę uderzyła i krzyknęła: — Won! — za-
razem chłopą za kózuch pochwyciła i, drzwi otwo-
rzywszy, do ciemnej sieni go wypchnęła. Nie było
to rzeczą zbyt trudną. Chłop bardzo słabo trzymał
się na nogach. W ciemnej sieni zatoczył się aż do
drzwi podwórzowych i ztamtąd jeszcze zawołał:

— Nie dasz? *taki* nie dasz *hroszy*?

Ale żona kowala na żelazną zasuwkę drzwi sie-
ni zamknęła. Chłop pod zamarłe okno podszedł
i tam to wykrzykiwał, to mruczał:

— Ja do ciebie... wiédźmo ty... jak do matki...
daj *hroszy*... *zlitujśia*... choć i czortowskich daj... Nie
dasz? *taki* nie dasz? Pietrusia! słyszysz? *Mirowy*
każe, długi popłacić trzeba... ja do starszyny...
Starszyna każe, ziemi nie sprzedam, ale gospodar-
stwo sprzedam... w jednych koszulach zostaniecie...
oj, *horkaja* dola moja i dziełek moich. Pietrusia sły-
szysz? daj *hroszy*... co tobie szkodzi? Przyjaciel
twój nanosi tobie znów, wiele żadasz... Nie dasz?
taki nie dasz? No to poczekajże, dam ja tobie, zgu-
biona dusza twoja... niewierna... nieprzyjacielu boz-
kiemu zaprzędana... popamiętasz!

Poszedł ścieżką ku karczmie i wsi, a idąc zwol-
na i chwiejnie, pięście ścisnął, w powietrzu niemi

miotał i wciąż z wykrzykami gniewnemi, to z po-
sępném mruczeniem do siebie, mówił:

— Nie dała! *taki* nie dała! zgubiona dusza jęj...
Pannu Bogu niewierna... nieprzyjacielu bozkiemu za-
przedana... dam ja jęj... popamięta...

Od paru już miesięcy, Pietrusia do wsi nie cho-
dziła. Strach ją przejmował, gdy myślała o spotka-
niu się z ludźmi i babka parę razy powtórzyła jęj
zlecenie, aby cicheńka była, jak rybka na dnie wo-
dy. Jednak, w tydzień przeszło po owych szcze-
gólnych odwiedzinach Szymona, wypadła jęj potrze-
ba konieczna do Łobudów pójść. Szło o *talki*, które
dla Łobudowej uprzedła Aksena, a które koniecznie
odnieść wypadało, aby dłuższém ich zatrzymywa-
niem wyrzutów, lub i posadzeń nie ściągnąć.
O zmroku, gdy kował pracował, w kuźni Pietrusia
do babki rzekła:

— Pójdę, babulo, dziś już koniecznie do Łobu-
dów, pójdę.

Stara przemilczała chwilę, jakby jęj to postano-
wienie wnuczki do smaku nie przypadało, potem je-
dnak odrzekła:

— Idź, kiedy już trzeba... tylko tam ludziom
nie nasuwaj się na oczy... za gumnami przejdź.

— Za gumnami przejdę — powtórzyła Pie-
trusia.

Siermięzkę i trzewiki włożyła, chustkę na gło-
wę zawiązała i poszła. Aksena z dziećmi na piecu

pozostawszy, w zupełnej prawie ciemności bajkę o smoku opowiadać zaczęła. Była to bajka długa i straszna, po której nastąpiła inna, tak śmieszna, że dwoje starszych aż zachodziło się od śmiechu i najmniejsza, Helenka, śmiała się także, choć jeszcze dobrze zrozumieć jej nie mogła. Malutki Adamek zaskwierczał w kołysce, Aksena Stasiukowi rozkazała, aby z pieca zlaźł i brata kołysał, dziecko zsunęło się z pieca, wgramoliło się na tapczan, przy którym stała kołyska i wkrótce po ciemnej izbie, miarowy tentent biegunów, zawtórował chropowatemu głosowi baby, opowiadającej trzecią już bajkę. Wtém, pod oknami i w sieniach dał się słyszeć tentent szybko biegnących stóp, drzwi otworzyły się z trzaskiem i otwartemi snadź pozostały, bo do izby wionął strumień mroźnego powietrza, zarazem, wśród ciemności rozległ się krzyk głuchy, rozpaczą czy trwogą zdławiony.

— Jezu! ratujcie! ja nieszczęśliwa! biją już! kijami biją! Boże mój miłosierny.

Był to głos Pietrusi, która widać całém ciałem osunęła się na podłogę, bo pośrodku izby coś mocno stuknęło. Jednocześnie Aksena, która na kilka sekund oniemiała, trzęsącym się głosem przemówiła. — A tobież co, Pietrusia? a tobież co? Niech Pan Bóg zmiłuje się nad nami! co tobie?

Krzykiem i stukiem przestraszona, trzyletnia Helenka wrzasnęła płaczem, ciszej nieco zawtóro-

wał jej Adamek. Przez wrzaskliwy płacz dzieci przebił się głos ślepej baby, donośny, nakazujący.

— Nie *fiksuj*sia, (nie waryuj) Pietrusia. Światło zapal. Dzieci po ciemku płaczą.

Ciężko, że zdławionemi jękami kobieta podniosła się z ziemi, a gdy światło rozniecała i palące się łuczywo w szczelinę pieca wsuwała, ręce jej trzęsły się jak w febrze. Przy drżącym blasku powstającego ognia, twarz jej z wyrazistością rzeźby wystąpiła na szare tło izby, blada jak płótno, z czołem ściągniętém w kilka fałd grubych, z oczyma buchającymi płomieniem. Chustka spadła z jej głowy, splecione włosy okryły szyję i jeżyły się nad czołem, dwie tylko łzy świeciły na jej rzęsach, ale głębokie łkania wstrząsały ustami i piersią. Światło zapaliwszy, obu rękoma schwyciła się za głowę i jak nieprzytomna po izbie biegać zaczęła. To z szeroko rozwartemi oczyma i rękoma nad głową, po środku izby stawiała, to twarzą rzucała się na stół albo ławę, to do pieca przypadała i ku babce błagalnym jakby giestem, obie ręce wyciągała wysoko. Przytém mówiła ciągle, tak jak się mówi w gorączce, prędko, bezładnie, z nagłemi krzykami, to znowu ze znizeniem głosu aż do szeptu. W ten sposób opowiadała rzecz, której słuchając, Akse- na na swym sienniku prostowała się jak struna, żółtymi szczękami coraz prędzej poruszała, a koscianemi rękoma bezwiednie może szukała głów

małych wnuczek, które, mileżące już, przelekłe, same się pod te ręce i do jej piersi przysunęły. Opowiadała, że do Łobudów zaszła szczęśliwie, *talki* oddała, wszystkim pokłoniła się pięknie, ale w rozmowę się nie wdając, zaraz nazad tą samą drogą poszła. Na tej drodze czatowali na nią ludzie, którzy snadź już wiedzieli, że ona tamtędy, od Łobudów wracając, iść będzie. Czatowali na nią za płotem ogrodu, za niskim płotem, przy którym, gdy przechodziła, ktoś ją kijem w plecy uderzył raz i drugi, a tak mocno, że aż na ziemię upadła. Ten, kto uderzał, był Szymon Dziurdzia, bo go dobrze choć w zmroku poznała, ale za Szymonowemi plecami rozległ się śmiech Stepana a Paraska, Szymonowa żonka, cościś o pieniądzach i kupnej spodnicy zagadała, i Rozalka przeklinała i wiedźmą ją nazywała i jeszcze ze dwoje ludzi śmiało się i gadało, ale ona już nie wie kim byli, bo zerwała się z ziemi i co sił dalej pobięła. A oni przez płot na ścieżkę przeleźli i ku karczmię sobie poszli, nie uciekając po mału, jakby nic. Bill! kijami już bić zaczęli! co ona pocnie? Za co to na nią przyszło?

Plakała teraz rzewnemi łzami, ręce łamała, wiadać było, że trwoga straszna mąciła jej rozum i odbierała wolę. Na piecu zaszemrał szept staryj.

— Parobku Prokopku... oj, parobku Prokopku... czemu ja sobie teraz gadanie i lzy matki twój Prokopichy, znów przypomniała?

Białe oczy pośród żółtej twarzy szerzej rozwarła i tym samym co wprzód nakazującym głosem przemówiła:

— Klęknij i pacierz głośno mów...

Rozkazywała tak, jak gdyby wnuczka jej małutką jeszcze dziewczynką była, a ona słuchała też jej jak dziecko. Wnet ukłękła.

— Nie tak — przemówiła stara — nie tak. Helenkę z pieca zsadź, Adamka na ręce weź, starszych do siebie zawołaj... ogarnij dzieci rękoma i Najwyższemu Bogu je pokazuj... Pacierz mów i dzieci Bogu pokazuj... Ty matka... niech Bóg Najwyższy lituje się nad dziećmi...

Z senném niemowlęciem na jedném ramieniu a drugiem ogarniając małego chłopca i dwie mniejsze oden dziewczynki, młoda kobieta klęczała pośrodku izby, a słowa modlitwy ze zmaconej pamięci jej uciekały i na drżące usta nie przychodziły. Słepa baba chropowatym swym i trzęsącym się głosem zaczęła.

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiach, *świaćśia* imię twoje, *przyjdź* królestwo twoje, *budź* wola twoja...

Wtorował jej słaby zrazu, potem coraz wyraźniejszy głos młodej kobiety. Jednogłośnie, żarliwie wymówiły: *Amen*, poczem stara wyrzekła:

— Nu, wstań! może Pan Bóg Najwyższy posłyszał...

Ciszej dodała:

— I dzieci zobaczył...

Chwilowa cisza zapanowała w izbie. Pietrusia niemowlę do kołyski kładła, starsze dzieci skupiły się w kącie izby, tak szczerlnie jedno do drugiego przytulone, jak przestraszona trzódka owiec.

— Gdzie Michałek? — zapytała Aksena.

— W kuźni.

— Nie wie, co tobie *przytrafiło* się...

— A nie wie...

Parę miesięcy temu, z żalem swym i strachem, tak jak z radością i weselem, biegła-by wprost do męża, przedewszystkiem i bez namysłu biegła-by do niego. Ale teraz! o! z inném on już sercem dla niej niż dawniej... Nie można już jęj ze wszystkiém do niego biedz. Wiara jęj w jego lubienie przepadła, codzień więcęj przepadała, a tam gdzie była jęj słodycz, robiło się tak gorzko, jak-by ją naprzykład przysypał ktoś garścią piekącej gorczycy.

— Chodź do mnie, *ditia*, pogadamy...

Od kołyski odeszła, na tapczanik wskoczyła a zamtąd łatwo już jęj było na brzegu pieca usiąść. Siedziały naprzeciw siebie; białe oczy ślepej baby zdawały się z wyczerpaniem wpatrywać we wzburzoną i splakaną twarz młodej kobiety. Po dość długim namyśle, Aksena zaczęła.

— Pietrusia! toż to jutro wielkie święto.

— Ale, babulo.

— Toż to Niepokalane poczęcie Przenajświętszej Maryi Panny, wielki fest w kościele i wielki targ w miasteczku.

— Ale, babulo.

— W kościele odpust święty a na targu będzie *narodu* ehmura. I z Suchej Doliny gospodarze pojedą do kościoła i na targ.

Znowu dość długo milczała, myśli swe i plany jakieś, zdając się żółtemi szczękami przeżuwać.

— Posłuchaj — rzekła — już tobie niema innego ratunku, tylko do Pana Boga udać się i u niego o świadectwo przed ludźmi poprosić. Niechaj o tobie Pan Bóg zaświadczy, żeś nijakim grzechem śmiertelnym duszy nie zgubiła. Do kościoła idź, przed Panem Jezusem krzyżem leż, spowiadaj się i komunią przenajświętszą przyjm... Słyszysz?

— Słyszę, babulo, dobrze babulo, zrobię jak doradzacie.

— Ale. Jak wypowiadasz się a od księdza komunię przenajświętszą przyjmiesz i sama pocieszysz się i ludziom wszystkim pokażesz, że nieprzyjaciółką boską nie jesteś. Niechaj zobaczą, że, do Pana Boga, krzyżem leżąc, modlisz się i że tobie ksiądz komunii przenajświętszej nie odmówił. Kiedy to zobaczą, poznają, że ty nie taka, jak oni wymyślili i że śmiertelnego grzechu, ani żadnego ważnego przestępstwa na tobie przed Panem Bogiem niema. Pan Bóg Najwyższy sam tobie dobre świadectwo wyda...

— Dobrze, babulo, dobrze — znacznie uspokojona powtórzyła Pietrusia i, zmęczoną głowę na kolana babki pochylając, kościaną rękę jej pocałowała. Ona tą ręką zaczęła ją po włosach gładzić. Milczały obie. Potém młoda kobieta ozwała się znowu.

— Franki poproszę, aby chaty i dzieci dopilnowała i strawę zwarzyła, a sama o świtanu do miasteczka pójdę.

— Może i Michałek pójdzie?

— Pewno nie pójdzie. Do dworu tego pójść jemu trzeba, z którego tę dużą robotę ma wziąć.

— Dobrze było-by, żeby poszedł. Razem by pomodlili się i wypowiedali, żeby dawniejsze dobro wróciło...

Znowu milczały, w myślach pogrążone. Dzieci w kącie szeptać pomiędzy sobą zaczęły i z głośnym chrupaniem jeść surową brukiew, którą Stasiuk gdzieś w sieni zarzuconą znalazł. I nikt nie zwrócił uwagi na mężkie kroki, które ozwały się za drzwiami. Kował do izby wszedł, a Pietrusia, wtedy dopiero głowę z nad kolan babki podniosła. Na twarzy Michałka nie malowała się już uprzednia wesołość bez troski, ni cienia. Niezadowolone i niepokój przyćmiewały blask jego czarnych oczu, wargi pod czarnym wąsem nieco wydęte objawiały skłonność do wyrzutów i gniewu. Dzieci, które rzuciły się ku niemu po gło-

wach pogłaskał i, obejrzawszy się po izbie, zdziwionym głosem zawołał.

— A też co? toż to wieczery jeszcze i zawodu (zaczętku) niema!

Istotnie, smołniak tylko rzucał na izbę skąpe i chwiejne światło, w czarnym, głębokim otworze pieca, ognia nie było.

— O, Jezu! — z pieca zeskakując, krzyknęła Pietrusia — toż to ja dziś o wieczery zapomniałam, na śmierć zapomniałam!

I z takim pośpiechem, że aż ręce jej drżały poczęła ogień rozniecać i w garnki nalewać wodę. Pierwszy to raz w życiu zdarzyło się jej o domowych zajęciach zapomnieć a przyczyny zapomnienia tego mężowi powiedzieć nie mogła. On też o nią nie pypytywał. Usiadł na ławie i rzekł tylko.

— Już chwala Bogu o jedzeniu dla męża zapominasz, a dzieci surową brukiew z twojej łaski gryzą... jakby im żebrak jaki był ojcem.

Wziął na kolana Stasiuka, brukiew mu z rąk odebrał i w kąt izby ją cisnął. Wymówka którą uczynił żonie ostrą nie była, ale kobieta wołała-by może, aby się rozgniewał, a potém znowu przyjaźnie do niej zagadał. Ale on już do niej nie przemówił więcej i tylko do dzieci odzywał się czasem. Śpieszyła z wieczrą, krupy do garnka sypała, jaj trochę przyniosła i urządzać zaczęła jajecznicę ze słoniną, aby móżdż jak najprędzej

cokolwiek mężowi podać. Aksena, do męża wnuczki, kilka razy zagadywała: a co dziś w kuźni robił? a kogo widział? A czy jutro na fest pojeździe? On zbywał ją zawsze parą słowy, w których ani niegrzeczności, ani też życzliwości nie było. Jeżeli co mówił, to ot tak, byle zbyć z tartagnieniem i mruklawie. Pietrusia, zapalając lampkę, urządzając a potem i podając wieszczkę, ruszała się żwawo, pośpiesznie, a jednak wyglądała jak nieżywa. Z ust ani pary nie wypuszczała, choć jej był cichy i lękawy; przed mężem stając, powieki spuszczała. Widać było, że gdy on na nią patrzył, drętwiała cała z bojaźni. Wiedziała przecież dobrze, że bić jej ani nawet lać nie będzie. Czemuż więc lękała się? Może spójrzenie jego, które, gdy na nią patrzył, stawało się dziwnie przenikliwem, czasem rozgniewanem, a czasem tak smutnem, że, dostrzegłszy je, płacz powstrzymywać musiała. Coś pomiędzy nimi murem stało. Ona dobrze wiedziała, co to było. Jako rzemieślnik bardzo przez ludzi używany, Michałek, ciągle z ludźmi się widywał i bywał wszędzie, gdzie oni bywali, i słyszał wszystko, co oni mówili. Ciekawy i rozmówny, tyle zawsze o wszystkiem wiadomości posiadał, że niektórzy, śmiejąc się, mawiali o nim, iż słyszy jak trawa rośnie. Słyszał więc témbardziej to, co tyczyło się jego żony i domu. Raz w bójkę, a kilka razy

w srogą kłótnią wprowadziły go te gadaniny ludzkie o Pietrusi. Potem już kłócić się przestał i głuchego udawał, ale co działało się w jego sercu, to zdradzały wyraziste rysy jego twarzy i wypowiadały wyraziste także, skrytości nie nauczone, oczy. Miał wiele ambicyi; przez nią to głównie tak gorliwie pracował, chatę swą przyozdabiał i wszelkim dostatkiem napełniał, o oddaniu kiedyś Stasiuka do szkoły, marzył. A tu, spotykał go wielki wstyd! Przypomnienie, kto wie, jakie tam jeszcze przypomnienia i powątpiewania po myśli jego błądziły? Wierzyć, nie wierzył w prawdę tego, co ludzie o żonie jego gadali; przecież patrzył na nią tak, jakby ją wzrokiem na wskrós przeniknąć pragnął, a zbliżenia z nią, jakby instynktem jakimś od niej odpychany, unikał. Czasem przecież tklivość jakaś podnosiła się mu z serca do gardła i oczu, a wtedy stawał się taki smutny, jakby z ojcowskiego pogrzebu powracał. Nigdy jednak okazać tego nie chcąc, stosownie do pory, w której się to zdarzało, albo z domu wychodził, albo co najprędzej spać się kładł. Teraz, Pietrusia, jajecznicę na stole postawiwszy, stanęła na przeciw niego i ze spuszczonej powiekami czekała, aby jej sobie na talerz nabrał, resztę chcąc dzieciom i babce rozdać. On, cynową łyżką w misce napełnionej jajecznicę pograżając, utkwiał w nią wzrok, przenikliwy i razem trochę żalony.

— Oj, Pietrusia! Pietrusia — kiwając głową, zaczął — co tobie stało się? do czego ty teraz podobna? Włosy masz takie rozczochrane, jak żebyś z kim biła się, a oczy spuchnięte od płaczu. Czego płakałaś? ha?

Nie, nie odpowiadając, odwróciła się prędko i stanęła przy ogniu, plecami do niego zwrócona. To milczenie, którym odpowiadała na serdeczniejsze pytanie jego, obrazilo go widocznie, bo gdy mu chleba pod ręką zabrakło, podniesionym i grubym głosem krzyknął...

— Chleba daj! słyszysz? Czego tam stoisz z opuszczonemi rękoma, jak pani jaka!

A gdy oddała mu żadaną usługę, krzyknął znówu:

— Dzieciom daj jeść! Nie żebraki one, żeby, przez ezort wie jaką matkę, do północy głodne być musiały.

Była to już obelga i najboleśniejsza, bo matczyńskiemu sercu jej zadana, a ona i na to nie odpowiedziała nic. Jedzenie babce i dzieciom rozdała, naczynia od wieczery wymyła i na półce postawiła, stół starła, smolniak i lampę zgasiła i, na tapczaniku usiadłszy, nad kołyską schyliła, Adamka, który obudził się, piersią swą nakarmiła. Ogień w piecu palił się jeszcze trochę i w izbie panowało ruchome pół światło. Aksena na swym sienniku nieruchomo u wierzchołka pieca leżała. Spała, czy

nie spała, ale milcząca i nieruchoma leżała. Dzieci natychmiast po wieczery usnęły. Michałek spać nie szedł. Przy wieczery jadł dużo, potem, na stole rozparty, papierosy jeden po drugim palił, parę razy nawet zagwizdał coś sobie pod wąsem. Na pozór więc, nie dolegało mu nic. Jednak do snu zabierać się ani myślał. Papierosy wciąż palił i z czołem na dłoni opartym dumał. Pietrusia kołyskę poruszać i niemowlęciu do snu nucić zaczęła. Nie śpiewała, ale nuciła półgłosem, na nutę monotonną, przewlekłą, która, w głębokiej ciszy i chwiejnym półświecie, płynęła i kołysała się jak smutna, nieśmiała fala. Niemowlę usnęło, kobieta wstała z tapczana i bosami nogami, cicho do męża podeszła. Cicho też przemówiła.

— Michałek!

— Ha? — głowę z nad dłoni podnosząc i na nią patrząc, zapytał.

— Ja chcę jutro o świtanu do miasteczka iść...

— Czego?

— Do kościoła na odpust. Frankę poproszę, aby chaty i dzieci popilnowała.

Patrzył na nią ciągle, ale wyrazu oczu jego w zmroku widzieć nie mogła.

— Czemuż to tobie tak do kościoła zachciało się? — zapytał.

Po chwilowém milczeniu odpowiedziała.

— Wyspowiadam się i komunię przynajświę-

tszą przyjmę. Niech mnie sam Pan Bóg Najwyższy przed ludźmi dobre świadectwo wyda...

Łkania powstrzymywała i łzy, które gradem stoczyły się na policzki fartuchem otarła.

— Znów płaczesz — zauważył Michałek — ot plaksiwa ty teraz zrobiła się... ze wszystkiém nie taka jak była...

— Nie taka — powtórzyła kobieta, a po chwili nieśmiało dodała. — I ty nie taki jak był...

— A nie taki — potwierdził mąż.

W krótkich tych słowach, któremi wspólnie zeznawali przed sobą zepsucie się szczęścia dawnego, brzmiała głęboka żalność. On wciąż przyglądał się jęj bacznie.

— Taki doprawdy wypowiadasz się jutro i komuniją przenajświętszą przyjmiesz?

— A jakże — odpowiedziała i zrobiła ruch do odejścia. Ale on na nią zawołał.

— Pietrusia.

— A co?

— Siadaj przy mnie, pogadamy.

Zdziwiona i nieśmiała usiadła przy nim na brzegu ławy. On mówić zaczął.

— Posłuchaj, Pietrusia. Czy to my już zawsze tak z sobą będziemy żyć, jak te nieme stworzenia... Tego tylko braknie, żebyśmy zaczęli takie zgorszenie i taki śmiech ludziom robić, jak nie przymierzając Stepan Dziurdzia i jego żonka... Tak nie mo-

żna, Pietrusia. Tak nie trzeba. Ty matka dziec i ja ciebie szanować muszę...

Śluchała go tak chciwie, jakby każde słowo jego wyrokiem dla niej być miało, a gdy umilkł ręce na fartuchu rozłożyła i szepnęła:

— To i cóż ja zrobię, kiedy ty, Michałku, lubię mnie przestał...

Wymówiwszy to, widocznie na odpowiedź, z przyspieszonym oddechem czekała. Ale kował nie odpowiedział nic. Sapnął głośno, westchnął, kawałek niedopalonego papierosa na środek izby rzucił i, znowu głowę ręką podparłszy, milczał. Wtedy ona, nie doczekawszy się zaprzeczenia słów, które wymówiła, ze stłumionym jękiem osunęła się na ziemię i namiętnym szeptem mówić zaczęła.

— Michałku, lubku, już ja dawno widzę, że ty mnie lubić przestał, że ja tobie zrobiłam się nie-miła, że ja tobie jestem ot tak, jak ten ciężki wór na plecach, albo ten kamień, żeby go do nogi przywiązać... Niema twojej wesołości! niema twego gadania! niema twego śmiechu! Żalony ty czasem taki, że kiedy na ciebie patrzę, wołała-bym już pod ziemią leżeć... Żałuję ja ciebie więcej jak życia własnego i nie chcę, żebyś ty przeze mnie marnie przepadał... kiedy ty mnie nie lubisz, to pójdę ja sobie z chaty, od ciebie, w szeroki świat pójdę, dokąd oczy poniosą... Babuli tylko do śmierci dopatrzysz... nie dużo już jęj na tym świe-

cie przebywać zostało i jedno dziecko wziąć mnie pozwolisz... na pamiątkę, oj, na pamiątkę jedyną! Jak babula ze mną kiedyś po świecie chodziła, taj na nas dwie pracowała, tak i ja z dzieciątkiem swoim chodzić będę, taj na oboje nas zapracuję... A jak zajdę gdzie daleko, het daleko, aż na skraj świata, to i wieść o mnie na zawsze przepadnie, ludzie pomyślą, że już między żywymi mnie nie ma, a tobie wolno będzie wziąć sobie żonkę inną i gospodynią inną i wszystko sobie według woli robić... Lubku, Michalku, pójdę ja sobie od ciebie, pójdę ja sobie z chaty od ciebie, na skraj świata pójdę, z jednem dzieciątkiem swoim... kiedy ty mnie już nie chcesz... oj pójdę...

Mówiąc to kolana jego obejmowała i czoło ku nim schylając, usta do nich pocałunkami przykładła. Ale gdy czasem głowę podniosła, to na jej twarzy, pomimo niezurtowanego żalu, tyle małoowało się szczerości i siły, że zdawać się mogło, że ot, zaraz, zaraz zerwie się z ziemi, dziecko którekolwiek w ramiona pochwyci i z chaty wybiegnie... Nie zerwała się jednak z ziemi sama, lecz podniosły ją i na ławie posadziły dwa mężkie ramiona. Ramię jej, jak w kleszczach, w ogromném ręku swém ściskając i widocznie zmuszając się do śmiechu, kował mówić zaczął:

— Co ty pleciesz? co ty wygadujesz? Ej, jaka duża czysta waryatka! Z chaty ona pójdzie! na

skraj świata pójdzie! Albo to ja puścił-bym ciebie z chaty! Ot prędjéj rozstał-bym się z tém życiem...

W mgnieniu oka u szyi jego uwisła.

— To ja tobie widać nie bardzo niemiła...

— Ty mnie tak samo miła jak wprzód...

Przy padającéj na nich smudze bladego światła, w twarze sobie zbliżka popatrzali. Ona zebrała, że to, co powiedział prawdą było i oczy jej oschły z łez, zaświeciły, stały się znowu takie wesołe, szczere i wymowne jak dawniej.

— Oj ty, ty pleciucho! czy ty myślisz, że ja łotr jaki albo rozbójnik, żebym tak już od razu wszystkiego zapomniał i serce odmienił? Czy ty u cudzych ludzi horując i ludzkie pośmiewisko znosząc sześć lat, na mnie nie czekała i dla mnie bogatym gospodarzem nie wzgardziła?

— Ale — szepnęła kobieta.

— Czy ja ciebie zbrudzoną wziął albo jakkolwiek upośledzoną? Czysta ty była i bez plamy niejakiéj, jak ta szklanka w krynicznej wodzie wymyta, hoża ty była i wesołka, jak ten ptak, pod niebem latający...

— Ale...

— Siedm latek ja z tobą żył i aż póki na nas nieszczęśliwe czasy nie przyszły, jednego smutnego

dnia nie przeżył, złości na twojej twarzy nie widział, złego słowa od ciebie nie słyszał...

— Ale...

— Dzieciak ty mnie czworo urodziła i z pilnością hodowała, gospodarstwa strzegła i rąk nie zakładała, dostatku wszelkiego przynależając...

— Ale...

— Nu, to widzisz! dlaczegoż-bym ja ciebie lubić przestał? Oj, ty głupia! z chaty ode mnie iść chciała... a ja by za tobą poszedł, dogonił i wtedy-by już wybił... dalibóg, wtedy, wtedy to już był-by tobie *szabas*! wybił-bym, nazad zawrócił i w chacie posadził. Siedź, babo, kiedy ci dobrze! Ot!

Wraz z ostatnim wyrazem rozległ się po izbie głośny pocałunek. W same usta ją pocałował, w pól objął i zapytał.

— Nu, teraz mów, czego dziś tak płakała, że aż oczy zapuchły? Czy znowu ci kto co przykrego zrobił? ha?

Upewniona, że lubi on ją tak jak i dawniej, z oczyma błyszczącymi od szczęścia, chwilę jeszcze wzbraniała się ze zwierzeniem. Ale stare przyzwyczajenie mówienia mu wszystkiego przemogło, ręką twarz ze wstydu zakrywając, ale już nie płacząc, opowiedziała mu swoją straszną, dzisiejszą krzywdę. Michał z ławy się zerwał i pięścią w stół grzmotnął.

— Zabiję! — krzyknął — na śmierć łajdaków tych zabiję! Czego oni do ciebie przyczepili się, lotry te, chamy...

Chamami chłopów nazywał, jakby sam nie był chłopem... Istotnie, miał siebie za coś już nieco wyższego nad sferę, do której z urodzenia należał. Pietrusia przyczepiła mu się do ramion, błagając aby nikogo nie bił i nawet nie zaczepiał. Z żyłą na czole nabrzmiałą i błyskawicami w oczach siadł na ławie, sapał, papierosa z porwczemi giestami rąk zapalał. Potem kłęby dymu z ust wypuszczając, sarkał jeszcze.

— Durne chamy! żeby w takie głupstwa wierzyć! ja nie wierzę, dalibóg nie wierzę żeby na świecie jakie wiedźmy były... Czasem i mnie przechodziło przez głowę, że to może być prawda... zwyczajnie... pomiędzy głupimi i najmądrzy człowiek czasem zgłupieje... Ale *taki* wiem dobrze i rozu miem, że to wszystko bajki. Ciemny *naród* i koniec! To swoją drogą a bieda swoją drogą! I wstyd, wstyd mnie jak pijakowi, albo oberwańcowi jakiemu bić się z chłopami po karczmach i drogach a i nie to nie pomoże... Durniom głupoty ich z głów nie powybijasz, żebyś nie wiem jak bił... Co tu robić?

— Jutro przed wszystkimi wypowiadam się i komunią przenajświętszą przyjmę, — szepnęła Pietrusia.

Michał ręką machnął.

— Co to pomoże? jeden zobaczy, a drugi na odpuście w ścisku, i nie zobaczy. Kto był ze złą wolą dla ciebie i z zawiścią, ten tak i pozostanie. Zmarnujesz się w dokuczaniu ludzkiem, a jeszcze kiedykolwiek znów cię tak skrzywdzą, jak ot dziś... Niech Pan Bóg brani...

Ręką sobie mocno twarz całą przetarł, a potem nad głową włosy rozrzucać zaczął.

— Chyba zabrać się, chatę i gospodarstwo rzucić i w świat iść... — zamruczał.

— Chatę i gospodarstwo rzucić! — krzyknęła Pietrusia.

— To cóż! cóż to ważnego? — odpowiedział.

Jednak, oczyma, które wilgocią zaszyły, dokoła izby wodził. Miłą mu była ta chata jego, ciepła, dostatnia, wystrojona we wszystko, co do niej przez tyle czasu, jak ptak do gniazda przynosił! Miłym też był ten poojcowski ziemi kawał, na którym po dłuższej żołnierskiej tułaczce, z radością w duszy osiadł! Po dłuższej chwili mileżenia, szyję żony objął i zaczął:

— Żeby mnie tutaj źle było żyć, poszła-by ty za mną gdzieindziej?

— A jakże! — krzyknęła Pietrusia.

— No, to kiedy tobie tutaj źle, ja z tobą pójdę gdzieindziej. Ziemię w arendę oddam, tak jak wte dy, kiedy do wojska szedłem; a z rzemiosłem mojem

cały świat choćby obejdę, a chleba ani nam, ani dziadkom naszym nie zabraknie... W miasteczku, gdzie osiadę i kuć będę, a ciebie krzywdzić nie dam i jeszcze broń Boże, bić...

Kobieta pochyliła się i ręce jego całować zaczęła.

— Jaki ty dobry, oj, jaki ty dobry... lepszego już chyba na całym świecie niema... Ja w twojej twarzy zobaczyłam i w twojej mowie posłyszałam i w całym tobie rozpoznałam, że ty taki dobry... Dla tegoż ja ciebie tak i polubiła, na zawsze, aż do śmierci, że mnie już nigdy żaden człowiek inny miłym nie był i że bez twego lubienia mnie, tak jak bez tego słońca grzejącego i bez téj wody pojącej...

Wyprostował pochyłoną jej kibić i objął ją ramionami.

— Idź jutro do miasteczka, mszy świętej wysłuchaj, spowiadaj się, a po nabożeństwie do mojej siostry Hanuli, co tam za mężem, za felezerem jest, zajdź i rozpytaj się u niej, czy dobrze-by mnie było w miasteczku osiąść... Znaczy, z rzemiosłem mojem osiąść... czy tam kowala potrzebują, a jeżeli tam nie potrzebują, to ja sobie może zgodzę się w tym dworze, do którego jutro o robotę umawiać się pójdę. Wielki dwór i wielki majątek... zawsze kowal tam był, a teraz niema, może mnie zechcą. Chciał-bym ja z tobą na odpust pojechać, ale do tego dworu trzeba... To idź

ty już sobie jutro w swoją drogę, a ja pójdę w swoją, a potem nie bawiąc, babulę i dzieci na wóz zabierzem i *hajda*, w drogę! Ot tobie i droga zamierzana. Pójdiesz ty w świat, lepszego szczęścia u ludzi szukać, tylko nie sama jedna, ale ze mną, z babulą i ze wszystkimi dziećmi, i z moją pracą także, z której wszędzie dobry kawałek chleba wynika...

— Dziękuję, Michałku, oj dziękuję tobie za wszystką twoją dobroć... Żebym tak mogła, to zdaje się, cała-bym przemieniła się w dziękowanie...

VII.

W miasteczku, o sześć wiorst od Suchej Doliny odległym, przez cały ranek świąteczny, nad wielkim gwarem targowego rynku, były rozgłośnie dzwony kościelne. Na rynku ludzi było jak mrowia i wszelkich zwierząt mnóstwo. Sprzedawano tam i kupowano: konie, krowy, woły, cielęta, zboże, płótna, jaja i mnóstwo innych produktów małej własności. Sanie stały tam przy saniach, dotykając się szczelnie, albo nawet płożami na płozy wjeżdżając, zwierzęta i ludzie stłaczali się w ruchome kłęby, krzyk rozmów, klótni, przekleństw, targów, rżenia koni, ryczenia bydła, był ogromny, i wielka pstrocizna ubiorów i twarzy męzkich i kobiecych, chłopskich, żydowskich i mało-szlacheckich. Czterej Dziurdziowie przybyli też na targ, każdy ze swoim. Piotr i Klemens przywieźli na sprzedaż konia i krowę, Stepan dwuletniego wolika, a Szymon przywiózł parę ośmín żyta i grochu. Wszyst-

ko jedno: opiszą i sprzedadzą, lepiej mu więc było chwycić i na swoją korzyść sprzedawać, co się dało. Mnóstwo ludzi, po zmówieniu kilku pacierzy, odprawiało baby do kościoła i zostawało przy swoich saniach i towarach. Piotr dobro swoje powierzył pieczy syna, a sam skierował się ku niewielkiemu białemu kościołowi, z którego szczytów leciała muzyka dzwonów, a z wnętrza dochodziły chóralne śpiewy, towarzyszące procesyi. W nieobszernej kruchcie ścisł był taki, że powolny i uroczyście nastrojony chłop, zaledwie zdołał przebić się do kościelnego progu i parę kroków jeszcze dać postąpić. Tu, szerokie plecy w kożuchach stały już nieprzepartym murem, lecz po przez kudłate czupryny męskie i nad kobiecemi, odświętnie ustrojonymi głowami, mignęło mu złoto niesionej pod baldachimem monstrancyi zaponsowały pelerynki kościelnej służby, błysnęły płomyki świec, górą fruwały chorągwie. Organy grały i kilkaset głosów chórem śpiewało. Piotr chciał uklęknąć, ale z powodu ścisłu uczynić tego nie mogąc, głowę pochylił i pięścią ściśniętą potężnie bił się w piersi.

— Ojcie niebieski, królu ziemski, odpuść nam ciężkie grzechy nasze...

Modlitewkę tę wymyślił sobie sam w porze owiej, gdy go skrucha wielka za krzywdę matce zrzadzoną ogarniała i odtąd powtarzał ją zawsze, ilekroć był już bardzo nabożnie usposobionym. Rozpoczę

ła się suma. Piotr ze schylonym nieco grzbietem wznosił oczy w górę i wpatrzył się w widziane ponad głowami tłumu rzeźby wielkiego ołtarza. Były to jakieś gipsowe wieńce i arabeski, nad którymi stało kilka drewnianych posągów z krzyżami, z wielkimi księgami, z rękoma powyciąganemi groźnie, błogosławiąco lub modlitewnie. Oczy chłopca napęły się miękkim zamyśleniem, usta jego poruszać się przestały. Przypominał może wszystko, co kiedykolwiek, na ten sam ołtarz patrząc, przecierpiał i uprosił, skruchy i trwogi swego sumienia, choroby synów, zgryzoty wszelkie i pociechy, a uspokojenia. Może też nad ołtarzem i wieńczącemi go posągami świętych, pod samem sklepieniem świątyni, szukał wzrokiem blasków tych i świetności, w jakich mętnie przedstawiało się wyobraźni jego królestwo niebieskie. Długo tak wzrokiem po wysokościach błędził i wzdychał raz poraz.

— Ojcie niebieski, królu ziemski, opiekunie ludzi...

W bladawej twarzy jego, wzniesionych oczach i głośnym, wzdychającym szepecie, wiele było tęsknoty, wdzięczności, pokory. Wtém organy grać przestały i w uciszonym kościele zabrzmiało donośne: W imię ojca i Syna... Rozpocynało się kazanie. Piotr z miejsca swego widział dokładnie na wysokięj mównicy stojącego księdza, śnieżną jego komżę i czerwoną u piersi wstęgę; cheiwie słu-

chał słów, rozchodzących się po kościele, ale nie wszystkie czyniły na nim wrażenie jednostajne. Były takie, które w nim nie budziły żadnych uczuć ni pojęć i takie, które wzruszały go do głębi. W długim wstępie kapłan opowiadał ludowi o dobroci Boga i złości szatana. Przy wspomnieniu o pierwszej, twarz chłopca tak wyglądała, jakby spływał na nią promień ideału. Miękkła, wypogadzała się, pokrywał ją wyraz błogości i rozezulenia. Lecz gdy w powietrzu zabrzmiała nazwa szatana, gęste brwi jego zbiegały się nad oczyma, usta drgały trwoniem czy gniewnie, i poruszał się cały tak, zupełnie, jakby go ogarniała żądza splunięcia. Powściągał się przecież przez wzgląd na świętość miejsca.

Ogromny rumor kolan ludzkich, padających na cegły posadzki. Organy grają znowu. Przy ołtarzu wznosi się śpiew melodyjny i błagalny, szepty i westchnienia falami szmeru płyną. Piotr gwałtownymi ruchami łokci, miejsce swe rozszerzył, na klęczki upadł, do posadzki kościelnej ustami przylgnął i głośno zaszeptał:

— Niechaj siła bozka przezwyceńczy siłę szatana...

Wtém ktoś go mocno w łokieć trzącił. Obejrzał się i zobaczył schylonego nad sobą Klemensa. Parobek szeptał mu w same ucho.

— Tatku! starszyna konia chce kupić... nie wiem sam co zrobić...

Odrzucił syna ramieniem i znowu pochylał się nad ziemią, ale Klemens za kożuch go pociągnął.

— *Chadzi*, tatku, a to targ stracim...

— *Skaży* starszynie, żeby sam do kościoła szedł i ludziom Panu Bogu modlić się nie przeszkadzał...

Powiedział to takim tonem, że Klemens nie należał dłużej, przyklęknął, przeżegnał się, dwa razy ziemię pocałował i z kościoła wyszedł. Ale Piotr nie odzyskał już uprzedniego nastroju ducha. Coś go korciło i niepokoić zaczęło. Ramionami wzruszał, oglądał się, nakoniec z klęczek powstał i kilka razy jeszcze uderzywszy się w piersi, kościół opuszczał. W kruchoście spotkał się ze Stepanem, który palce w wodzie święconej zatapiał.

— A co tam z moim koniem słychać? — z widocznym niepokojem zapytał.

— Starszyna go u Klemensa zatargował. *Idzi chudko*, a to targ stracisz...

Stepan także niedługo zabawiał w kościele, bo jeszcze wolika swego nie sprzedał; Szymon pomodlił się tylko przed kościelnymi drzwiami i copędziej z pieniędzmi za żyto i groch otrzymanymi, do karczmy pociągnął. Żaden z nich nie dotarł do środka kościoła, ani témbardziej do wielkiego ołtarza, gdzie mnóstwo ludzi spowiadało się przy konfesyonalach, a potem przed balustradą w oczekiwaniu komunii klękało.

Na godzinę przed zapadnięciem zmroku, rynek targowy opróżniać się zaczął, natomiast coraz więcej sań i koni zgromadzało się u wrót obszernej, murowanej karczmy. Dla ludzi, którzy przez dzień cały modlili się i ziębli w kościele, ziębli także, sprzedając i kupując na rynku, koniecznością prawie było, przed puszczeniem się w drogę do domów, wejść na chwilę w ciepłe jakie ściany, ogrzać się i głód zaspokoić. Przed karczmą tedy, której brama owalnie wykrojona i cały budynek wszędy przeryniająca, miała pozór czarnej otchłani, na placu ku twardym od mrozu, śniegiem usłanym, słomą zasypanym i zamrzniętymi kałużami lśniącem, stało mnóstwo sań i koni, których głowy i szyje niknęły całkiem w przywiązanych do nich worach z obrokiem.

Izba karczemna znacznie tu była większą niż w Suchej Dolinie. W miasteczku na znaczniejszą ilość gości rachować musiano niż w wiosce. W dnie takie szczególnie, jak dzisiejszy, zgromadzało się ich mnóstwo. Na rozłożystym kominie palił się wielki ogień, ludzie tu wchodzący stawali przed nim, rozgrzewali zmarzniete ręce, dla rozgrzania nóg, uderzali stopami o podłogę, a potem ku stołom, ściany otaczającym, idąc, zdejmowali z pleców płócienne, na sznurkach zawieszone, worki. Wszyscy prawie worki takie posiadali. Znajdowała się w nich żywność, na dzień cały z domu przywieziona. Gatunek

jég i ilość zależały od względnej zamożności każdego z popasających. Jedni z woreczków swych wyjmowali tylko kawały czarnego chleba, szczypty soli i odłamy twardego sera; inni, oprócz chleba i soli, mieli jeszcze słoninę, kiełbasy, jaja ugotowane na twardo. Byli tacy, którzy do jedzenia szeroko rozsiadali się na ławach, i tacy, którzy jedli, chodząc, lub stojąc. Tłum wzrastał, gwar stawał się ogłuszającym, zewsząd słychać było wołanie o wódkę, miód, piwo; żydzi różnego wieku, rodzinę karczmarza składający, nieustannie przewijali się wśród tłumu z blaszanymi półgarncówkami, kwartami, czarkami, ze szlankami z zielonego szkła, z glinianymi miskami, pełnymi kwaszonych ogórków i śledzi, któremi chłopci przekąsywali wódkę. Znajdowali się tu mieszkańcy wielu oddzielnych wsi, ale prawie wszyscy do jednej gminy należący. Prawie wszyscy też znali się pomiędzy sobą zblizka, albo zdaleka i zaczępiali się wzajem rozmowami o dzisiejszym targu, o poniesionych stratach lub zyskach, o różnych okolicznościach gospodarstw swych i rodzin. W głębi izby starszyna, najwyższy urzędnik gminy, chłop niemłody, z długą rudą brodą i w czarnej baranięj czapce, po same oczy na czoło wsuniętej, dość liczną kompanią miodem częstował. W porządku tym, oprócz ludzi innych, udział brało kilku mieszkańców Suchej Doliny, a pomiędzy nimi najważniejszą rolę odgrywał Piotr Dziurdzia, albo

wiem okazyi do poczęstunku dostarczył koń przez niego starszynie sprzedany. Rozmowa téż toczyła się o różnych zaletach tego konia, zaprowadziła do żywych rozpraw o koniach w ogólności i wzmagala się czasem w sprzeczki, które jednak starszyna przerywał zawsze, miodu do szklanek z blaszanego garnca dolewając i z uprzejmą powagą do biesiadników przemawiając:

— Pijcie, panowie gromada, pijcie! — na zdrowie wam! na szczęście!

Wyraz: panowie gromada, powtarzał się w jego ustach niezmiernie często. Czuł się on głową i naczelnikiem gminy, czyli gromady i lękał się stracić najmniejszą sposobność przypomnienia o tém wszystkim. Chłopi głowami mu na podziękowanie składali i zielonawe szlanki do ust nieśli. Klemens tylko nie pił i w rozmowie udziału dotąd nie brał. Młodym był, nieżonatym jeszcze, gospodarstwa swego nie miał, z ojcem tu przybył i przez niego tylko coś znaczył. Obecność starszyny i zgromadzenie starych, poważnych gospodarzy, onieśmielały go i wstrzymywały od samodzielnego przystąpienia do poczęstunku. Stał tedy za ojcem i, z nad ramienia jego, wychylając twarz swą rumianą i błękitnooką, trochę chciwie, a trochę nieśmiało na półgarncówkę i szklanki poglądał. Filuterne, żywe, a teraz miodem rozweselone oczy starszyny, spotkały się z jego wstydliwym sporzeniem.

— Aaaa! — zadziwił się ze śmiechem i palcem na parobka wskazał — aaa! panowie gromada! czy *heto* parobek jest czy dziewczyna!

Głowę na obie strony, niby dla lepszego widzenia, przechylał.

— Patrzę, patrzę i rozpoznać nie mogę! zdaje się że parobek, ale za plecy *baćka* schował się jak dziewczyna i wstydzi się bardzo... Nu *pokażysz*... do stołu podejdź, a to doprawdy pomyślę, że z *mużczyzny* przemienił się w dziewczynę!...

Dowcipkowaniu temu towarzyszył chór grubych śmiechów; Piotr zaśmiał się także i syna ku stołowi popchnął.

— Nu *idź*, kiedy pan starszyna woła...

Nie tak już bardzo wstydliwym był Klemens, za jakiego poczytał go starszyna. Usta wprawdzie dłonią zakrył, ale wesołemi oczyma wprost na dostojnika gminy patrzył. Ten nalał pełną szklankę miodu i młodemu parobkowi ją podał.

— Pij — zawołał — *kaby* prędzej wąsy pod nosem wyrosły. — I, wszystkim znowu do szklanek dolewając, powtarzał: — Pijcie, panowie gromada, pijcie!

Pili i śmieli się z Klemensa, który na wspomnienie o wąsach palcami powiódł po złotym puszku, który mu górną wargę osypywał, a potem głową skinął i raźnie zawołał:

— Na zdrowie, panie starszyno!

— Na zdrowie tobie! — odpowiedział starszyna, a do Piotra rzekł. — W żołdacy nie poszedł? ha?

Piotr z jaśniejącą twarzą odpowiedział:

— A nie poszedł; kiedy na niego pora na losowanie przysła, Jasiuk jeszcze małoletni był, a mnie już chwala Bogu Najwyższemu, pięćdziesiąty siódmy roczek życia mego szedł. Brat mały... ojciec stary... znaczy jemu *lgotę* dali i został się w chacie; niech za to Pan Bóg będzie pochwalony...

— Ot i wykreślił się zauważył ktoś z boku.

— Nu szczęśliwy! — dorzucił kto inny.

— A szczęśliwy — powtórzył Piotr — *ka* tylko Pan Bóg we wszystkiem tak błogosławił...

Starszyna znowu szklankę miodu szczęśliwemu parobkowi podawał.

— Pij! — wołał — pij i pamiętaj, kto to taki ten, co ciebie *trachtuje*!

Chłopak zawahał się, na ojca spojrzał, ale Piotr, którego zaszczyty wszelkie zawsze przyjemnie głaszały, rad zresztą ze skromnego dotąd zachowania się syna, szturchnął go w łokieć i zachęcił.

— Pij, kiedy pan starszyna każe...

Zupełnie już ośmielony i bardzo rozweselony, Klemens, nie poniósł tym razem szklanki wprost do ust, ale podniósł ją w górę z takim giestem, że aż część miodu wylała się z niej na stół, przytém sam podskoczył...

— *Kaby* tak koń brykał! — zawołał i dopiero

szklanicę do dna wychylił. Koncept ten podobał się otaczającym, którzy także szklanki swe nad głowy podnosząc, jedni po drugich powtarzali.

— *Kaby* tak koń brykał, panie starszyno, *kaby* tak koń brykał!

Stosowało się to do konia tego, którego dziś od Piotra kupił starszyna. Wesoly z natury, a może i interes w tém swój mający, Anton Budrak, starosta Suchej Doliny, krzyknął na arendarza jeszcze o garniec miodu. Teraz on starszynę i całą kompanią wzajemnie poczęstuje. Kilka głosów ozwało się:

— *Nie chcemo* bolsz miodu; kiedu *trachtujesz*, to wódki dawaj!

Budrak krzyknął o wódkę, a starszynie, który miód wołał, trunek ten do szklanki lejąc, zaczął:

— *Jenteres* jest taki, panie starszyno. *Chcemo* proces o te grunta i łąki zacząć... *Kaby* dawność nie zaszła... co wiecie o tém, to gadajcie... może cokolwiek nam poradzicie... *Jenteres* jest taki...

I choć już wiele miodu, a trochę wódki wypił, dość przytomnie jeszcze ważną dla całej wsi sprawę opowiadać zaczął. Ale Piotr przebił mu mowę i głos przed starszyną zabrał. Maksym Budrak i trzej Łobudowie jednemu i drugiemu przerywali, z czego zrobił się wielki chaos głosów i słów. Ale starszyna do publicznych rozpraw był już nieco zaprawionym.

— Po kolei, panowie gromada — zawołał — po kolei *hawarycie*. Wprzód jeden, potem drugi, a ja będę słuchać. Ja między wami wszystkimi *najwyższy* i wseysey wy do mnie jak do ojca...

— Jak do ojca! — chórem wszysey potwierdzili, a w tym momencie pijany Szymon przytoczył się ku starszynie i, w łokcie go całując, zaczął:

— Ja do was, panie starszyno, jak do ojca... gospodarstwa nie sprzedawajcie... *horkaja* bieda mnie i dziatkom moim...

Parę pięści wyciągnęło się i odepchnęło pijaka, który też krokiem chwiejnym polazł ku arendarzowi, mruczając.

— Chackielku, wódki daj... kiedy Boga boisz się, jeszcze ze dwa kruczki daj... jeszcze z parę złotych mam... zapłacę... *Horkaja* bieda...

Klemens, ujrawszy, że pomiędzy starszyną i gospodarzami zanoszą się na poważną rozmowę o interesie, wysunął się z tego grona i poszedł do innego, które przed kominem składało kilkanaście kobiet. Jadły one także to, co z domów przywiozły, o targu dzisiejszym rozmawiały, sprzeczały się, lub różne swe troski wzajemnie sobie opowiadały. Przy zbliżeniu się Klemensa, w gromadce tej wnet rozległy się piskliwe krzyki i chichoty. Dwoma szklankami miodu rozweselony i uzuchwalony parobek, znajomą jakąś młodą

z Suchej Doliny w ramię uszczypnął, a drugi coś takiego do ucha powiedział, że zaczerwieniła się jak piwonja i twarz ręką od niego zasłoniła. Inne starsze, niby gniewając się, niby żartując, pięściami go odpychały i krzyczały, aby sobie do mężczyzny szedł. Wkrótce jednak uciechły wszystkie i, wspinając się na palce nóg, jedne przez drugie patrzeć zaczęły na przedmiot, który parobek z za siermięgi wyjął i im pokazywał. Przedmiotem tym był spory obrazek, przedstawiający jakąś świętą i oprawioną w ramki, pokryte złoconym papierem. Święta miała czerwoną szatę, złotą koronę nad głową, a w rękę trzymała błękitną palmę. Grubo nakładane jaskrawe farby obrazka i lśniąca przed ogniem pozłota ramek, wprowidy grono kobiet w pełen zdumienia zachwyt. Szeroko otwierały oczy i usta, patrzyły, lubowały się i dopytywać się zaczęły, czy Klemens dla siebie, śliczną i świętą rzecz tę kupił, czy dla kogo innego? On wiedział dobrze, dla kogo obrazek ten kupił, ale nikomu o tem nie powiedział i zanośliwie śmiejąc się z ciekawości i chciwości, które malowały się na twarzach bab, znowu go za siermięgę schował. W tem z gromady gwarzącej i pijącej u okna, zawołał go mały, rucbliwy, z zadartym nosem człowieczek, wpół z chłopska a wpół już ze szlachecka ubrany, le-

śnik z pobliskiego dworu, który dziś u ojca jego krowę kupił.

— Klemens! — wołał — hej, Klemens! wypijno z nami. Żeby krowie zdrowo było!

Wychylił podaną mu czarkę i, w szal wesółości wpadając, ku stojącej w kącie beczce poskoczył, przechylił ją i znajdującą się w niej wodę na podłogę wylał.

— *Kaby* krowa tyle mleka dawała — krzyknął!

Grzmot śmiechu zatrzęsł izbą, kobiety piszczały, spodnice podnosiły i do przeciwnych kątów uciekały. Szeroki strumień wody od ściany do ściany płynął, niosąc po spadzistościach nierównej podłogi, rzucone wprzód na ziemię skorupki jaj, łupiny ogórków, głowy i ogony śledzi. Klemens zniknął w wirze kilkunastu chłopów, którzy go z czarkami w rękach otoczyli, a pomiędzy którymi był także Szymon, pociągający go wciąż za rękaw i z czarką w ręku mruczący...

— Pożycz *hroszy*, Klemens, *zmiłuj*śia pożycz... choć złotówkę... wszystkie swoje już przepił... *Horkaja* dola mnie i diatkom moim...

Zmrok zapadł zupełny. Posługacze karczemni, postawili na stołach, w różnych miejscach izby, trzy cienkie łożówki w mosiężnych i otłuszczonych lichtarzach.

Stepan Dziurdzia głośno do téj pory przywozcił w niewielkiej jakiejś gromadce, widocznie

uszcześliwiony tém, że choć raz, gdziekolwiek i komukolwiek mógł przywozić. Kiedy błysnęły światelka łożówek, spostrzegł on starszynę, otoczonego mieszkańcami Suchéj Doliny i poważnie coś do nich mówiącego. Na brązową, pomarszczoną twarz Stepana, wybijały się rumieńce, pochodzące od żywych rozpraw, w których rej wiódł i od wódki, którą wypił. Zaciekawilo go jednak, o czém téż sąsiedzi ze starszyną rozprawiają i, przysunawszy się ku grupie, którą składali, słuchać zaczął.

— Tak już trzeba, panowie gromada — prawil starszyna — inaczej nie można, bez tego już nie. *Planipotentów* sobie wybieriecie, żeby od was wszystkich do miasta poszli i *hadwokata* najeli, *piérsza* rzecz *planipotentów* wybrać... a druga *hadwokata* najać. Całą gromadą nie będziecie do *hadwokata* i do sądu chodzić... *Planipenty* wasze będą chodzić... którego tam dnia do starosty zejdzicie się wszyscy i naradę zrobicie: kogo wybrać? kto u was najmądrzejszy i na największe *uważanie* zasługuje!

Dziurdziowie, Budrakowie, Łobudowie i kilku innych przed siedzącym starszyną stali, uważnie słów jego słuchając. Gdy skończył, parę głosów ozwało się:

— Na co nam na później odkładać. My i te-

raz wybór zrobić mozem... niechaj pan starszyna świadkiem będzie.

— Ale — potwierdzili inni — mozem, czemu nie mozem...

— Nie wszyscy my tu — ktoś zaprotestował.

— Nie nie szkodzi. Co my *tut* postanowim, na to zgodzą się wszyscy — twierdził starosta Suchej Doliny, Anton Budrak.

— A ile tych *planipotentów* trzeba? — zapytał Piotr.

— Trzech — odpowiedział starszyna; — więcej nie trzeba, ale trzech, to już koniecznie trzeba.

Stepan w tej chwili pociągnął Piotra za rękaw i szepnął.

— *Skaży*, Pietruk, żeby mnie na *planipotent*a wybrali...

Ale kilkanaście głosów szept jego zagłuszyło.

— Najpiérwój to już starostę prosim...

Okrągła, pulehna, z konopiastym wąsem i zadartym nosem twarz Antona zajaśniała naksztalt księżyca w pełni.

— Dobrze — odpowiedział — będę, czemu nie będę? A więcej kogo?...

Stepan już pięścią całą w bok Piotra uderzył.

— Nu, odezwiij się... *skaży*, żeby mnie wybrali...

Oczy mu aż gorzały żądzą odznaczenia, a mo-
że i przywiązanej doń ruchliwój czynności. Ale
chłopi plenipotentem drugim obwoływali starego

Łobudę, który, drapiąc się w łysinę, prosił, aby go od *chłopotów* tych uwolnili, a obieżyli niemi lepijéj którego z jego synów. Najstarszy, Pilip, oświadczył sam, że nie odmówi, choć mu ciężko będzie gospodarstwo opuszczać i do miasta jeździć, ale nie odmówi.

— Niechaj *budzie* Pilip — zgodzili się chłopi.

— Nu, a trzeci — zapytał starszyna.

— Trzecim niechaj już będzie Pietruk Dziurdzia...

Piotr wyprostował się tak, jak kiedyś, gdy go za starostę wybierano i z rozjaśnioną twarzą za *uważanie* podziękował. Stepan, znowu go pięścią w bok uderzał.

— *Skaży*, Pietruk, żeby za czwartego mnie obrali...

Piotr, rękę do włosów z zakłopotania niosąc, odezwał się jednak:

— Może-by na czwartego Stepanka wybrać...

— Nie trzeba czwartego — zakrzyczano go ze stron wszystkich, — pan starszyna powiedział, że trzech trzeba, więcjéj nie trzeba...

— To może na moje miejsce Stepana obierze-
cie, — zaproponował Pilip Łobuda; — i *owszem* —
dodał — mnie ciężko będzie i nie chce się...

— Nie *chcemo* Stepana! — krzyknęli wszyscy —
na co nam on? z drugimi *planipotentami* tylko kló-
cić się będzie... o piérwszeństwo i o wszystko...

— Jeszcze *hadwokata* wybije — ozwał się ktoś ze śmiechem.

Stepanowi krwiste rumieńce buchnęły do twarzy, w sam środek gromady wparł się i hałasować począł. Dowodził, że wybory nie były prawne, bo wszyscy gospodarze Suchéj Doliny nie byli tu obecni, że jego na *planipotentą* wybrać muszą, a jeżeli nie, to on do sądu pójdzie... Wszczęła się kłótnia i przyszło-by pewnie do pięści, ale starszyna podniósł się z ławy i na Stepana krzyczęc zaczął, grubych wyrazów i przezwisk nie żałując. Czuł się on osobiście obrażonym.

— Co to nieprawne? — krzyczał — kiedy ja tu jestem, to wszystko prawne? ja tu *najwyższy* i wszystko stanowić mogę... jeżeli zechcę, ulaskawię, a jeżeli zechcę, do *katorgi* ześlę...

Stepan zmieszał się na chwilę, ale wnet potem z zawadyacką miną na arendarza o garniec wódki krzyknął i, wraz z kilku przyjaźniejszymi sobie ludźmi, opodał nieco od starszyny, zawzięcie pić zaczął.

Piotr tymczasem trunkiem rozmarzony, spadłym nań zaszczytem rozweselony, z kolei częstował starszynę i sąsiadów.

— *Dziakuj!* panie starszyno! *dziakuj!* panowie gromada! — nieustannie powtarzał, a potem, stanąwszy przed Antonem Budrakiem, z czarką w ręku i przymrużonemi oczyma, mówił.

— Ty *planipotent* i ja *planipotent*, ty starosta i ja starosta... tak i *pocałujmy się*...

Całowali się tak głośno, jakby korki z butelek wyskakiwały...

Ogólna zresztą pijatyka dosięgła w tej chwili stopnia wysokiego, ale odznaczała ją szczególność pewna. Ludzi, którzy-by, tak jak Szymon Dziurdzia, upijali się na swoją rękę i bez przyczyny żadnej, było bardzo niewielu. Ogromna większość piła na zabój, ale z powodu traktamentów i okazji, a okazją było tu wszystko: koń sprzedany, krowa kupiona, spotkanie się znajomych, pogodzenie się skłóconych, wspomnienie o ojcu, który rok temu umarł, projekt ożenienia syna, lub wydania za mąż córki. Wesole czy smutne zdarzenie, zysk czy strata, przyjaźń czy kłótnia, nadzieja czy żal, wszystko wywoływało traktament, po wiele razy z kolei odwzajemniany. W izbie panował niesłychany chaos głosów, na przeróżne tony nastrojonych i poruszeń, przeróżne stopnie i natury pijaństwa objawiających. W jednym miejscu izby toczyła się bójka, zakończona wypchnięciem za drzwi zwyciężonych, w innym, przyciskano do ściany żyda-arendarza, który krzyczał ze strachu, to znów łajał chłopów, przeraźliwie go łajających, gdzieindziej dwaj parobcy, ujawszy się pod boki, do dwóch rozsierzdzonych kogutów podobni, kołysali się przed sobą, monotonnym gło-

sem, wymawiając wciąż jedne i te same słowa. Kilku mieszkańców Suchej Doliny, z czarkami w rękach, lazło całować starszynę, który, także mocno podpity, rozparł się na ławie i tak już wielką swą czapkę głęboko na twarz nasunął, że samę prawie rudą brodę z pod niej widać było. Chłopi jednak dostawali się mu do policzków i, cmokając w nie, powtarzali.

— Ty z nas *najwyższy*, ty nad nami wszystkimi, jak ojciec...

Szymon przeciwnie, podszedł teraz do niego z miną zawadyacką:

— Ty mnie gospodarstwa opisywać nie śmieć! — Krzyczał, — bo jak opiszesz, zabiję... dalibóg zabiję... choć ty starszyna, a taki zabiję... i *budzie* tobie *szabas*!

Piotr Dziurdzia stał naprzeciw Maksyma Budraka.

— U ciebie córka — prawil — a u mnie syn... niech będzie pochwalony Pan Bóg *najwyższy*. — A Budrak jednocześnie mówił:

— U ciebie syn, a u mnie córka... Czemu nie ma być woli bozkiej... będzie... tylko swatów przysyłaj...

— Przysyłaj! — twierdząco powtórzył Piotr i, podnosząc w górę wskazujący palec, z namaszczeniem zaczął znowu:

— U ciebie córka, u mnie syn... niechaj *jak toj kazau*, boska siła przewycięży czartowską siłę...

W tém Klemens ojca za rękaw kożucha pociągnął:

— *Jedziom* do chaty, tatku, — cienkim, proszącym tonem zapiszczał.

Był także pijanym ale jeszcze dość przytomnym. Zachciało mu się wracać do domu, aby co prędzej Nastee obrazek oddać. Piotr spojrział na syna, zdziwionemi jakby oczyma i z gniewem krzyknął.

— A ty chory był! tylko co nie umarł! *Czartowska* siła chorobę tę tobie robiła...

Klemens splunął.

— *Kab* ona świata nie widziała, ta co mnie téj biedy narobiła! *Jedziom* do chaty, tatku!

I za rękaw od kożucha ciągnął ku drzwiom ojca, który, dając się powodować synowi, na Maksyma oglądał się i krzyczał.

— Pamiętaj, Maksym! u ciebie córka, u mnie syn... Niechaj przed królestwem niebieskiem przepadnie czartowskie królestwo...

Przy samym progu ojciec i syn natknęli się na Szymona.

— A ty czego tu jeszcze łajdaczysz! — krzyknął na krewnego Piotr; — do chaty tobie... a to ostatnią kopiejkę przepijesz...

— Już i przepił... — wnet prawić zaczął Szymon — już to co za żyto i groch wziął do osta-

tniej kopiejki przepił... już i *szabasz* mnie i dziatkom moim...

Wychodząc Piotr i Klemens, wypchnęli sobą Szymona naprzód do sieni, a potem na placyk, okryty jeszcze chłopskimi saniami i końmi, choć część pewna biesiadujących, rozjechała się już przed tém. Tu zobaczyli Stepana, który z szyi konia swego worek zdejmował i zabierał się do odjazdu.

— Hej, *dziadźku* — krzyknął Klemens — poczekaj, razem pojedziem...

Stepan miał pijaństwo ponure i złośliwe; za całą odpowiedź zaklął przez zęby, a potem do Piotra krzyknął:

— A taki, szelmo ty, ja *planipotentem* będę... słyszysz?

— A ty nie łaj się... bo niema za co... niechaj będzie pochwalony Pan Bóg *najwyższejszy*, na wieki *wieków*... — odpowiedział Piotr...

Szymon lał także do sań swoich, mrużąc.

— Nie dała... szelma wiedźma hroszy nie dała... *kab* ona tego świata nie oglądała... a teraz tobie i dziatkom twoim *szabasz*!

Troje sań Dziurdziów, z których pierwsze zajmowali Piotr z Klemensem, jednocześnie od karczmy odjechały i, drobnym trucheikiem chłopskich koni przesunawszy się przez miasteczko, znalazło się wkrótce pośród śniegiem usłanych pól.

Zimno! Mróz nie duży, dziesięć stopni może, nie więcej, ale wiatr silny dmie i z ziemi podnosi tumany śniegu. Z góry też śnieg pada, drobniutki jak pył, twardy i gęsty. Księżyc świeci, ale nie widać go za białymi chmurami, które ociągnęły całe sklepienie nieba i choć noc ciemną nie jest, mało co widzieć można przez tę mgłę, śnieżną, która pada z góry i podnosi się z nad ziemi. Wiatr ją skręca w kłęby, lub wielkimi płachtami rozpościera w powietrzu, a światło księżyca z-za białych obłoków przenika ruchome jęj wnętrze białą światłością, która nie oświeca nic.

Sześć wiorst tylko dzieliło miasteczko od Suchej Doliny i cała prawie prowadząca doń droga wysadzona była drzewami. W śnieżnej mgle, drzewa te szarzały nakształt błędzących po polu widm, ale Dziurdziowie rozpoznawali je od czasu do czasu i, zacinając konie, coraz więcej przestrzeni za sobą pozostawiali. Żaden z nich nie spał. Piotr czasem z akcentem nabożeństwa wzdychał, lub coś szeptał; Klemens kilka razy gwizdać rozpoczynał; Stepan konia swego głosem ponurym do pośpiechu zachęcał; Szymon, na saniach swych leżąc prawie, stał się dziwnie rozmownym i krzykliwym. Szumiący i gwizdzący wiatr słowa jego zagłuszał, on jednak, nie dbając o to, czy jest przez kogo słuchanym, wykrzykiwał, komuś od-

grażał się, na coś żalił się i kogoś przeklinał. Nagle, Klemens zawołał.

— Ot i Pryhorki

Taką nazwę nosiło wzgórze, obrosłe dębowym i brzozowym lasem, a o półtoręj wiorsty może oddalone od wysokiego krzyża, od którego już krótki tylko i prosty kawałek drogi do Suchéj Doliny wiódł. Ztąd już przestrzeń paru zaledwie wiorst rozdzielała ich ode wsi, ale tu także znikwały drzewa przydrożne a otwierała się gładka równina, wzdęta tylko przed samym już krzyżem kilku niskimi pagórkami, których w śnieżnej zamieci zupełnie widać nie było.

Minęli Pryhorki i nie już przed sobą nie widzieli. Białe i białe: na niebie, ziemi i w powietrzu. Śnieg i śnieg wszędzie, ani drzewa, ani wiorstowego słupa, ani żadnego wzgórza. Klemens skręcił lejcami na lewo. Sanie zaryły się zrazu w śniegu.

— Gdzie ty pojechał? — zaszemrał Piotr.

— Dobrze, tatku, tak trzeba — odparł pabobek i raźnie zagwizdał. W gruncie rzeczy gdyby go kto zapytał, dla czego zawrócił na lewo, kiedy od Przyhorek do Suchéj Doliny, droga wyciągała się prosto jak struna, nie umiał-by odpowiedzieć. Był pewnym, że wcale nie zawracał i w potrzebie uroczyście by to zaprzysiągł.

Tamci dwaj nie kierowali wcale końmi swemi.

Obaj na wznak na saniach leżeli. Stepan ponuro milcząc i jakby wsłuchując się w szmery wiatru; Szymon, wciąż gadając i wykrzykując. Jechali. Konie czasem tonęły w śniegu i wydostawały się zeń z trudnością, czasem na gładziej przestrzeni biegły sobie trucheikiem, czasem też pod płozami sań czuć było zagony, które wiatr gołocił. Nie drogą jechali ale polem i nie zwracali na to żadnej uwagi, dopóki znowu nie zamajaczyły przed ich oczyma wzgórze i las Przyhorek.

— A toż co? — zawołał Klemens — znów Pryhorki?

— Aaa! po jakiemu ty jedziesz? — zadziwił się Piotr.

Wyrwał lejce z rąk syna i, chcąc uczynić całkiem przeciwnie temu, jak uczynił tamten, konia na prawo skręcił.

— Nie tak! — z sań swoich krzyknął Stepan.

— Tak! *nibójs*, tak! — odkrzyknął mu Piotr i jechał znowu dopóty, dopóki koń Piotra nie zagłębił się po kolana w jakimś rowie.

— Aaa! — zadziwił się chłop — taki znów nie tak pojechali!

I z niewielką trudnością, wołaniem i ściąganiem lejców wyrwawszy z rowu tęgiego konika, zawrócił nazad. Dwoje sań innych zawróciło także, ale w ten sposób, że Szymon teraz znalazł się na prze-

dzie. Jechali i jechali, aż znowu Stepan, z sań swoich do Piotra krzyknął:

— Znów Pryhorki!

— Pfu ! zgiń, przepadnij nieczysta siło! — splunął Piotr i na Szymona zawołał.

— Skreć nazad!

— *Naszo* mnie nazad, kiedy tak dobrze!—odpowiedział nowy przewodnik.

— Może i dobrze! czy ja wiem—mruknął Piotr.

Klemens trząść się zaczął i dzwonić zębami.

— Tatku, — odezwał się, — mnie zdaje się, że znów ta choroba mnie bierze!

Choroba go nie brała, ale nieprzyzwyczajonego jeszcze do trunków, głowa od upicia się boląc zaczęła, a wicher przenikał kożuch i chłodem wdierał się aż do szpiku kości. Piotr splunął znowu i szeptać zaczął:

— Panie niebieski, królu ziemski, zlituj się nad nami grzesznymi!...

— Zawracaj! — krzyczał teraz na Szymona Stepan, — zawracaj, Szymon! Nie widzisz, że nad staw pojechali!

Rozpoznał wśród śnieżycy cienie drzew, rosnących nad brzegiem stawu. Potężny głos jego przebił się przez szum wiatru i dosięgnął uszu Piotra, który wnet konia zawrócił. Za nim zawrócili się dwaj inni.

Godzina przeszła upłynęła, odkąd wpół tylko



This image shows the inside cover or endpaper of an old book. The paper is a light tan or beige color, showing signs of age such as slight discoloration and small dark spots. On the left side, there is a dark, possibly black or dark brown, binding strip. The paper has a slightly textured appearance. There are some faint, darker areas on the right side, which might be shadows or areas of wear. The overall appearance is that of a well-preserved but aged piece of paper.

884-3 Orzeszkowa
Dziurdzowie